

**JAMES OLIVER i CURWOOD**

## ***DZIEWCZYNA SPOZA SZLAKU***

Przekład Jerzego Marlicza

Tytuł oryginału *The Girl beyond the Trail*

### **1. Pociąg w zaspach**

**N**a kimś, kto by stał u skraju czarnej jodłowej gęstwy, słuchając wycia wichru w tę noc grudniową — pociąg transkontynentalny sprawiałby wrażenie ognistej smugi.

Było to widmo dziwaczne, bezradne, pozbawione ruchu, ciemne, wśród ciemnej nocy polarnej, rozjarzone jedynie światłami okien od ostatniego wagonu po lokomotywę, tylko wóz bagażowy tworzył mroczną wyrwę. Z północy nadciągały chmury ciężarne śniegiem, zwisające tuż nad ziemią, a wraz z nimi leciał wiatr, drwiąc donośnie z tego tworów rąk ludzkich i z zamkniętych wewnątrz ludzi. Pasażerowie, kobiety i mężczyźni, poczynali już dygotać z chłodu; białe ich twarze w coraz głębszym przerażeniu Ignęły do oszronionych szyb, usiłując przeniknąć tajemnicę nocy, która rozpostarła ciemną zasłonę za oknami.

Trwało to już trzy godziny. Wielu spośród więźniów bawiła na razie ta niezwykła sytuacja, przygoda bowiem ma swój niezaprzeczony urok. Kaloryfery grzały jeszcze, światła było dość. Mężczyźni żartowali, kobiety śmiały się, dzieci wymyślały zabawy w korytarzach. Teraz największy dowcipniś zamilkł, szczelnie otulony w futro; urocza dama, która na wieść, że pociąg ugrzązł w zaspach, klaskała z radości w ręce, te drżała, to znów na przemian zalewała się łzami.

Było zimno, tak zimno, że śnieg niesiony wiatrem dzwonił o szyby jakby uderzano w nie śrutem. Termometr za oknem wskazywał: czterdzieści stopni poniżej zera\*. (W stopniach Fahrenheita /przyp. red./). Wagony zachowały

jeszcze trochę ciepła, choć kaloryfery wystygły całkowicie; płonące lampy i ciała ludzkie nader skąpo ogrzewały przedziały. Chłód stawał się przejmujący. Szron

zamurował szyby. Paru panów zdjęło futra, okrywając nimi kobiety i dzieci; ci panowie właśnie najczęściej spoglądali na zegarki. Przygoda mogła się skończyć tragicznie.

Przechodzącego korytarzem konduktora po raz dwudziesty zasypywano tymi samymi pytaniami:

--- Pan Bóg raczy wiedzieć — burknął szorstko wprost w twarz najpiękniejszej pasażerki, choć przed paroma godzinami jej uroda olśniłaby go niewątpliwie. — Lokomotywa i tender odeszły trzy godziny temu, a do stacji mamy zaledwie dwadzieścia mil. Powinni byli dawno sprowadzić pomoc. Piekło, co?

Młoda kobieta nie odpowiedziała nic, skinęła tylko głową na znak, iż się najzupełniej zgadza z tą opinią.

— Trzy godziny! — warczał wciąż konduktor, idąc dalej korytarzem. — Oto zysk ze służby na północnej linii. Jak cię zasypie, to od razu na fest i czekaj potem boskiego miłosierdzia.

Zajrzał jeszcze do przedziału dla palących, wsunął głowę do środka i odszedł, zatraskując za sobą drzwi wagonu.

W tym przedziale siedziało dwóch mężczyzn, jeden naprzeciw drugiego. Żaden nie podniósł nawet głowy przy wejściu konduktora, jakby śnieżycy i spóźnienia nie dotyczyły ich wcale.

Starszy pasażer pochylał się ku przodowi. Miał zapewne około pięćdziesiątki. Dłoń, którą oparł na chwilę na kolanie Dawida Raine, była czerwona i sękata; takie dłonie posiada człowiek od dawna walczący z głuszą leśną. Twarz pasowała do ręki: spalona słońcem lata, schłostana wichrem i zamiecią zimową, pokryta siecią zmarszczek — świadczyła o długoletnim trudzie.

Był niewielkiego wzrostu, niższy od Dawida Raine. Ramiona miał lekko zgarbione, mimo to promieniowały zeń energia i radość życia, których młodszy towarzysz zdawał się nie posiadać wcale. Na tysiącu mil kwadratowych północnej kniei znano go jako ojca Rolanda misjonarza.

Towarzysz jego miał zaledwie lat trzydzieści osiem. Był nawet raczej o rok lub dwa młodszy. Oczy miał siwe, odważne; takich oczu nie zapomina się szybko. Lecz ogólnie biorąc wyglądał jak człowiek schorowany, a wiatr płaczkliwie dmący na zewnątrz i noc za oknem podkreślały jego przygnębienie. Misjonarz poczynił już w duchu pewne spostrzeżenia; obecnie, z dłonią opartą na kolanie Dawida Raine, mówił:

— Więc pan twierdzi, że się obawia o swego przyjaciela? Dawid Raine skinął głową, zmarszczki wokół jego ust stały się głębsze.

— Tak, boję się o niego.

Na chwilę spojrzął w okno, a jego blada twarz nie spodobała się widać zamieci, gdyż wiatr zawył donośniej, a śnieg mocniej zakolał o szyby.

— Wciąż się o niego kłopotczę — dodał jeszcze, wzdorliwie wzruszając ramionami.

Raptem spojrzął w oczy ojca Rolanda.

— Czy słyszał ojciec kiedy o człowieku, który się zatracił? Nie mam na myśli wędrowca, który zbłądził w lesie czy na pustyni. Nie mówię także o nieszczęśliwym, który postradał rozum. Ale bywa, że człowiek zgubi sam siebie, wolę, rozum, wszystko i czuje się tak, jakby mu ziemi pod stopami brakło.

— Tak, przed wielu laty znałem takiego biedaka — odparł misjonarz prostując się na ławce. — Ale ten rychło sam siebie odnalazł. A pana przyjaciel? Jestem bardzo ciekaw. Od trzech lat po raz pierwszy stykam się z cywilizacją, więc to, co od pana usłyszę, będzie się zapewne ogromnie różniło od moich wspomnień. Jeśli pan nie zdradza niczyjego zaufania, proszę mi opowiedzieć tę historię.

— To nie jest przyjemna historia — uprzedził Dawid — szczególnie w taką noc...

— Właśnie w taką noc łatwiej zrozumieć czyjś dramat.

Błada twarz Dawida Raine poróżowiała lekko. Nerwowo zacisnął palce.

— Oczywiście, wchodzi tu w grę kobieta — rzekł.

— Tak, oczywiście, kobieta.

— Właściwie nie jestem pewien, czy mój przyjaciel wielbił tę kobietę, czyjej urodę — ciągnął Dawid. — W każdym razie cenił piękno, ona zaś była po prostu zbyt piękna. Musiał ją jednak kochać, bo gdy ją stracił, stracił jednocześnie urok życia. Tak, jakby świat wkoło poszarzał.

Ojciec Roland skinął głową twierdząco.

--- Rozumiem — rzekł, przy czym usunął się nieco w kąt kanapy, gdzie światło lampy padało mniej wyraźnie. — Znałem człowieka, który także kochał pewną kobietę i w jego oczach ona właśnie była najpiękniejszą. To wielka miłość tak ludzi przyozdabia.

— Żona mego przyjaciela była jednak tak piękna, że na ulicy każdy się za nią oglądał. Póki mój przyjaciel był jeszcze najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, twierdził nieraz, że to aniołowie chyba wyrzeźbili jej twarz i ozłocili włosy.

--- No, a jej dusza?

--- Och, dusza! Sądzę, że aniołowie zapomnieli o niej.

--- W takim razie przyjaciel pański nie kochał tej kobiety! — głos misjonarza brzmiał bardzo stanowczo. — Miłość nie może istnieć tam, gdzie nie ma duszy!

— Kochał ją z pewnością.

— Nie wierzę. To była miłość czysto powierzchowna. Nie miłość nawet, a namiętność, której doznawał nie tylko on jeden.

— Słusznie. Byli także inni. Ale na razie chcę mówić o moim przyjacielu. To był uczony. Posiadał dostateczne środki, by w spokoju poświęcać się badaniom. Miał bibliotekę, laboratorium. Zajmował się starożytnością, ale nie był bynajmniej mołem książkowym. Był młody i pełen zapału. Ogromnie lubił dzieci i chciał mieć dom pełen drobiazgu, lecz żona jego zbyt dbała o swą urodę, by podzielać te pragnienia.

Dawid pochylił się nieco ku przodowi i naciągnął czapkę bardziej na oczy. Wiatr ustał chwilowo, a w ciszy słychać było wyraźnie tykanie wielkiego srebrnego zegarka misjonarza.

— Sam nie wiem po co to ojcu mówię, chyba żeby sobie ulżyć. Memu przyjacielowi i tak już nic nie pomoże. Ale i nie zaszkodzi. On był trochę odludkiem, a ta kobieta, jego żona, lubiła gwarne jaskrawe życie nocnych lokali, brzęk kieliszków, tłumy wielbicieli. Z wolna tworzyła się między nimi przepaść. A jednak on jej jeszcze ufał, jeszcze nie miał cienia podejrzeń. Gdyby mu kto spróbował oczy otworzyć — niewątpliwie zabiłby oszczercę. Tylko czuł, że żona go nie kocha. Pewnego dnia musiał

wyjechać. Odprowadziła go na kolej. Powiewała chusteczką, gdy pociąg ruszył. I była taka urocza, taka prześliczna...

Przez na pół przymknięte powieki misjonarz zobaczył, że Dawid prostuje się na ławce, a usta jego nabierają twardego wyrazu. Głos mu się także zmienił, zatracając wszelką barwę.

— Czyż to nie komiczne, jak los nieraz drwi z ludzi? Tor był uszkodzony i przyjaciel mój musiał z drogi zawrócić. Nikt się tego nie spodziewał. Do domu przybył późno i nie chcąc budzić żony, sam sobie otworzył drzwi kluczem. Panowała zupełna cisza, tylko z jej pokoju dobiegały jakieś głosy. Zobaczył także światło. Nasłuchiwał najpierw chwilę. Potem wszedł.

W przedziale zapanowało milczenie. Zegarek misjonarza tykał tak głośno, jakby ktoś bił w bęben na alarm.

— Cóż się stało dalej?

— Mój przyjaciel wszedł — powtórzył Dawid. — Nie, nie zabił ich — upewnił spieszenie, dostrzegłszy w oczach misjonarza niespokojne pytanie. — Temu mężczyźnie darował życie, zapewne ze względu na jego tchórzostwo. Tak się bał. Wyśliznął się z pokoju niby robak. A kobieta? Ta nie bała się wcale. Stała wyprostowana, w negliżu, okryta płaszczem złotych włosów i śmiała się po prostu! Kto wie, może ze strachu, ale śmiała się głośno jak szalona. Mój przyjaciel odwrócił się. Zamknął za sobą drzwi. Odszedł.

— Czy to już koniec? — spytał ojciec Roland po chwili milczenia.

— Tak, dla niego to był koniec wszelkich złudzeń.

— Ale przecie żył dalej?

— Żył. Całą noc przewalał się po ulicach. Jej śmiech wciąż go gonił. Sądzę, że nigdy tego śmiechu nie zapomni, jakkolwiek żony nie spotkał nigdy więcej. Nie widział się z nią nawet podczas sprawy rozwodowej. Okazał się względem niej hojny. Skoro uzyskał unieważnienie małżeństwa, zabezpieczające prawną ochronę, oddał jej połowę własnego majątku. Potem odjechał. To było rok temu. Wiem, że w ciągu tego roku usiłował odzyskać dawną pogodę ducha i tężyznę fizyczną. Wiem także, że mu się nie powiodło.

Skończywszy opowiadanie Dawid umilkł. Nasunął czapkę jeszcze bardziej na oczy i wstał. Był dobrze zbudowany i zgrabny, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, lecz odzież wisiała na nim jak pożyczona, a ręce raziły nadmierną szczupłością. Na twarzy znać było piętno choroby lub może po prostu cierpienia.

Ojciec Roland wstał również z oczyma pełnymi współczucia. Podali sobie ręce, przy czym uścisk misjonarza był szczery i silny.

— Panie Dawidzie, od tylu lat już wałęsam się w głuszy — rzekł głosem drżącym ze wzruszenia. — Chowam umarłych, pielęgnuję chorych, chrzczę i daję śluby. Przez te lata posiadam pewną mądrość, a mianowicie wiem, co czynić należy, by odnaleźć samego siebie. Wiem, jak się wydostać z zakłętego kręgu własnych cierpień. Czy zechce pan pójść ze mną? :

Spojrzeni sobie w oczy. Za oknem wył wicher i śnieg dobijał się do szyb.

— Opowiedział mi pan własne dzieje — szepnął ojciec Roland. —  
Prawda, że to była pańska historia?

— Tak.

--- A ta kobieta była żoną pana?

— Tak. Była moją żoną.

Wyrwał raptownie dłoń z uścisku misjonarza i szybko wyszedł na korytarz. Ojciec Roland go nie zatrzymywał. Patrzył tylko długo na nie domknięte drzwi, a twarz jego zszarzała, powlekając się chorobliwą bladeścią. Machinalnie usiadł na ławce i wtulił się w kąt. Ręce położył bezwładnie na kolanach. Siedział długo, bez ruchu, jak martwy, z oczyma przymkniętymi i głową zwieszoną na piersi.

## 2. Tajemnicza pasażerka

**T**ej nocy Dawid przewędrował kilka razy z jednego końca uwięzionego pociągu na drugi.

Skłonny był przypuszczać, że to Opatrzność spiętrzyła na torze śnieżne zaspę. Gdyby nie ta zwłoka, już dawno, na stacji węzłowej, pożegnałby ojca Rolanda i z pewnością nie zdążyłby mu nic o sobie opowiedzieć. Zasadniczo nie sądził, że się kiedykolwiek i komu bądź zwierzy ze swej tragedii. Słowa wymknęły mu się mimo woli. Ale nie żałował ich. Cieszył się raczej. Wspomnienie żony męczyło go okropnie ostatnimi czasy. Teraz było już łżej.

W jednym z dalszych wagonów Dawid zajął miejsce w pustym przedziale. Wspominał mocny uścisk spracowanej dłoni misjonarza i jego propozycję. „Czy zechce pan pójść ze mną?” Pójść z nim? Ale dokąd?

Wiatr zawył, grzmotnął o szybę, zadzwonił w nią krupkami śniegu. Dawid wyjrzał przez okno. Nie widział nic. Na zewnątrz trwał czarny chaos. Lecz człowiek miał wrażenie, że na nieruchomy pociąg napiera nie tylko noc, ale również osacza go zewsząd tajemnicza gęstwa leśna.

Czy tam mieli iść razem z ojcem Rolandem? W ten bór?

Przyłgął twarzą do chłodnej szyby. Wytężył wzrok. Dziś rano ojciec

Roland wsiadł do pociągu na małej stacyjce i zajął miejsce naprzeciw Dawida. Zawarli znajomość. Nieco później misjonarz opowiedział, że ta knieja ciągnie się bez przerwy, setki mil w głąb tajemniczej Dalekiej Północy. Lubił swą krainę. Z radosnym wzruszeniem mówił, że znów do niej powraca. Opisywał jej bezmiar. Tysiąc pięćset mil od Zatoki Hudsona do łańcucha gór na zachodzie. Około tysiąca mil stąd do polarnego kręgu.

Dawid poczuł, że krew żywiej krąży mu w żyłach. Zawierucha wzmagała się za oknem; dzieliła ją od niego tylko cienka warstwa szyby. Wiatr wył niby istota z krwi i kości, rzucająca drwiące wyzwanie, proponująca walkę na pięści. Dawid był raczej zmarzluchem. Nie lubił chłodu. Nienawidził śniegu. Ale ten zgiełk, biały tuman na czarnym tle, podniecały go jak zniewaga. Coś go pchało po prostu, by wytknąć głowę na

zewnątrz. Roześmiał się z własnej głupoty i dopiero wtenczas uprzytomnił sobie, że śmieje się po raz pierwszy od roku. Szybko rzucił wzrokiem wkoło, by upewnić się, czy jest po dawnemu sam.

Na przeciwległej ławce siedziała kobieta.

Na razie nie zobaczył nic prócz jej oczu. Były duże, ciemne, badawcze; zdawały się pytać o coś i niespokojnie wyczekiwać odpowiedzi. Nigdy nie spotykał źrenic tak tragicznych ani tak pełnych nerwowego niepokoju. Potem zauważył twarz, niemłodą, zapewne czterdziestoletnią, a jednak piękną swoistym urokiem więdnącego kwiatu. Zanim Dawid zdążył się jej przyjrzeć, odwróciła głowę wolno i z namysłem, jakby niezupełnie pewna czy znalazła już to, czego szuka — i zapatrzyła się w okno.

Zdziwiony Dawid obserwował ją z coraz większym zainteresowaniem. Czynił to oględnie, tak by nie zwrócić jej uwagi. Wyglądała oknem nieco pochylona, oparłszy brodę na dłoni. Zauważył, że rękę ma bardzo chudą, a policzki blade i wklęsnięte. Gęste włosy szesane na kark połyskiwały w świetle lampy. Były ciemnobrązowe, niemal czarne, przetykane tu i ówdzie srebrną nitką.

Dawid zawstydził się naraz, zupełnie jakby kogoś szpiegował, szybko odwrócił wzrok, lecz po chwili oczy jego pobiegły znów same ku tej kobiecie. Miała głowę schyloną jeszcze bardziej, plecy zgarbione i od czasu do czasu całą jej postacią wstrząsał nerwowy dreszcz.

Przed paroma minutami Dawid miał ochotę wystawić głowę przez okno na zewnątrz. Teraz ogarnęło go równie bezsensowne pragnienie przemówienia do tej kobiety, pytania, czy może jej być w czymkolwiek pomocnym. Nie wiedział jednakże, jak zacząć. W każdym razie cierpienie jej nie było z rzędu tych, którym mogą zaradzić silne pięści lub pełna kiesa. Nie wyglądała ani na głodną, ani na zziębniętą; obok stał zresztą koszyk z żywnością, a w tyle leżało ciężkie bobrowe futro.

Dawid wstał zamierzając wrócić do przedziału dla palących, w którym zostawił ojca Rolanda. Ten ruch wyrwał kobietę z odrętwienia. Podniosła na niego ciemne oczy. Usta jej drżały.

— Czy pan zna te strony? — spytała. — Okolicę pomiędzy tym miejscem a jeziorem Seul?

W głosie jej odzwierciedliło się to wszystko, co poprzednio dostrzegł w oczach: niepokój, nadzieja, jak gdyby wierzyła prawie, że nieznajomy podróżny pomoże jej znaleźć to, czego szuka.

— Jestem tutaj obcy — rzekł Dawid. — Po raz pierwszy odwiedzam tę okolicę. Skuliła się znów i twarz jej zmartwiała.

— Dziękuję — szepnęła bezbarwnie. — Sądziłam, że pan może zna... że pan może słyszał o człowieku, którego szukam. Nazywa się Michał O'Doone.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Naciągnąwszy na siebie futro, otuliła się nim i zapatrzyła znów w okno. Dawid stał jeszcze parę sekund, rozumiejąc coraz jaśniej, że nic tu nie może pomóc ani nic poradzić. Potem poszedł odnaleźć ojca Rolanda.

Znalazł się już w wagonie najbliższym lokomotywy, gdy usłyszał jakiś dźwięk. Był zbyt ostry, by przypominać wycie wichru. Inni pasażerowie usłyszeli go również i każdy zamarł w oczekiwaniu. Jakaś kobieta westchnęła z ulgą.

Dźwięk się powtórzył.

Jakiś mężczyzna, zawinięty w futro aż po czubek głowy, wrzasnął z radości:

— To gwizdek! — wołał. — To lokomotywa wraca! **3.**

### **Dawid się zgadza**

**D**awid zbliżył się do drzwi przedziału, w którym zostawił ojca Rolanda i zajrzał do wnętrza. Misjonarz siedział w kącie przy oknie. Głowa zwisała mu na piersi, a kapelusz o szerokiej kresie rzucał na twarz głęboki cień. Spał zapewne.

Dawid przyglądał mu się chwilę w milczeniu. Ten kaznodzieja głuszy dziwnie go pociągał. Miał wrażenie, że znalazł przyjaciela, więc czuł się o wiele mniej samotny. Chciał już przemówić, ale zdecydował, że nie należy przerywać drzemki, toteż na palcach cofnął się od drzwi do korytarza.

Wędrując na pozór bez celu minął jeden i drugi wagon. Było tam dużo wolnych miejsc, pasażerowie zaś krzatali się wesoło. Dopiero w trzecim wagonie odnalazł przedział z samotną pasażerką i siadł na miejscu zajmowanym poprzednio. Nie od razu spojrzał na swoje vis-a-vis. Nie chciał, by się domyśliła, że wrócił ze względu na nią. Gdy jednakże na pozór obojętnie spojrzał w tę stronę, doznał prawdziwego rozczarowania.

Była niemal całkowicie otulona futrem. Zobaczył tylko pasmo ciemnych siwiejących włosów i jedną dłoń, białą niby papier w świetle lampy. Wiedział, że nie śpi, gdyż poruszyła się właśnie, poprawiając płaszcz, natomiast gwizd zbliżających się lokomotyw nie wywarł na niej najmniejszego wrażenia. Obserwował ją dobrych dziesięć minut; zmieniał pozycję, kaszłał, chrząkał, ale nie podniosła nawet głowy.

Pożałował, że nie sprowadził ze sobą ojca Rolanda; misjonarz znalazłby z pewnością słowa odpowiednie dla tej duszy zrozpaczonej. Gdy potężna lokomotywa wiodąca pług śnieżny zbliżała się do pociągu — wstrząs omal nie zrzucił Dawida z ławki. Ale kobieta i teraz nie odsłoniła twarzy. Zniechęcony Dawid wstał i wyszedł.

Po raz drugi wrócił do przedziału dla palących.

Ojciec Roland nie drzemał już w kącie. Tkwiąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma w kieszeniach, pogwizdywał z cicha. Szerokoskrzydły kapelusz leżał na ławce. Dawid po raz pierwszy oglądał tę krągłą czerwoną twarz bez nakrycia głowy. Była jednocześnie młodsza i starsza zarazem. Bijąca z niej energia czyniła ją niemal młodzieńczą, natomiast gęste kędzierzawe włosy posiwiały prawie całkowicie.

Pociąg właśnie ruszał. Misjonarz spojrzał najpierw w okno, potem przeniósł oczy na Dawida.

— Jedziemy już — rzekł. — Niedługo wysiadam. Dawid zajął miejsce naprzeciwno.

— Czy od stacji węzłowej do tej chaty, do której ojciec się udaje, jest bardzo daleko? — spytał.

— Około dwudziestu lub dwudziestu pięciu mil. To jest właściwie farma Francuza Thoreau, na której on hoduje lisy. Pociąg nie staje tam prawdę mówiąc, tylko zwalnia pędu, bym mógł zrzucić bagaż i łatwiej zeskoczyć. Przewodnicy moi i psy czekają już.

— No, a jak daleko jest od chaty tego Thoreau do domu ojca? Misjonarz zatarł ręce i uśmiechnął się. Najwidoczniej wspomnienie domu sprawiało mu ogromną przyjemność.

— Do mojej chaty bardzo daleko, ale jeśli chodzi o „dom”, to cały las jest mi domem. Mieszkam w dole, za jeziorem Gods, trzysta mil od Thoreau. Trzysta mil lotem niskuka.

— Przepraszam, ale co to jest niskuk?

— Szara gęś. Leci zawsze w prostej linii.

— Słyszałem, że się zwykle mówi „lotem ptaka” albo „lotem wrony”. Tu przecie także są wrony?

— Są. Ale latają przeważnie tak krętymi drogami, jak kręte są drogi ich moralności. Przy tym, ponieważ żywią się odpadkami, trzymają się przeważnie torów kolejowych, gdzie jest dużo wszelakiego śmiecia, jak zwykle w pobliżu cywilizacji.

Po raz drugi tej nocy Dawid roześmiał się.

— Ojciec nie lubi cywilizacji?

— Całym sercem przyłgnąłem do północnych puszczy — odparł ojciec Roland. Twarz zmieniła mu się nagle, oczy przygasły i od kącików ust wybiegły surowe zmarszczki. Lecz trwało to tylko chwilę. Opierając dłoń na ramieniu Dawida misjonarz spytał:

— No i jakże? Czy zastanowił się pan nad moją propozycją?

— Tak. Byłem tu już nawet raz, ale ojciec spał.

— Nie, nie spałem. Czuwałem cały czas. Zdawało mi się, że słyszę ruch przy drzwiach, ale kiedy podniosłem głowę, nikogo już nie było. Wspominał mi pan poprzednio, że wybiera się w góry Kolumbii Brytyjskiej.

Dawid skinął głową, a ojciec Roland przysiadł się do niego.

— Nie wyjawiał mi pan powodu podróży, ale wobec tego, co słyszałem o tej kobiecie — sam łatwo odgadłem. Nie dowie się pan zapewne nigdy, dlaczego opowiadanie pana wywarło na mnie takie wrażenie, tak mnie do pana zbliżyło... Jadąc na Zachód pan po prostu ucieka, usiłuje pogubić w drodze wspomnienia. Tak, jakby przestrzeń mogła wspomnienia zabić. Niestety, myśli towarzyszą nam równie wiernie w Japonii, jak i na Wyspach Południowych lub w Nowym Jorku. Nieraz im dalej, tym stają się bardziej natrętne. Nie, ucieczka nic nie pomoże. Pomoże tylko własna energia. Energię zaś, radość życia, zdrowie, znaleźć można tylko tu.

Wyciągniętą ręką wskazał okno przedziału.

— Ojciec ma na myśli tę zamieć?

— Zamieć, śnieg, słońce, knieję — tysiące mil głuszy! Oto co leczy mózg i nerwy! Ale przede wszystkim — tu misjonarz radośnie zatarł dłonie — myślę o kolacji, którą dla nas przygotował Thoreau. Czy zechce pan wysiąść i zjeść ze mną kolację u tego Francuza? Jeśli potem nie będzie pan chciał mi towarzyszyć do jeziora Gods, Thoreau odwiezie pana wraz z bagażem na stację swoim psim zaprzęgiem. Ach, co za

kolacja, a raczej co za śniadanie nas czeka! Już z daleka czuję zapach ryb, ptactwa, tego pieczystego. No i słyszę, jak Thoreau klnie, bo się pociąg spóźnia, a pstrągi, kuropatwy i polędwica karibu rumienia się, przy ogniu. No co? Jedzie pan ze mną?

— Bardzo ponętna propozycja dla głodnego człowieka.

Misjonarz zachichotał radośnie.

— Ach, głód, to dopiero lekarstwo, pod warunkiem, żeby nie był zbyt silny! I w ogóle stosunek do jedzenia często świadczy o naturze człowieka. Przeważnie smakosz jest jednocześnie pocziwcem. Natomiast człowiek zbyt wstrzemięźliwy, zbyt ostrożny w doborze pokarmów miewa naturę porywczą, a nieraz po prostu złą. Ja jestem smakoszem, panie Dawidzie. Uprzedzam zawczasu. Nie darmo czuję woń smakołyków Thoreau na odległość czterdziestu mil.

Z takim zadowoleniem zacierał ręce, twarz jego promieniała radością tak szczerą, że Dawid uczuł naraz przyływ dobrego humoru. Chwytając prawicę misjonarza potrząsnął nią mocno.

— Jedziemy do tego Thoreau! — zawołał. — Później zaś, jeżeli mój nastrój nie ulegnie zmianie i jeśli towarzystwo moje ojcu nie zbrzydni — to się chyba wybiorę razem na Daleką Północ!

Zarumienił się, oczy mu błysnęły. Ojciec Roland nie posiadał się z radości.

— Wiedziałem, że jest pan materiałem na prawdziwego mężczyznę — mówił. — Byłem tego pewien. Nigdy nie pragnąłem tak niczyjego towarzystwa, jak właśnie pańskiego teraz!

— To jest jednak dziwne — odparł Dawid, przy czym głos mu drgał. Wyszarpnął ręce z dłoni misjonarza i wstał porywczo. — Proszę tylko na mnie spojrzeć! Jestem ruiną człowieka. O, te ramiona na przykład, ani cienia mięśni. Załamałem się zupełnie, osłabłem, straciłem wolę. Co tu długo gadać, od roku ani razu porządnie nie zjadłem. Po cóż ojcu taki towarzysz? Po co ten kłopot? Czy to nie litość przypadkiem?

Oddychał głęboko znużony wybuchem i poczerwieniał nagle, lecz nie z radości tym razem, tylko ze wstydu, że się tak przed obcym obnaża.

— Po co jestem ojcu potrzebny? — powtórzył. — Dlaczego nie wybierze sobie ojciec innego towarzysza, zdrowego moralnie i fizycznie?

Misjonarz chciał odpowiedzieć, lecz zawahał się. Przygasł natomiast i rysy jego skaził grymas cierpienia. Wreszcie rzekł:

— Nie gram bynajmniej roli samarytanina, panie Dawidzie. Mam osobisty i niemal egoistyczny powód. Co pan może wiedzieć: może pan bardziej jest mi potrzebny niż ja panu. — Wyciągnął rękę. — poproszę o kwity bagażowe. Muszę wydać rozporządzenie, żeby pana rzeczy wyrzucono w odpowiednim miejscu, wraz z moimi.

Dawid wręczył mu kwity i usiadł. Zauważył z pewnym zdziwieniem, że po raz pierwszy od dawna, obchodzi go coś jeszcze poza ciasnym kręgiem własnej egzystencji. Ta noc i jej rozliczne zdarzenia podnieciły go po prostu, ożywiły mu krew i myśli. Czuł się jak ozdrowieniec po chorobie.

Znowu, jak niegdyś, myślał o kobiecie, lecz nie o jasnowłosej cudzołożnicy, tylko o pasażerze z dalszego wagonu. Prześladowały go jej oczy oraz ukryte w nich cierpienie. Były żalosne i beznadziejnie tragiczne. Postanowił, że opowie o niej ojcu Rolandowi. Może misjonarz znajdzie jakąś pociechę dla tej duszy cierpiącej.

Lecz i ojciec Roland stanowił pewną zagadkę. Była w nim niewątpliwie tajemnica równie głęboka jak ta, która się kryła w oczach kobiety, tak samo jak znekana pasażerka siedział skulony w kątku przy oknie i nie spał, choć sprawiał wrażenie śpiącego. Mogło się po prostu zdawać, że dusze ich nęka jednakowy ciężar. I dlaczego spośród tylu ludzi misjonarz wybrał właśnie jego, Dawida, jako towarzysza dalekiej wyprawy? Ale przede wszystkim, dlaczego on, Dawid, propozycję przyjął?

Wpatrywał się w noc za oknem, jakby z niej chciał wyczytać odpowiedź. Teraz dopiero spostrzegł, że śnieg i wichur przestały już szaleć. Na zewnątrz pojaśniało nawet. Przytulając twarz do szyby rozróżniał ciemną smugę boru biegnącą równolegle do szyn. Podług kołysania wagonu zgadywał, że obie lokomotywy nie tracą czasu.

Spojrzał na zegarek: była za kwadrans dwunasta. Pociąg mknął już od pół godziny i zapewne o północy dotrą do stacji węzłowej.

Dawid zadumał się tak głęboko nad mglistą przyszłością, że skoro kieszonkowy zegarek wydzwonił północ — drgnął, nie mogąc uwierzyć, iż kwadrans już minął. Jednocześnie prawie przeraźliwie gwizdnęła lokomotywa, a

w chwilę później za płytkim zakrętem jęły migotać rozproszone światełka.

Ojciec Roland mówił mu poprzednio, że pociąg będzie tu stał piętnaście minut; słyhać już było nawet dzwonki kelnerów, wieszczące, że kawa, sandwicze, gorące dania oczekują zgłodniałych pasażerów.

Szorstko zgrzytnęły hamulce, westchnęła wypuszczona para. Stojąc wciąż przy oknie Dawid zobaczył naraz tuż pod sobą człowieka o wybałuszonych oczach, który gwałtownie kołysał w powietrzu trzymanym w prawicy dzwonkiem, wrzeszcząc jednocześnie:

— Kolacja! Gorąca kolacja czeka w „Royalu”!

Darł się co sił, daremnie usiłując przekrzyczeć inny głos, który wołał:

— Gorące pieczyste! Smażona wątróbka! Tylko „Pod Królową Aleksandrą”!

Ponieważ Dawid nie ruszał się, człowiek pod jego oknem wyciągnął szyję, przypuszczając atak bezpośredni.

— Czego tak sterczysz, stary? Wyłaż i chodź jeść! Masz dobry kwadrans, a może nawet pół godziny. Kolacja, gorąca kolacja, tylko w „Royalu”!

Kelnerzy ganiłi tu i tam po słabo oświetlonym peronie, lecz drab o wybałuszonych oczach tkwił w miejscu uparcie, wciąż powtarzając swoją propozycję. Dawid nie zwracał już na niego uwagi. Myślał o tragicznej nieznanym. Może wysiada właśnie na tej stacji? Wyszedłszy na korytarz poszukał wzrokiem ojca Rolanda. Misjonarz się spóźniał, najwidoczniej przy wydawaniu bagażu zaszły jakieś komplikacje.

Dawid zawahał się: czy pójść poszukać ojca Rolanda, czy też sprawdzić, co porabia zagadkowa pasażerka? Wybrał to ostatnie, jakkolwiek nie mógł się obronić przed uczuciem pewnego zawstydzienia. Bał się nawet, że samotna dama będzie go podejrzewać o złe zamiary, toteż wołał, o ile możliwości, obserwować ją z ukrycia. Chciał zresztą tylko zobaczyć, czy otrząsnęła się z otępienia, lub może wysiadła z wagonu, albo nawet zupełnie opuściła pociąg.

Przedział był pusty, kobieta znikła. Dawid spojrział na ławkę i chciał już odejść, gdy mimo woli rzucił wzrokiem przez okno. Tajemnicza pasażerka mijała je właśnie, idąc po peronie. Podniosła głowę i źrenice ich się spotkały. Poznał ją, ona zaś poznała jego. Zawahała się chwilę, zamrugła powiekami, usta jej drgnęły, jak gdyby chciała coś powiedzieć — lecz nagle zrobiła znów parę kroków, ginąc w mroku niby cień.

Pochylony, świdrując oczyma ciemność, usiłował ją jeszcze dojrzeć. Wreszcie cofnął się od okna i zadumany powiódł wzrokiem po przedziale. Dopiero wtenczas zobaczył w rogu ławki rzecz, której poprzednio nie spostrzegł wcale.

Była to cieniutka paczuszka owinięta w gazetę i obwiązana czerwonym sznureczkiem. Wziął ją do ręki i obrócił parokrotnie. Miała zaledwie sześć cali na osiem, a grubość jej nie przekraczała pół cala. Papier gazetowy był tak zniszczony, że litery zatarły się niemal całkowicie.

Raz jeszcze wyrzwał za okno. Zobaczył, czy też wydało mu się, że widzi ponownie bladą twarz, majaczącą poza jasnym kręgiem peronowej latarni. Silniej zacisnął palce na płaskiej paczce. Wreszcie znalazł pretekst; byle odnaleźć tę kobietę, może do niej teraz przemówić swobodnie. Skoro zapomniała czy zgubiła, do jego obowiązku należało po prostu rzecz ową zwrócić.

Bez namysłu zeskoczył na pokrytą śniegiem platformę. Coś go parło na przód; gdyby nawet chciał, nie mógłby się tej chęci oprzeć. Trzymając paczuszkę w dłoni, zaczął szukać gorączkowo.

#### 4. Na spotkanie przygody

**D**awid pośpieszył najpierw w kierunku, w którym twarz kobiety mignęła mu po raz ostatni, i omal nie spadł z peronu w dół. Platforma kończyła się czarną przepaścią. Oczywiście pasażerka nie odeszła tędy.

Kelnerzy dzwonili nadal, lecz z mniejszym zapalem; kto był naprawdę głodny lub spragniony, dał się już skusić. Umilkły wołania w rodzaju: „Gorące pieczone, smażona wątróbka, tylko »Pod Królową Aleksandrą«. Zastąpił je natomiast szcęk talerzy i szklanek. W ciszy sapała lokomotywa i chrapliwie klócili się ludzie w wozie bagażowym.

Ktoś komuś wymyślał, ktoś komuś obiecywał pranie, lecz Dawid szukał dalej, nie zwracając uwagi na zapowiedź bójki. Kiedy dobiegłszy go końca platformy wracał po paru minutach wzdłuż pociągu, paru współczujących przyjaciół cucilo nieprzytomnego konduktora. Mijał właśnie zaaferowaną gromadę, gdy naraz ktoś chwycił go za ramię i jednocześnie usłyszał wesoły chichot. Obejrzał się i dostrzegł ojca Rolanda.

— Ojcie nasz, któryś jest w niebiesiech, jak się tu ten biedak dostał! — mówił misjonarz, a oczy mu płonęły. — Cios z prawej na odlew, pięścią twardą niczym stal. Usnął natychmiast jak niemowlę. Widział pan?

— Nie, nie widziałem. — Dawid obserwował misjonarza ze zdumieniem.

— Najzupełniej sobie na to zasłużył! — tłumaczył ojciec Roland. — Lubię zresztą widzieć prawidłowy cios. Żyłem tu już w czasach, gdy mocna pięść znaczyła więcej niż sutanna i modlitwa razem wzięte. Co do naszego bagażu, to omówiłem wszystko dokładnie. Wyrzucą nas razem z rzeczami, gdzie trzeba.

Dawid wsunął płaską paczkę do kieszeni, na razie przynajmniej nie miał wcale ochoty opowiadać misjonarzowi o tajemniczej pasażerze. Szukał jej daremnie. Kobieta znikła, tak jakby się rozviała bez śladu w mrocznej pustce nocy za peronem. Wyciągnął stąd jedną konkluzję. Ta osada, Graham, była jej domem; niewątpliwie przyjaciele lub krewni oczekiwali na nią na stacji. Kto wie, czy właśnie nie opowiada synowi, mężowi, bratu, komukolwiek wreszcie, o tajemniczym pasażerze, którego wzrok tak ją prześladował.

Dawid Raine czuł się nieco zawstydzony. Miał zupełną niemal pewność, że to nerwy go poniosły i że doszukał się tragedii i zagadek tam, gdzie istniało po prostu znużenie podróży. Zachował się zresztą uczciwie i po rycersku, lecz wolał tej sprawy nie rozwlekać.

Gdy głos konduktora obwieścił, że chwila odjazdu nadeszła, pasażerowie jęli spiesznie wsiadać z powrotem do wagonów. Ojciec Roland pociągnął Dawida do wagonu bagażowego.

— Pozwolili nam jechać wraz z rzeczami dla uniknięcia straty czasu i pomyłek!

Wcisnęli się do ciepłego i widnego wnętrza. Bagażowy skinał im głową na powitanie. Tuż przy drzwiach leżały spiętrzone rzeczy Dawida i ojca Rolanda. Bagaż Dawida składał się z kufra i dwóch skórzanych waliz, gdy tymczasem misjonarz posiadał kilka skrzyń oraz napęczniałych worów, ważących zapewne ogółem blisko pół tony.

Pod ścianą wagonu Dawid spostrzegł dużą wagę i wskazał na nią z uśmiechem. Przyszło mu na myśl, że za jej pomocą zdoła może lepiej przedstawić misjonarzowi zachodzącą między nimi różnicę. Zważył sam siebie starannie na oczach ojca Rolanda, przy czym waga wykazała tylko sześćdziesiąt sześć kilo.

— A mam przecie pięć stóp dziewięć cali wzrostu! — burknął z obrzydzeniem. — Powiniennem ważyć osiemdziesiąt kilo. Widzi ojciec, że zszedłem na psy!

— To wszystko troski, panie Dawidzie. Troska morduje człowieka na równi z kulą w sercu i ospą. Ale proszę zwrócić uwagę na ten worek - tu wskazał spory brezentowy wór. — To antidotum, najlepsze z istniejących. Tego, co tu mam, wystarczy dla odbudowania energii trzech mężczyzn.

— Cóż to takiego? — ciekawie spytał Dawid.

Pochylony misjonarz sprawdził kartkę przyczepioną do worka.

— Żeby być zupełnie dokładnym, zawiera pięćdziesiąt kilo fasoli.

— Fasola! Wielkie nieba! Ależ ja fasoli nie znoszę!

— To się zdarza wielu cherlakom — przyznał wesoło ojciec Roland. — Fasola posiada swoją wartość psychologiczną. Z chwilą gdy będzie pan ją wolał zamiast kraba czy homara, znaczy to, że będzie pan chciał również narąbać drzewa, zamiast iść na bal. Przyjdzie dzień, że uznają pan za potrawę nieodzowną. Ale musi być przyrządzona

należycie. Brunatna jak orzech na zewnątrz, wewnątrz zaś soczysta, podlana sosem duszonej kaczki czy kuropatwy. Palce lizać!...

Zachwycony zatarł ręce. Dawid chciał coś powiedzieć, lecz przerwało mu głośnie przekleństwo. Pociąg jechał już dobrą chwilę, odkąd zaś ruszył ze stacji, bagażowy siedział przy stoliku, zwrócony do nich plecami. Skoczył teraz na nogi wściekły i klnąc na nowo, kopnął wiadro z węglem tak gwałtownie, że poleciało aż na drugi koniec wagonu. Stolik był zasłany kartami do gry.

— Do wszystkich diabłów! — wył bagażowy. — Dziesięć pasjansów i ani jeden się nie udał. Bies chyba siedzi w tych kartach! Gdyby były żywe, to bym je stłukł! Od dziewięciu lat kładę pasjanse, położyłem ich chyba z. milion, ale nigdy jeszcze nie prześladował mnie taki pech, jak od wyjazdu z Halifax!

— Na miłość boską — jęknął ojciec Roland — czyżby od wyjazdu z Halifax nie robił pan nic innego?

Ponury samotnik, zdając się nic nie słyszeć, przysunął sobie krzesło, siadł i warcząc rozłożył karty na nowo. Lecz zanim upłynęła minuta, zerwał się raz jeszcze i z pasją potrząsnął kartami pod samym nosem misjonarza, jakby ten ostatni był wszystkimu winien.

— Niech no pan spojrzy na tę przeklętą trójkę kier! Wylazła na samym początku, pojmuje pan? Gdyby nie ona, pasjans by się udał. Przecież chyba można się wściec! Można czy nie?!

— Ależ dlaczego nie umieścił jej pan w innym, dogodniejszym miejscu? — naiwnie spytał Dawid.

Oczy bagażowego omal nie wylazły z orbit. Najpierw spojrział na Dawida z wściekłością, następnie zaś widząc, że nie była to rozmyślna złośliwość — zmierzylł pasażera wzrokiem pełnym pogardy. Spytał drwiąco:

— Pan zapewne nigdy nie kładł pasjansa?

— Nigdy! — otwarcie przyznał Dawid.

Bagażowy wzruszył ramionami, siadł przy stole, stasował karty i pogrążył się cały w zawiłych kombinacjach. Mruczał przy tym i kłął, jakby się sam ze sobą kłócił. Podniósł głowę dopiero wtenczas, gdy pociąg jął zwalniać pędu, a na gwizd lokomotywy skoczył na równe nogi i odsunął drzwi wagonu.

— Teraz szybko! — wołał. — Nie mamy prawa tutaj stawać. Musicie wysiąść w biegu!

To mówiąc pchnął worek z fasolą i cisnął go w mrok. Ojciec Roland pośpieszył mu z pomocą: kufer Dawida i jego walizy poleciały kolejno śladem worka.

— Śnieg jest głęboki i miękki — zapewniał misjonarz, spychając w czarną przepaść skrzynkę suszonych śliwek.

Dawid usłyszał na zewnątrz hałas: krzyk ludzki, ujadanie psów. Były latarnie: jedna, druga, trzecia. W kręgu światła pojawiła się twarz brodata, zarośnięta, podobna do oblicza pirata i jęła sunąć wzdłuż pociągu. Widać człowiek biegł co sił wzdłuż toru. Wyleciała ostatnia paka, ostatni wór. Bagażowy niespodziewanie szarpnął Dawida za ramię.

— Proszę skakać! — krzyknął.

Twarz i latarnia pozostały w tyle; na zewnątrz było czarno niby w sztolni. Dawid rzucił się naprzód i wyleciał w taki sam sposób mniej więcej, w jaki leciały poprzednio paki i walizy. Padł ciężko w pierzynę śnieżną, a gdy podniósł głowę, zobaczył jak wyskakuje ojciec Roland. Bagażowy wychylony z wozu machnął latarnią, odpowiedział mu gwizdek lokomotywy i pociąg nabrawszy znów pędu pomknął dalej.

Dawid zdołał się wygramolić z zasy w ten czas dopiero, gdy światło ostatniego wagonu mrugnęło ku niemu w przelocie jak czerwona źrenica. Ojciec Roland tymczasem stał już na nogach, a wzdłuż toru nadbiegało paru ludzi z latarniami.

Dawid był ogromnie przejęty. Oddychał głęboko i swobodnie. W żyłach czuł miłe ciepło. Słyszając, jak chrzęszczą w śniegu kroki ojca Rolanda, myślał, że rozpoczyna nowe życie — egzystencję, o której nieraz marzył, czasem śnił, lecz z którą nigdy nie zetknął się z bliska.

Z daleka dobiegało ujadanie lisów na farmie Thoreau, czekały psy, światło latarni walczyło beznadziejnie z zaborczą falą mroku. W chłodnym powietrzu wisiał mocny aromat żywicy; płuca chłoneły go chciwie, a krew, poprzednio tak ospała, pulsowała szybciej, jak gdyby pobudzona niespodzianie dawką alkoholu.

Dawid nie miał zresztą nawet czasu dla analizowania nowych wrażeń, gdyż Thoreau i towarzyszący mu Indianin zbliżyli się do niego. Francuz był uosobieniem mieszkańca dzikiej krainy. Zarośnięty aż po oczy, błyskał białymi zębami w świetle latarni. Nosił barwną kurtkę wełnianą, przyozdobioną frędzlami, rozchełstaną na piersi, oraz futrzaną czapę, z której opadał na ramię puszysty ogon wydry. Mieszając słówka francuskie i indiańskie mówił bez przerwy, okazując ogromną radość z przybycia ojca Rolanda. Gadatliwością i ruchliwością kontrastował z Indianinem, który surowy i milczący tkwił w tyle niby uosobienie tajemnicy. Lecz gdy misjonarz podał mu rękę, oczy czerwonoskórego zabłyśły ogniem tak płomiennym, aż się Dawid zdziwił. Potem ojciec Roland przedstawił gościa.

— Bardzo jestem rad, że pana poznaję — rzekł Thoreau. Głos miał dźwięczny i układny, typowo francuski, ale uścisk jego ręki przypomniał Dawidowi ojca Rolanda, tak był szczery i silny. Za silny nawet dla człowieka z miasta. Dawidomalże nie syknął z bólu.

W chwilę później uczynił pewien wyłom w etykiecie leśnej, szczęściem — zupełnie fortunny. Nie miał pojęcia, że Indianina wita się zazwyczaj tylko skinieniem głowy, toteż gdy ojciec Roland rzekł: „To jest Mukoki, z którym wędruję od paru lat” — Dawid wyciągnął rękę. Mukoki popatrzył mu w oczy długo, uważnie, po czym spośród fałd odzieży wysunął szczupłą, wąską dłoń.

Mając już pewne doświadczenie, Dawid uściskał prawicę Indianina z całą energią, do jakiej był zdolny. Był to najserdeczniejszy uścisk, jaki Mukoki otrzymał kiedykolwiek od białego człowieka, z wyjątkiem jednego może ojca Rolanda.

Tymczasem misjonarz wesoło pytał o kolację. Thoreau odpowiedział coś po francusku.

— Mówi — tłumaczył ojciec Roland — że wewnątrz chaty przypomina wewnątrz pieczonej kaczki, tak ślicznie pachnie. Chodźmy panie Dawidzie, Mukoki pozbiera rzeczy.

Krótki spacer po przetartym szlaku i oto Dawid zobaczył chatę. Zaslaniały ją nieco potężne jodły i sosny, lecz z dwóch okien, zwróconych w stronę toru, biło jaskrawe światło. Lisy przestały ujadać, za to psy wyły i czekały jak najęte, a im bliżej, tym lepiej było słyszeć brzęk łańcuchów i złowrogie kłapanie kłów. Po chwili zatrzymali się u drzwi. Thoreau rozwarł je szeroko, po czym usunął się w bok, by mogli swobodnie przejść.

— Proszę! — rzekł błyskając wesoło białymi zębami. — Gdybym nie puścił gościa przodem, przyniosłoby mi to z pewnością nieszczęście. Wszystkie lisy by mi wyzdychały.

Dawid wszedł. Zwrócona do niego plecami młoda Indianka pochylała się nad stołem. Była smukła niby trzcina i miała najdłuższe, najbardziej czarne włosy, jakie widział kiedykolwiek, splecione w grube warkocze luźno zwisające z ramion. Odwróciła się zresztą natychmiast, zobaczył więc smagłą twarz, lśniące oczy i zęby, ale z pięknych ust nie usłyszał ani słowa. Thoreau nie przedstawił gościom swej na pół dzikiej żony.

Ojciec Roland chichotał, radośnie zacierał ręce, powiedział parę słów w narzeczu indiańskim, na które kobieta zareagowała nieśmiałym półuśmiechem. Dobry humor jest zaraźliwy: Dawid uśmiechnął się również. W piecu buzował ogień hucząc i trzaskając skrami. Indianka, imieniem Maria, otwarła drzwiczki, by dorzucić drzewa; w świetle płomieni twarz jej poróżowiała, a równy rząd zębów błysnął mleczną bielą. Thoreau zbliżył się, opierając ciężką dłoń na ciemnych włosach, pod wpływem pieczyoty śmiech wezbrał znowu w gardle Marii niby gruchanie gołębia.

Dawid miał wrażenie, że budzi się z ciężkiego snu do nowej radosnej egzystencji. Jak tu było dobrze i pogodnie w tej chacie skleconej z ledwo ciosanych bali; mięśnie i nerwy nadwątlone długą troską nabierały odporności i tężyzny. Podświadomie uśmiechał się cały czas nie spuszczać oczu z prawicy Francuza, klepiącej ciemną główkę Indianki, Maria szepnęła coś mężowi, a wtenczas Thoreau, otwarłszy drzwi piecyka, wydobyl potężnych rozmiarów rynkę.

Na ten widok ojciec Roland krzyknął radośnie i zatarł ręce tuk gwałtownie, aż zachręściła spracowana skóra. Już u samych drzwi chaty, zanim weszli do środka, powitała ich rozkoszna woń, lecz teraz dopiero poczuli ją w całej pełni.

— Kaczki utuczone na dzikim ryżu i królik, moja ulubiona potrawa, królik z cebulą w miejsce serca, popieprzony naleźycie i upieczony na brunatno! — wołał misjonarz. — Panie Dawidzie, czy może istnieje coś lepszego dla ludzi znużonych podróżą? A kawa, kawa przyrządzona przez Marię — istna ambrozja! Elixir młodości! Niech, no pan zdejmie płaszcz i niech się pan rozgości!

Zdjąwszy palto, poprawiwszy kołnierzyk i krawat, Dawid przypomniał sobie naraz wielki kufer, zawierający frak i smoking, sztywne koszule, zamszowe rękawiczki, lakierki — i zawstydził się niewczesnej elegancji. Pożałował, że nie porzucił tych rzeczy w wagonie, na szczęście, zamiast je zabierać ze sobą. Były tu rażąco niepotrzebne.

Maria podała mu chłodną wodę w blaszanej miednicy i ręcznik zrobiony z worka na mąkę. Miednica, woda, ręcznik, wszystko było tak czyste jak rumiana twarz Indianki. Również Thoreau, mimo zarostu i zniszczonej, prymitywnej odzieży, nie sprawiał bynajmniej wrażenia brudasza. Wnętrze izby było także schludne, sprzątnięte starannie i celowo.

Kiedy zasiedli do stołu — przy czym Thoreau dotrzymywał gościom towarzystwa, Maria zaś usługiwała stojąc — Dawid zgłupiał zupełnie, nie wiedząc, jak się do jedzenia zabrać. Otrzymał bowiem duży blaszany talerz, a na nim trzyfuntową kaczkę, ociekającą tłuszczem, upieczoną w całości na piękny brązowy kolor. Zażenowany, poprawił rękawy i wypił szklankę wody, obserwując spod oka, co pocznie ojciec Roland.

Misjonarz z uśmiechem zadowolenia wbił widelec głęboko w pierś ptaka, ujął w palce jedną nogę, szarpnął, pociągnął i zręcznie oddzielił od całości żądany kawałek. Nurzając zęby w mięsie spojrzał na Dawida.

Dawid oczywiście jadał kaczkę niejednokrotnie przedtem, lecz ów mdły ptak, obłany zazwyczaj sosem zbyt gęstym lub też wodnistym, nie przypominał w niczym dzisiejszego przysmaku. Zaczawszy dłużyć niedowierzająco trzyfuntowe pieczone, zjadł je do końca z uczuciem rosnącego zadowolenia. Znalazł soczyste kaski, których istnienia nawet nie podejrzewał, otrzymując w domu lub restauracji zawsze tylko cienkie plasterki z piersi, nogę lub skrzydło. Zawstydzilby się własnej żarłoczności, gdyby nie to, że ojciec Roland, skończywszy pierwsze danie, zabrał się energicznie do królika.

Dawid dotrzymywał mu towarzystwa pijąc trzy filiżanki kawy.

Po posiłku ojciec Roland odsunął się od stołu z błogim westchnieniem sytości, po czym wyciągnął z kieszeni skórzany woreczek. Z woreczka dobył fajkę i tytoń. Thoreau już swą fajkę zapalał.

Niegdyś, jeszcze w domu, Dawid lubił również ćmić po pracy fajkę. Zarzucił później ten zwyczaj, gdyż w nerwowym trybie życia smakowały mu bardziej papierosy lub cygara. Teraz wszakże, obserwując zadowoloną twarz ojca Rolanda i rysy Thoreau uśmiechnięte poza mgłą dymu, poczuł nawrót dawnego gustu. Jego bagaż leżał już złożony pod ścianą, otworzył zatem walizę i odnalazł potrzebną paczkę.

Po chwili palili wszyscy trzej, pod ścianą zaś, na uboczu, siedziała Maria, tak by nie narzucać się swą osobą i nie przeszkadzać mężczyznom w rozmowie. Krąglą brodeę oparła na splecionych śniadych rękach, a ciemne oczy lśniły zadowoleniem. Czuła się najzupełniej szczęśliwą, wynagrodzona za trud całodzienny. Cała izba promieniała pogodną beztróską. Ów nastrój przesączał się w duszę Dawida, działał nań kojąco. Czasem tylko myślał pełen melancholii, że w tej chacie z ciosanych bali panuje słodka atmosfera, której nie zaznał nigdy w swoim wspaniale urządzonym domu.

Nocy tej Maria odezwała się tylko raz, mówiąc do męża cicho i krótko, poza tym była milcząca, jak przystoi kobiecie indiańskiej w obecności mężczyzn, ale to nie pomniejszało jej szczęścia. Thoreau skinął w pewnej chwili głową w kierunku zamkniętych drzwi, obwieszając z dumą, że tam śpią dzieci. Maria usłyszała go, a twarz jej przybrała wyraz tak pełen tklivości, że Dawid, wspominając własne niespełnione marzenia, uczuł dotkliwy ból.

Gościowi wskazano izbę, w której miał spędzić resztę nocy; była to niewielka klitka, oddzielona sosnowym przepierzeniem od sypialni misjonarza. Thoreau umieścił lampę na stole przy łóżku, życzył dobrej nocy i wyszedł.

Minęła już druga, mimo to Dawid wcale nie był senny. Rozebrał się tylko, zdjął obuwie i siadłszy na krawędzi pościeli pograżył się w zadumie. Myślał o kobiecie spotkanej w pociągu, o jej bladej twarzy i pięknych tragicznych oczach. Wyciągnął z

kieszeni zapomnianą przez nią paczkę. Obrócił ją w rękach. Czerwony sznurek był związany tak silnie, że nie dał się rozplatać, lecz Dawid zerwał go jednym szarpnięciem.

Wstyd mu było własnej ciekawości. Uspokajał zbuntowane sumienie zapewnieniem, że jedyna możliwość odnalezienia nieznajomej i zwrócenia jej zguby leży właśnie we wnętrzu paczki, która zawiera być może nazwisko czy adres lub inną wskazówkę. Zdecydowanym ruchem rozwinął gazetę.

W parę sekund później, pochyłony, w pełnym świetle lampy, oburącz ściskając to, co wydobył z zamknięcia, patrzył rozszerzając oczy, rozchylając usta i czuł, że z wrażenia serce przestaje mu bić.

## 5. Dziewczyna z fotografii

**D**awid trzymał w ręku fotografię dziewczyny.

Już wtedy, gdy spod odwijanej gazety wyrzwał brzeg popielatej tekturki, odgadł, co paczka zawiera. Mimo to jednakże doznał po prostu wstrząsu. Ubiegła noc przyzwyczaiła go do niespodzianek, lecz ostatnia niespodzianka pobiła rekord.

Dziewczyna na fotografii nie była dlań martwą postacią ani nawet odbiciem żywej istoty. Była żywą sama przez się! Dawid odczuł to natychmiast całym sobą, każdym włóknom nerwów. Zupełnie jakby spotkał ją niespodzianie i nastraszył, gdyż patrzyła mu w twarz uważnie, badawczo, trochę zalekniona, trochę wyzywająca, gotowa w każdej chwili do ucieczki.

Nie zdziwiłby się prawie, gdyby wykonała jakiś ruch, cofnęła się i znikła z pola widzenia. Z pewnością miała ten zamiar, z pewnością chciała uciec właśnie wtenczas, gdy ktoś nieznanym wykonał zdjęcie z ukrycia.

Podkręciwszy lampę zaczął wyszukiwać szczegóły. Dziewczyna stała na płaskim głazie nad wodą, w tyle stał się biały piasek, dalej był czarny wąwóz i piętrzyła stroma ściana górską. Nieznajoma miała bose stopy, dziwnie jasne na tle ciemnej skały, i obnażone ramiona. Nędzna sukieneczka sięgała zaledwie kolan.

Z głowy, pochyłonej ku przodowi ruchem pełnym nieufnego oczekiwania, wiatr zmiótł na barki i piersi gęstą falę kręconych włosów. W bogactwie loków igrało słońce, światło lampy barwiło je złotem; pierś zdawała się oddychać; usta rzeźbić wyrazy. Szczupła, giętka, dzika i prześliczna pulsowała gorącą krwią.

Dawid odetchnął głęboko i siadł wygodniej na krawędzi łóżka. Słyszał, jak w sąsiednim pokoju ojciec Roland przewraca się na skrzypiącym łóżku. Potem usłyszał głos misjonarza.

— Dobranoc, panie Dawidzie!

— Dobranoc, ojcie.

Jednak sam, zamiast się kłaść, patrzył tępo na belkowanie ściany. Potem znów, pochylając się bliżej światła, wlepił oczy w obrazek.

Wysiłkiem woli uspokoił nerwy, ustosunkowując się do portretu znacznie chłodniej. Dziewczyna była niewątpliwie prześliczna, ale czyż mało się spotyka

uroczych dziewcząt? Odwracając karton na drugą stronę, zobaczył jakieś litery, które przeczytał w skupieniu i z uwagą:

„Struga Firepan, koło rzeki Stikine. W sierpniu...”

Data była zamazana. To wszystko. Ani imienia, ani nazwiska, nic, co by mogło posłużyć do odszukania tajemniczej pasażerki lub osoby znajdującej się na zdjęciu.

Ponownie przyjrzał się dziewczynie. Była młodzianka, niemal dziecko, mogła mieć chyba siedemnaście lat. Musiała przed chwilą brodzić w jeziorze, gdyż na białym piasku leżała pończocha, a obok pończochy, para mokasynów czy też trzewików — nie mógł dokładnie rozeznaczyć, co mianowicie. Może zamierzała się kąpać i ktoś jej przeszkodził. Skoczyła wtenczas na skalę i odwróciła się, cisnąc dłonie do piersi i spod chmury włosów błyskając oczyma na pół wyzywająco, na pół trwożnie. Gotowała się właśnie do walki lub ucieczki, gdy aparat ją ujął.

Dawid zacisnął usta. Przeszył go naraz ból tak ostry, że omal nie jęknął. Fotografia zamigotała mu w oczach, zasnutą mgłą złocistą, a zamiast nieznajomej dziewczyny zobaczył tamtą. Stała w płaszczu jasnych włosów, spośród których wzywały nagie ramiona i śmiała się zaczepnie. Na miłość boską, czyż nigdy nie potrafi o niej zapomnieć? Czyż przeklęta zjawia będzie go prześladować nadal, doprowadzać do obłędu?

Wpił palce w karton, myśląc z rozkoszą, że zaraz obróci go w strzępy. Rozdarłszy jednak brzeżek — zawahał się. Dziewczyna z fotografii patrzyła na niego uparcie, szeroko rozwartymi, zdziwionymi i przerażonymi oczyma. Zdawała się także pytać o powód napaści. Po raz pierwszy dostrzegł to pytanie w głębi źrenic. Gdyby mogła, przemówiłaby z pewnością. Powiedziałyby: dlaczego?

Rozluźnił palce. Delikatnie wygładził naddartą tekturę, jakby to była rana. Poczł ogromne współczucie dla tej półdzikiej istoty. Była zagubiona w obcym świecie, niepewna dalszego losu, jak on sam. Ostrożnie zawinął fotografię w papier.

Dawid był sentymentalny. Lubił wspomnienia i pamiątki. Posiadał jeszcze w szufladzie biurka wyblakłą wstążkę, spłowiwały kwiat. Cóż dziwnego, że z pewną czułością położył fotografię na stole.

Rozebrał się po cichu. W pewnej chwili dotknął ręką czoła. Było spocone i gorące. Nie zdziwił się, ani się przeraził. Ostatnimi czasy często miał nocą gorączkę, po której następował rankiem straszny ból głowy. Wiedział, iż jest to przestroga, której nie należy lekceważyć. Zdrowie jego pozostawiało wiele do życzenia.

Zgasiwszy światło wyciągnął się na łóżku. Czekał, że jak zwykle osaczą go teraz wspomnienia o złotej boginie, poczną mącić mózg i szarpać nerwy. Ach, ten śmiech, który wciąż brzmiał mu w uszach, którego się nie mógł pozbyć! Zacisnął

zęby i ręce w nagłym przypływie gniewu graniczącym z nienawiścią. Czyż to możliwe, że jeszcze o nią dba, że jeszcze do niej tęskni?!

Leżąc bez ruchu rozważał ten problem, i ani spostrzegł, jak zapadł w majaczenia sennie. Włóczył się sam po głuszy stęskniony i niespokojny, aż nagle — zobaczył dziewczynę! Stała na płaskim głazie nad wodą, pochylona nieco, niby kwiat o giętkiej łodydze, a szeroko rozwarte oczy spod chmury rozwichrzonych włosów zdawały się o coś pytać czy prosić.

Sen zmaćił zjawę; pogrążył się we śnie jak w ożywczej kąpieli. Szumiała mu woda nieznanego źródła, a w czubach drzew na zboczu górskim wiatr gawędził słodko.

## 6. Nowe życie

**P**o śnieżycy słońce zawładnęło światem.

Gdy Thoreau wstał, by rozpalić ogień w dużym piecu, była dziewiąta i panował iście psi chłód. Zamróz powlókł szyby gęstą warstwą, a słońce przezierало przezeń złote i purpurowe niby przez witraż kościelny. Kiedy traper otworzył drzwi chaty, chcąc spojrzeć na termometr, powitał go trzask drzew, które ziąb rozsadzał. Thoreau co rano badał zawsze w pierw temperaturę na zewnątrz. Chciał wiedzieć, czy mu chowane lisy nie skostniały i czy dzikie zwierzęta futerkowe włóczyły się tej nocy po lesie.

Przy pięćdziesięciu stopniach mrozu wydry, kuny i rysie rzadko używały przechadzki; w takie noce wołały spać o pustym brzuchu, zwinięte w kłębek w głębi dziupli mchem wysłanych, na dnie wykrotów lub przysypanych śniegiem jam. Skoro nie kusiły ich przynęty, zatem i sidła bywały puste. Tego ranka termometr wskazywał czterdzieści siedem stopni poniżej zera. Niezły mroźnik! Thoreau wzdrygnął się, gdyż mróz przejął go raptem do szpiku kości: Szybko zamknął drzwi. Potem odwrócił się i zdziwiony wytrzeszczył oczy.

Ubiegłej nocy, przed samym pójściem spać, ojciec Roland prosił go, by rano zachowywał się jak najciszej, tłumacząc, że Dawid Raine jest chory, wyczerpany i zechce zapewne wypoczywać do południa. A tymczasem ten rzekomo chory Amerykanin stał właśnie w drzwiach swej izby — zanim nawet rozpalono ogień, z uśmiechem kiwał głową i wyglądał o dobrych pięć lat młodziej niż poprzedniego dnia.

Thoreau pokazał zęby w przyjaznym uśmiechu.

— Dzień dobry panu — rzekł, posługując się mieszaniną języka francuskiego i narzecza Krików. — Kazano mi unikać hałasu i pozwolić panu spać jak najdłużej.

Skinął głową w kierunku izby misjonarza, chcąc wyjaśnić w ten sposób, skąd pochodziły rozkazy.

— To słońce mnie zbudziło — tłumaczył Dawid. — Proszę bliżej, coś panu pokażę.

Thoreau przekroczył próg, a wtenczas Dawid wskazał na jedyne okno izby zwrócone ku wschodowi. Zamróz powlekał szyby, słońce zaś jaskrawię płonące w tyle, podnosiło szkło i szron do godności jarzącego się złota.

— To właśnie musiało mnie zbudzić — mówił Dawid. — W każdym razie to przyciągnęło moje oczy zaraz po przebudzeniu. Jakież to piękne!

— Jest bardzo zimno i stąd taki szron — zauważył Thoreau praktycznie. — Ale zaraz rozpalę ogień i szron zniknie. Wtedy będzie się pan mógł przyjrzeć słońcu.

Dawid obserwował gospodarza niecałego ogień. Trzask płomieni napełnił go dziwną błogością. Był przy tym wyspany, gdyż w ciągu sześciu godzin spędzonych w łóżku nie zbudził się ani razu. Od roku niemal zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

Krew krążyła żwawo, roznosząc po ciele równomierne ciepło. Oczy miał wypoczęte, głowa nie bolała wcale. Oddychał łatwo, głęboko, wciągając powietrze w płuca niby balsam. Byłby przysiągł, że we śnie opuściła go choroba.

Ogień trzeszczał, hucząc wdzierał się do komina. Polana sosnowe, ociążałe żywicą, barwiły go na różowo. Thoreau jeszcze dorzucił drzewa, więc blask i ciepło rozpląnęły się szerzej po izbie i aromatyczna woń napełniła chatę.

Dawid zatarł ręce. Zacierał je jeszcze, gdy Maria weszła do izby kończąc splatać warkocze. Powitał ją skinieniem głowy, odpowiedziała uśmiechem ukazując białe zęby. Miała oczy tak niewinne jak oczy łani. Dawid pomyślał, że Thoreau musi być bardzo szczęśliwy, a raczej, że są szczęśliwi oboje, ta kobieta i jej mąż, właśnie jak być powinno.

Thoreau zbił skorupę lodową na wiadrze i napełnił wodą miednicę. Lodowata woda do porannych ablucji stanowiła dla Dawida rzecz najzupełniej nową. Odważnie zanurzył w niej twarz. Drobinki lodu kłuły mu skórę i chłód przenikał do kości. Zazwyczaj mył się niemal we wrzątku. Wycierając się ręcznikiem dzwonił zębami.

Następnie myła się Maria, po niej Thoreau. Skoro kobieta osuszyła twarz, dostrzegł, iż cera jej nabrała większej jeszcze świeżości, a rumieniec przebijał żywiej przez smagłą skórę.

Thoreau pluskał się i prychał w wodzie niby wesola morska świnka, policzki zaś ponad zarostem poczerwieniały mu jak rozpalone blachy u szczytu pieca.

Dawid pogrążył się z rozkoszą w tych drobiazgach, w najmniejszych, najmniej ważnych domowych czynnościach. Obchodziło go wszystko. Obserwował uważnie, jak za pomocą długiego noża Francuz dzieli na dzwona dużą rybę, przeznaczoną na pierwsze śniadanie. Potem patrzył, jak Maria obtacza poszczególne kawałki w mące i słuchał, jak skwierczą na gorącym tłuszczu na patelni.

Zapach ryby, wyjętej wczoraj z sieci zastawionej w przeręblu, zbudził w nim głód. Był to niezmiernie rzadki objaw. Od roku prawie zapomniał, że podobne uczucie w ogóle istnieje. Zdziwił się. Jakże wielkie zmiany zaszły w ciągu doby.

Wrócił do swojej izby z zamiarem włożenia kołnierzyka i zawiązania krawata, kiedy jednak zobaczył na stole paczkę z fotografią, zapomniał o wszystkim innym. Chciwie wziął ją do ręki. Teraz, o pełnym dniu, przy świetle słonecznym, spodziewał się wykryć coś nowego lub dostrzec jakąś zmianę. Lecz nie zauważył absolutnie nic. Dziewczyna była ta sama co wczoraj, załęczniona, gotowa do ucieczki, a w oczach i na ustach miała niesformułowane jeszcze pytanie.

Przypomniał sobie minioną noc: spokojny sen nad ciemną wodą, pieściwy szept drzew i czyjaś słodką obecność. Przebiegł go dreszcz. Czyżby to było możliwe? Czyż naprawdę z tej fotografii emanuje promienny duch, który unicestwia troski, koi ból i daje sny krzepiące jak lekarstwo?

W jednej z waliz miał szkło powiększające. Jest tylko ciekaw, ciekaw i nic więcej — zapewniał sam siebie, szukając go pośród innych rzeczy. Za pomocą szkła uważnie zbadał raz jeszcze zatarty napis na odwrotnej stronie tektury. Teraz wyraźnie rozróżnił datę wyżłobioną w tekturze ostrzem ołówka. Od tamtego czasu

upłynął dopiero rok i parę miesięcy. Nie zastanawiał się wcale, dlaczego uradowało go to odkrycie.

„Dziewczynka” — jak ją nazywał w myśli, stała się po prostu osobą znajomą, nieomal przyjaciółką. Gdy patrzył w jej oczy, czuł się o wiele mniej samotny — był zatem rad, że jest wciąż ta sama co na fotografii. W ciągu roku nie mogła się przecie zmienić tak bardzo.

Usłyszawszy głos ojca Rolanda co prędzej ukrył fotografię, zawijając ją jednak tym razem nie w starą gazetę, tylko w jedwabną chusteczkę znaną między bielizną. Płaską paczkę wsunął potem do walizki. Przy drzwiach Thoreau opowiadał misjonarzowi, jaki z tego Amerykanina ranny ptaszek. Przywitali się serdecznie. Misjonarz rzekł:

— S ądząc po minie, spał pan doskonale!

— Znakomicie — wesoło potwierdził Dawid.

Okno było pełne słońca; tam, gdzie łód stajał, złote strzały przebijały szybko jak pociski ogniste. Zbłąkany promień padł na połyskliwą głowę Marii schylonej nad stołem. Ojciec Roland, trzymając jedną rękę na ramieniu Dawida, drugą wskazał okno.

— Niech pan poczeka, aż wyjdziemy na zewnątrz! — mówił, — Aż się znajdziemy w puszczy! To dopiero początek!

Zasiedl do śniadania złożonego z ryby, kawy, chleba, fasoli i kartofli. Kończyli niemal posiłek, gdy Dawid, jedząc trzecie dzwono ryby białe niby śnieg pod chrupiącą brunatną skórką, spytał na pozór obojętnie;

— Czy ojciec słyszał kiedy o rzece Stikine?

Ojciec Roland wyprostował się, przerywając jedzenie, jak gdyby tych parę słów miało dlań wagę pierwszorzędną.

— Znam pewnego człowieka, który mieszkał długie lata nad brzegami

Stikine — odparł po chwili milczenia. — Zbadał ją jak własną kieszeń od ujścia w morze koło cypla Rothshay, aż do Dzikiej Krainy, leżące; pomiędzy górą Finlay i łańcuchem Gór Owczych. Przepływa właściwie przez wyżynną część Kolumbii Brytyjskiej, sięgając źródłami dorzeczy Jukonu. Dzikie kraje. Dzikie teraz i mniej znany niżli sześćdziesięciu laty, w czasie gorączki złota. Tawish opowiadał mi rzeczy tamtych stronach. Zabawny człowiek z tego Tawisha. Zawadzimy o Jego chatę po drodze do Bożego Jeziora.

Czy wspominał ojcu kiedyś — ciągnął Dawid, usilnie starając się zwalczyć drżenie głosu — czy napomknął kiedy o strudze Firepan, jakimś dopływem Stikine, który by nosił tę nazwę?

--- Struga Firepan, struga Firepan? — bąkał misjonarz. — Słyszałem wiele rzeczy od Tawisha, opowiadał mi niejedno, ale tej nazwy nie - Chociaż owszem!

— Wykrzyknął nagle. — Mówił mi. Miał chatę nad strugą Firepan w tym roku właśnie, kiedy chorował on na ospę. O mało nie umarł wtenczas. Zresztą sam pan niedługo zobaczy Tawisha. Przenocujemy w jego chacie. To dziwaczny typ. Ciekawy człowiek, wart obserwacji. Ale, ale, dlaczego przyszły panu właśnie na myśl rzeka Stikine i struga Firepan?

— Czytałem coś o nich niedawno w jakiejś książce i zainteresowały mnie

— gładko skłamał Dawid. — Więc to bardzo dzika okolica? Białych ludzi zapewne tam nie ma?

— Biali ludzie są zawsze i wszędzie — zaprzeczył ojciec Roland. ---Tawish zresztą tam mieszkał, a jest przecie białym. Przed sześćdziesięciu laty, w czasie gorączki złota, niejeden się tamtędy włóczył. Obecnie, naturalnie, musi ich być mniej. Dowie się pan od Tawisha. Wrócił stamtąd we wrześniu.

Dawid nie pytał więcej, zajął się wyłącznie ostatnim kawałkiem ryby. W tej samej chwili na zewnątrz ozwały się lisy tak donośnie, aż się Thoreau uśmiechnął. Ich ujadanie przypominało zgodny chór rozpaczny. Równocześnie psy poczęły wyć. Powstał taki zgiełk, że Dawid był pewien, iż lisów jest co najmniej tysiąc, psów zaś dobra setka. Hałas świdrował w uszach, przeszywał mózg. Dawid nie słyszał nigdy nic podobnego. Bał się, że w razie otwarcia drzwi ogłuchnie chyba.

Trwało to dobrą minutę, potem ucichło. Po chwili natomiast zabręczały łańcuchy metalicznie i złowrogo. Thoreau uśmiechał się wciąż.

— Widzi pan — rzekł do Dawida — pora karmienia lisów minęła dwie godziny temu i zwierzęta doskonale o tym wiedzą. Dlatego tak wrzeszczały. Ich ujadanie podnieca psy, gdy zaś poczną się drzeć wszystkie razem, nieboszczyk nawet gotów się obudzić!

Odsunął się od stołu i wstał.

— Pójdę je nakarmić. Może chciałby się pan temu przyjrzeć? Zamiast Dawida odpowiedział ojciec Roland:

— Będziemy gotowi za dziesięć minut — rzekł. — Chodźmy, panie Dawidzie. Mam coś dla pana!

Weszli do izdebki misjonarza. Wskazując łóżko ojciec Roland rzekł:

— Teraz, panie Dawidzie, proszę się rozebrać.

Już rano Dawid zafrasował się nieco, widząc odzież ojca Rolanda i Francuza: ich grube wełniane koszule, ciężkie, o dziwacznym kroju spodnie i zawinięte pod kolanami, mocne ciepłe pończochy. Zerkał ukradkiem na duże stopy Thoreau w mokasynach ze skóry karibu i myślał o giemzowych trzewikach, najtrwalszym obuwiu, jakie na razie posiadał.

Cieszył się, gdy zobaczył na łóżku kompletny strój kanadyjskiego trapera. Skoro ojciec Roland wyszedł, Dawid począł się rozbierać. Po upływie kwadransa był zupełnie gotów. Gdy misjonarz wrócił, by pokazać, w jaki sposób należy prawidłowo sznurować mokasyny, przyniósł jeszcze czapkę futrzaną podobną do tej, którą nosił Thoreau. Dawid zmierzwszy ją, zdziwił się, że tak dobrze siedzi mu na głowie.

— Widzi pan — tłumaczył uszczęśliwiony ojciec Roland — zawsze wożę ze sobą parę kompletnych ubrań wszelakiego rozmiaru. Bardzo się przydają w puszczy. A co do czapki...

Roześmiał się, podczas gdy Dawid oglądał własną twarz w małym ręcznym lusterku.

--- Czapkę zawdzięcza pan Marii. Wzięła miarę z pańskiego kapelusza i uszyła ją w nocy. Ładna wydra, jedna z najlepszych skórek Thoreau. I pasuje doskonale, hej?

— Maria uszyła to dla mnie? — spytał Dawid niedowierzająco. Misjonarz potwierdził skinieniem głowy.

— Ile mam jej zapłacić?

— Śród leśnych przyjaciół, panie Dawidzie, nigdy się o zapłacie nie mówi.

— Ależ to prześliczna skórka i bardzo cenna!

— Dostał ją pan w prezencie. Dobrze się złożyło, że wspomniał pan o zapłacie mnie, nie zaś gospodarzowi lub Marii. Nie zrozumieliby z pewnością dobrej intencji i byłoby im przykro. Obyczaj puszczy poucza, że jeśli ten, który daje, żąda zapłaty, to mówi o tym z góry, otwarcie i zaraz wymienia cenę. Bardzo wygodny zwyczaj, moim zdaniem, i rozsądny.

Dawid słuchał i twarz jego nabierała szczególnego wyrazu. Misjonarz nie mógł tego pojąć. Po chwili Dawid przemówił głosem twardym i jakby nie swoim, starannie odwracając przy tym oczy:

— Ale mam chyba prawo ofiarować Marii coś w zamian? Drobiazg, który jest mi teraz całkowicie zbędny. Taką małą pamiątkę w dowód przyjaźni i wdzięczności.

Nie czekając na odpowiedź misjonarza pochylił się nad jedną z walizek i przekręcił kluczyk w zamku. Ze środka wyjął pluszowe pudełeczko. Było tak małe, że swobodnie leżało mu na dłoni. Zaciskając trochę wargi, podał je ojcu Rolandowi.

— Może ojciec zechce wręczyć to Marii w moim imieniu? Ojciec Roland wziął pudełeczko, lecz nie na nie patrzył w tej chwili, tylko na twarz Dawida.

— Co to takiego? — spytał.

— Medalion, który należał niegdyś do niej. Wewnątrz znajduje się jej fotografia, jedyna jaką posiadam. Proszę tę fotografię zniszczyć, zanim ojciec da medalion Marii.

Głos drżał mu trochę. Misjonarz chwycił pudełeczko i zgniótł je, jakby chcąc zmiażdżyć. Po czym cicho, lecz wyraźnie szepnął:

— Zwycięstwo!

## **7. Dawid spotyka Bariego**

Wsunąwszy pudełeczko do kieszeni ojciec Roland wyszedł wraz z Dawidem z chaty. Gdy mijali izbę jadalną, Maria podniosła nieco oczy znad roboty, chcąc się przekonać, czy gość przyjął jej dar.

Thoreau wyszedł w ślad za gośćmi. Ledwie trzech mężczyźni pojawili się na zewnątrz, powitało ich od razu dzikie ujadanie psów, Dawid zaś zobaczył po raz pierwszy zwierzęta, których głosy słyszał ubiegłej nocy.

Opodal chaty, pomiędzy drzewami, miało się około dwudziestu wilczurów, przypominających raczej wilki leśne. Dawid nigdy nie widział bestyj o podobnie strasznym wyglądzie. W chwili, gdy przyglądał się im z ciekawością, zdał sobie jednocześnie sprawę z trzech rzeczy: że dzień jest naprawdę prześliczny, że mimo słońca mróz po prostu ścina powietrze i że żadne z tych kudłatych stworzeń o drapieżnych, białych kłach, nie posiada ani budy, ani jakiegokolwiek najprymitywniejszego schronienia.

Ostatni fakt zainteresował go najbardziej. Instynktownie, od dziecka, lubił zwierzęta, a był pewien, że wilczury Thoreau ucierpiały okropnie od nocnego chłodu.

Zauważył, że przy drzewie, do którego pies był przykuty łańcuchem, znajduje się w śniegu płytkie wgłębienie, stanowiące prymitywne legowisko. W następnej chwili upewnił się, iż zarówno Francuz, jak misjonarz, tak gościnni względem istot ludzkich, traktują wilczury po macoszemu.

Mukoki oraz drugi Indianin zjawili się właśnie z dwoma brezentowymi workami i z jednego z nich wysypali w śnieg cały stos ryb. Były twarde jak kamień i tak spojone lodem, że chcąc oddzielić poszczególne sztuki, Mukoki musiał użyć siekiery. Thoreau rzucał ryby psom, po jednej dla każdego. Czujne, wygłodzone bestie łapały żer w powietrzu, po czym pod ostrymi kłami zmarznięte ości i mięso kruszyły się z niemiłym chrzęstem.

Dawid aż się z obrzydzenia wzdrygnął. Pomyślał, że Thoreau mógł przecie ugotować ryby lub chociażby rozmrozić je przy ogniu. Tymczasem każde zwierzę połknęło swoją część — półtora do dwóch funtów najwyżej — i posiłek dobiegł końca. Ojciec Roland obserwował psy, zacierając ręce z zadowoleniem. Thoreau śmiał się najwyraźniej bardzo z siebie dumny.

— Wszystkie są zdrowe, proszę ojca! — mówił. — I wszystkie w doskonałej kondycji, co do jednego!

— Owszem, owszem! — potakiwał ojciec Roland. — Ale są trochę za tłuste. Jak na psy bez pracy przekarmiasz je stanowczo. Dawid otworzył usta ze zdumienia.

— To się nazywa przekarmiać? — wykrzyknął z oburzeniem. — Przecie one są wygłodzone i na poły zmarznięte. Biedaki połykały ryby wraz z lodem. Dlaczego nie dacie im ryby gotowanej i jakiegokolwiek budy do spania?!

Ojciec Roland i Thoreau spojrzeli na niego z takim zdziwieniem, jak gdyby nie zrozumieli sensu słów.

Dopiero po chwili misjonarz uśmiechnął się na znak, że wie już, o co chodzi, potem wybuchnął śmiechem. Śmiał się coraz mocniej, zanosił się śmiechem tak gwałtownym, aż echo szło po lesie, ciemne zaś twarze Indian pękały od wesołych bruzd. Dawid czuł się niezmiernie głupio. Spojrzał na Francuza. Thoreau chichotał mrużąc oczy i szczerząc zęby.

— O, słodki Jezu — zdołał wreszcie wyjąkać ojciec Roland. — Zgłodniałe? Zmarznięte? Gotować im rybę! Słać dla nich łóżka!

Urwał, widząc, że Dawidowi krew uderza do głowy. Prosząco oparł mu dłoń na ramieniu.

— Niechże się pan nie gniewa! — rzekł. — Pan oczywiście nie rozumie, jakie to było śmieszne. Gdyby ofiarować tym stworzeniom budy najbardziej luksusowe, wysłane futrem niedźwiedzim — z pewnością nie zechcą z nich skorzystać, tylko wyleżą na zewnątrz i porobią sobie w śniegu tradycyjne zamki. Taką już mają naturę. Przy sześćdziesięciu stopniach mrozu żałowałem ich również, ale nie miałem racji. Nie potrzebują wcale współczucia. I ryby gotowanej nie lubią. Uznają jedynie świeżą lub mrożoną. Można by je oczywiście nauczyć jeść strawę gotowaną, ale tak samo można by uczyć rysia, lisa lub wilka. To są przecież na pół dzikie zwierzęta. Tych osiem to moja własność. Zawiozą nas na północ. Nim się pan z nimi dobrze nie zaznajomi, proszę się mieć na baczności. To nie są pokojowe pieszczochy. Gotowana ryba i karesy to dla

nich jedno i to samo. Eskimoski kundel lub husky z Labradoru będzie ci poczciwie patrzył w oczy, ale za lada podejrzanym ruchem odgryzie rękę jak nic. Ale je pan polubi z pewnością. W drodze, na szlaku, to prawdziwi przyjaciele.

Thoreau zarzucił sobie drugi worek na plecy i kierował się ku grupie drzew iglastych, rosnących poza chatą. Dawid oraz ojciec Roland podążyli w ślad za nim, przy czym misjonarz wyjaśnił towarzyszowi, dlaczego należy utrzymywać psy pociągowe w pewnej ściśle określonej kondycji. Mówiąc to obracał w kieszeni między palcami pluszowe pudełeczko z medalionem. Wreszcie stanęli wszyscy trzej przed pierwszą lisią zagrodą.

Misjonarz obserwował Dawida uważnie, trochę niespokojnie, sam podenerwowany i niepewny. Czytał w duszach ludzkich niby w książkach otwartych, a nawet lepiej, gdyż ogarniał od razu całokształt zagadnienia. Obdarzony intuicją wyczuwał wzruszenia, które wcale nie odbijały się na twarzach, toteż wiedział, że obecnie ścierają się w Dawidzie dwie sprzeczne moce.

Nie o to szło, że Dawid oddał pudełeczko z medalionem, lecz o to, że oddał je nazbyt spieszenie. Teraz misjonarz pragnął jak najprędzej pozbyć się zawartej wewnątrz fotografii. Bał się, że Dawid zażąda jej z powrotem. Nie zatęskni zapewne do klejnotu, choć stanowił niegdyś własność umiłowanej kobiety, lecz wizerunek jej twarzy, jedyny jaki posiadał, musi mieć siłę magnetyczną.

Ojciec Roland czekał tylko na okazję. Thoreau przerzucił właśnie trzy ryby przez wysoką siatkę drucianą opasującą pierwszą zagrodę i tłumaczył gościowi, dlaczego każdą z dziewięciu klatek zamieszkują dwie samki i jeden samiec, dlaczego lisy muszą mieć ciepłe domki, na poły ukryte w ziemi, a psy pociągowe najlepiej śpią w śniegu — gdy ojciec Roland uznał, że nadeszła odpowiednia pora, nawołując Mukokiego w rodzimym narzeczu, cofnął się ku chacie, ledwo zaś skrył się za węglem, już dobył pudełko z kieszeni i otworzył je niecierpliwie.

Pochylając głowę i zaciskając zęby, spojrział w twarz nieznajomej. Poświęcił jej tylko chwilę uwagi, po czym poprosił Mukokiego o nóż. Indianin wyciągnął go pochwy i milcząc obserwował dzieło zniszczenia. Oczy misjonarza błyszczały, z głębi duszy wypływało przekleństwo, wreszcie fotografia znikła. Zaprażył teraz cisnąć daleko w głąb boru sam medalion, świętokradzko wykonany w kształcie złotego serca. Nienawidził tego klejnotu, parzył mu palce, lecz Dawid przeznaczył medalion dla Marii. Maria doceni błyskotkę. Na jej piersi zbrukany klejnot odzyska dawną wartość. Misjonarz wsunął pudełko z powrotem do kieszeni i okrążając chatę podążył ku lisiej zagrodzie.

Thoreau wrzucał właśnie ostatnią rybę do ostatniej klatki, lecz Dawida z nim nie było. Na pytanie misjonarza Francuz skinieniem głowy wskazał największy gąszcz, nie tknięty dotychczas siekierą.

— Mówił, że chce się trochę przejść.

Ojciec Roland bąknął coś sam do siebie, lecz nagle oczy mu pojaśniały.

— Odjeżdżam dzisiaj — rzekł.

— Dziś? — wykrzyknął Thoreau ze zdumieniem. — Dziś? Przecież zaraz południe!

Misjonarz wskazał ruchem głowy gęstwę, w której zniknął Dawid.

— On nie może iść zbyt długo. Do zmierzchu zostały jeszcze cztery godziny. To dla niego wystarczy. On jest miękki, niezahartowany, rozumiesz? Dotrzemy do starej chaty nad Strugą Łosia, którą zamieszkiwałeś przed dwoma laty. To tylko osiem mil, ale on się i tak zmęczy! Poza tym...

Umilkł, jak gdyby rozważając coś ponownie.

--- Poza tym chcę, by się jak najprędzej znalazł w głębi puszczy.

Uważnie spojrzął na Francuza, chcąc odgadnąć, czy Thoreau zrozumie i nie zażąda dalszych wyjaśnień. Lecz hodowca lisów pochylił się tylko, podnosząc z ziemi pusty worek.

— W takim razie, proszę ojca, zaczniemy zaraz pakować sanie. Na każdego psa wypadnie chyba dobrych sto funtów ładunku.

Skręcili ku chacie, przy czym ojciec Roland, odchodząc, obejrzał się za siebie, szukając wzrokiem Dawida.

Tymczasem, o trzysta lub czterysta jardów w głąb boru, Dawid stał pogrążony w zdumieniu i zachwycie. Znajdował się na małej polance, opasanej zewsząd sosnami i jedliną, pokrytymi niemal całkowicie ciężką warstwą świeżo spadłego śniegu. Miał wrażenie, że wkroczył niespodziewanie w kraj czarów i niewysłowionego piękna i że spod czarnych konarów, otulonych w srebrzyste pokrowce, zerkają ku niemu w milczeniu boginki leśne, które wstrzymują nawet oddech w obawie, że je człowiek zauważy. Ani ćwierkanie ptaków, ani łopot skrzydeł nie mąciły ogromnej ciszy. Świat był tak nierealny, że przypominał raczej zjawę.

Dawid doznawał wrażeń niezmiernie skomplikowanych; czuł równocześnie ukojenie i niepokój. Stał jak gdyby przed progiem Dalekiej północy, w obliczu niezmierzonej, tajemniczej i wabiącej dali. Krew krążyła w nim szybciej, serce biło mocniejszym rytmem. Bał się, choć wstępowała weń nieznaną dotychczas odwagę. Przygoda nadciągała z daleka i zaglądała już w oczy. Rozwierały się szeroko, na ścieżaj, jakieś wrota. To był ów świat, do którego ojciec Roland chciał go zaprowadzić; dał już niemal słowo, że pójdzie.

Roześmiał się gorzko. Czy ma prawo wkroczać w ten nowy świat? Czy wolno mu się ważyć na takie zuchwalstwo? Ot, już go nogi bolą, ponieważ zrobił pół mili w śniegu na półtorej stopy głębokim!

Śmiech go otrzeźwił. Rozejrzał się i ponownie wkraczając w gąszcz zawrócił ku chacie, obierając nową drogę. Był w złym humorze i ogromnie z siebie nierad, usposobiony wprost wrogo względem własnej osoby. Od roku, odkąd zły los przykrył mu słońce życia mrocznym kirem — dryfował bezwolnie. Dawał się nieść fali bez zaciekawienia i oporu. Dziś po raz pierwszy wykazał cię inicjatywy; tych paręset metrów ośnieżonego szlaku były próbą jego sił. Próba wypadła fatalnie, wykazała całą słabość organizmu.

Zacisnął ukryte w ciepłych rękawicach palce i wściekłość objęła go jak płomień. Iść w głąsę z ojcem Rolandem? Ważyć się na podbój świata, który przyjmuje tylko silnych? A jednak pójdzie! Jego ciało i duch potrzebują próby ogniowej. Będzie walczył, choćby przyszło zginąć. Ze złośliwą radością myślał o tym zmaganiu, pełen był pogardy dla samego siebie.

Z zadumy wyrwało go niespodziane i groźne warczenie. Wyminął właśnie młody chojar, stojący mu na drodze niby biały duch i znalazł się na wprost dzikiej bestii, przyczajonej u stóp sosny.

Był to pies. Leżał zaledwie o cztery czy pięć kroków od Dawida, przykuty łańcuchem do drzewa.

Dawid spojrział na wilczura z zaciekawieniem. Nie mógł pojąć, dlaczego Thoreau trzyma to zwierzę osobno, w tak znacznym oddaleniu od chaty. Pies był ogromny, a gdy tak czatował obok pnia, przypominał raczej dużego, leśnego wilka. Spod zmarszczonych warg pobłyskiwały długie białe zęby.

Na widok ludzi inne psy pociągowe zdradzały łakome podniecenie; zwierzęta szarpały łańcuchy, warczały, machały ogonami, domagając się jadła.

Tu Dawid nie zauważył nic podobnego. Olbrzymi wilczur wydał tylko jedno warknięcie, teraz milczał i trwał nieruchomo. Jedyne każdy mięsień szczupłego ciała był napięty niczym struna, a kły błyszcząły złowieszczo. Był równocześnie wystraszony i groźny, gotów do ucieczki i napaści.

Obserwując psa uważnie, Dawid spostrzegł, że zwierzę posiada tylko jedno oko. Przekrwione, czujne, wlepione w człowieka, błyszczało niby rozpalony węgiel. Drugie ginęło pod obrzmią powieką. Pysk krwawił. Krew broczyła śnieg. Wtem pies kaszlnął chrapliwie, jakby chciał wydalić tkwiącą w przełyku ość, przy czym z pyska, między przednie łapy, bluznęła mu świeża posoka. Jedna łapa była dziwnie sztywna: złamana zapewne lub mocno stłuczona.

— Ach, ty biedaku! — rzekł Dawid głośno.

Siadł na pniu zwalonej brzozy, o dwa metry zaledwie od wilczura, i patrząc uważnie w przekrwione ślepie, powtórzył:

— Ach, ty biedaku!

Bari nie reagował. Dziwiło go zapewne przede wszystkim to, że człowiek nie ma w garści kija. Przywykł do widoku kijów, kij stanowił nieodłączną część jego egzystencji. Przez kij właśnie oślepl. Kij złamał mu ząb, pokaleczył wargi i tak silnie nadwerzęzył zębra, że teraz wciąż odkasził krew. Lecz ten człowiek przyszedł bez kija i wyglądał przyjaźnie.

— Ach, ty biedaku! — rzekł Dawid po raz trzeci.

Potem dodał z gorącym oburzeniem:

— Na miłość boską, co ten Thoreau ci zrobił?

Widok zbitego i broczącego ciemną posoką zwierzęcia był ogromnie żalospny. Dawid zbyt lubił psy, by się ich bać, toteż zapomniawszy o przestrodze ojca Rolanda, wstał z powalonej brzozy i zbliżył się o parę kroków. Bari mógł teraz, wykonując jeden skok, schwytać go za gardło. Nic ruszył się jednak, tylko kudłate jego cielsko poczęło z lekka dygotać. Jedyne czerwone oko patrzyło na człowieka uparcie.

Dawid przemówił po raz czwarty:

— Ty mój wielki biedaku!

W głosie jego wyczuwało się współczucie i przyjaźń; wyjął prawą dłoń z rękawicy futrzanej i bez obawy wyciągnął ją w stronę psa. Chwila jeszcze i pochyliłby się niżej, lecz powstrzymał go wrzask tak niespodziewany i przeraźliwy, że mimo woli odskoczył wstecz jak oparzony.

O parę metrów stał Thoreau, blady, z fuzją w garści.

— W tył! W tył! wołał błagalnie. — Na miłość boską, niech się pan cofnie!

Złożył fuzję na zgięciu lewej ręki, Dawid nie ruszał się już, tylko z twarzy Francuza przeniósł wzrok na psa. Bari zmienił się do nie poznania. Jedyne oko wlepił w twarz Thoreau. Zmarszczone, okrwawione wargi ukazywały kły długie na cal, spośród których wydobywało się niskie, groźne warczenie. Bura sierść na grzbiecie zjeżyła się niby szczotka. Wyczuwało się w nim i strach, i nienawiść.

Francuzowi natomiast głos ugrzął po prostu w gardle, wobec lekkomyślnego zuchwalstwa Dawida. Nie spuszczać psa z oczu, wolno uniósł fuzję do ramienia. Dawid usłyszał szczęk kurka, lecz Bari usłyszał go również. Metaliczny dźwięk przemówił do instynktu zwierzęcia. Skrwawione wargi opadły zakrywając kły, Bari zaskomlał i wreszcie na brzuchu poczołgał się w stronę Dawida.

Thoreau patrzył wytrzeszczając oczy, jakby oglądał cud. Przyjąłby największy zakład, postawił własną duszę przeciw starej obroży, że podobna rzecz jest niemożliwa między Barim a jakąkolwiek istotą ludzką. Oszołomiony zniżył lufę fuzji. Dawid, spozierając w dół, uśmiechał się do tego jedyne, nabiegłego krwią oka i łagodnie wyciągał rękę. Pies przybliżył się pomału, rozpląszczył u samych stóp Dawida i popatrzył znów na Thoreau warcząc i groźnie błyskając kłami.

Francuz odetchnął głęboko, bąknął coś niezrozumiale, a Dawid wyciągnawszy rękę, dotknął głowy Bariego. Pod wpływem tej pieczyoty ogromne cielsko drgnęło niby od ukłucia. Pierwszy kontakt pomiędzy duszą ludzką a sercem zwierzęcia został nawiązany.

Bari znalazł przyjaciela-człowieka.

Gdy Dawid oddalił się po chwili od psa i zbliżył do Francuza, twarz tego ostatniego, w miejscach nie porośniętych brodą, miała dziwną, szarą barwę. Z wysiłkiem dobył wreszcie głosu.

— Proszę pana — rzekł — to nie do uwierzenia! Widziałem na własne oczy, a jednak nie mogę uwierzyć. To istny cud!

Wzdrygnął się. Dawid obserwował go z pewnym zdziwieniem. Niezupełnie zdawał sobie sprawę z niezwykłości zdarzenia. Thoreau odgadł myśli gościa i wskazując palcem Bariego rzekł:

— On jest zły, proszę pana, bardzo zły! To najgorszy pies w całej okolicy. Urodził się w lesie wśród wilków i serce jego tęskni do zbrodni. Ma ćwierć krwi wilczej w sobie i żaden kij nie wypleni z niego tej dzikości. Tłukłem go nieraz sam do pół śmierci — nic nie pomogło. Zagryzł mi dwa psy. Skoczył do gardła. Boję się go. Przykułem go do tego drzewa przed miesiącem, a teraz, choćbym chciał, nie potrafię go spuścić z łańcucha. Rozdarłby mnie na strzępy. Wczoraj biłem go tak, że omal nie skonał, a jeszcze szczerzył na mnie kły. Postanowiłem więc go zabić. Nic dobrego już z niego nie będzie. Proszę, niech się pan trochę cofnie, żebym mógł mu wpakować kulę w łeb.

Powtórnie podniósł broń do oka, lecz Dawid oparł mu dłoń na ramieniu.

— Ja mogę rozpiąć jego łańcuch — rzekł.

Zanim Thoreau zdążył zaprotestować, Dawid odważnie zbliżył się do drzewa. Bari nie poruszył głowy i nie spuszczał oka z Francuza. Szczęknęła sprężyna wiążąca ogniwa wokół pnia sosny i Dawid wyprostował się, trzymając w dłoni luźny koniec łańcucha.

— Gotowe! — Roześmiał się z pewną dumą. — I nie użyłem wcale kija! — dodał.

Thoreau westchnął — o, Boże! — i siadł na pniu zwałonej brzozy, jakby mu raptem nogi odjęło.

Dawid poruszył łańcuchem, przerzucił go z ręki do ręki i ponownie umocował wokół pnia drzewa. Bari nie spuszczał oka z Thoreau, a Francuz z kolei gapił się na psa, jakby zwierzę zmieniło całkowicie wygląd.

Dawid doznawał poczucia rozkosznej dumy. Zrobił coś, na co Thoreau nie chciał się ważyć, a zrobił to zupełnie zwyczajnie, nie przewyciężając nawet żadnej obawy. W ciągu tych paru minut odrodził się duchowo, odnalazł poniekąd dawną energię, czuł się zdrowszy, silniejszy. Podszedł do Thoreau, który stanął właśnie na nogi.

— Jadę na północ z ojcem Rolandem — rzekł. — Czy zechce pan oddać mi tego psa? Nie będzie pan miał kłopotu z zabijaniem.

Thoreau spozierał na niego chwilę tępo, zanim wreszcie dał odpowiedź.

— Tego psa? Panu? Na Daleką Północ? — tu zerknął na Bariego ze wstrętem i obrzydzeniem równocześnie. --- Do czego panu potrzebny ten diabeł?

--- Dla doświadczenia po prostu. Chcę spróbować, co z tego wyjdzie. Może się to panu wydać niezrozumiałe, ale ten pies, jakkolwiek zły i brzydki, dziwnie przypadł mi do serca. Polubiłem go i mam wewnętrzne przekonanie, że on również mnie polubił.

--- Ależ mech pan spojrzysz na jego oko!

--- Które oko? - spytał Dawid z naciskiem. - Czy to, które mu pan wybił kijem?

— Zasłużył sobie na to! — burknął Thoreau. - Ugryzł mnie w rękę. Ale ja miałem na myśli drugie oko, to, które patrzy właśnie na nas niby diabelskie ślepie. Mówię panu, że to ćwierć krwi wilk...

— No, a złamana łapa? - przerwał Dawid. - Sądzę, że i tu winien kij?

--- Miał już ten feler, gdy go kupiłem przed rokiem. Nie mnie zawdzięcza to kalectwo. No i może go pan sobie i święci pańscy mają pana w opiece! --- Jak mu na imię?

— Indianin, do którego należał przed pięciu laty jako szczenię, nazwał go Bari, co wśród Indian z plemienia Psie Żebro znaczy „Dzika krew „. Powinien był nazwać go po prostu diabeł.

Thoreau zakończył przemówienie wzruszeniem ramion, jak gdyby zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność za dalszy bieg wypadków i zwrócił w stronę chaty. Idąc w ślad za nim Dawid spojrział jeszcze na Bariego. Wilczur podniósł się ze śniegu. Stał tam naprężony łańcuch, gdy zaś Dawid już miał zniknąć między drzewami, pobiegł za nim niski, tęskny skowyt.

Skowyt był tak cichy, że człowiek go nie słyszał, w sekundę później usłyszał natomiast chrapliwy kaszel. Wzdrygnął się na ten dźwięk i myśląc o świeżych kroplach krwi, barwiących z pewnością na nowo biel śniegu, spojrzął nieomal z nienawiścią na szerokie plecy Thoreau.

## 8. Na Daleką Północ

wielkiemu zdziwieniu Francuza, ojciec Roland dowiedziawszy się, że Dawid chce zabrać w podróż Bariego, nie zgłosił w tym względzie żadnego sprzeciwu. Gdy zaś Thoreau, ilustrując zdarzenie szerokimi gestami ramion, opowiedział co zaszło między tym czworonożnym czartem a człowiekiem — w twarzy misjonarza pokazało się wyraźne zadowolenie. Ojciec Roland zrozumiał, że w duszy Dawida budziły się, hamowane od dawna, zdrowe uczucia. Był tego pewny, zanim Dawid sam zaczął objaśniać:

— Proszę ojca, to biedne zwierzę jest zmaltrretowane do ostateczności. Ja sam, choć dużo przeszedłem, nigdy nie byłem sponiewierany do tego stopnia. Zabić je? Po co? Jeśli Północ, którą ojciec tak chwali, potrafi zrobić mężczyznę z życiowego rozbitka, to chyba tym bardziej potrafi uzdrowić skatowanego psa. Mam rację, czy nie?

Ojciec Roland obserwował Dawida uważnie. Jakże się zmienił w ciągu jednej doby. W głosie jego ścierały się wzruszenie i pogarda, gniew i wyzwanie. Na policzkach miał wypieki, a w oczach skry. Misjonarz bał się odezwać, by nieumiejętnymi słowami nie stłumić szczerych reakcji.

Dawid spoglądał na niego, jak gdyby wyczekując jednak odpowiedzi.

— Człowiek jest prawdziwym głupcem — mówił Dawid — że traci tyle energii na bezpłodne wyrzekania. Nie należy skomleć, tylko działać. Ten pies właśnie gotów byłby działać natychmiast. Przy najmniejszej okazji rozdarłby gardło Thoreau. Tymczasem ja zemknąłem jak obity kundel. Bari ma cztery łapy, jest zwierzęciem, a jednak stoi bez porównania wyżej ode mnie. Tam w pokoju, wtenczas, powinienem był zabić oboje. Przekonany jestem, że byłoby to zgodne ze sprawiedliwością. Co ojciec myśli?

Misjonarz uśmiechnął się zagadkowo.

— S ądzę, że niejedna dusza poszła z za krat więziennych prosto do raju. Ale po co mówić o kratkach. Prawo ludzkie i sprawiedliwość nie zawsze krocą razem. Dopiero Bóg rozsądzi nas na tamtym świecie.

Urwał wskazując ręką chatę, u progu której Thoreau wraz z Mukokim ładowali właśnie sanie.

— Mamy prześliczny dzień. Ruszamy natychmiast po obiedzie. Pójdziemy spakować rzeczy.

Dawid nie odpowiedział nic, lecz w parę minut później klęczał już obok swego kufra, obracając klucz w zamku. Ojciec Roland stał nad nim. Dawid, doskonale zdając sobie sprawę z komizmu sytuacji, wyrzucał na podłogę, jedną po drugiej, moc niepotrzebnych rzeczy. Skończywszy spojrzał w twarz misjonarza i dostrzegł w niej ze zdziwieniem wyraz niedowierzania, przechodzący z wolna w rzetelną radość. Ojciec Roland pochylił się i znów wyprostował, trzymając w ręku parę rękawic bokserskich. Zerknął na Dawida, na rękawice, poglądził je niby coś żywego, a w oczach miał taką

radość jak dziecko, które otrzymało wymarzoną zabawkę. Dawid wydobył z kufra drugą parę. Misjonarz porwał mu je z ręki.

— Wielkie nieba, a to radość! — zawołał. — Panie Dawidzie, nauczy mnie pan posługiwać się nimi? Mam nadzieję, że pan zna się na boksie?

W ostatnich jego słowach zadźwięczał niepokój.

— W domu boks był ulubionym moim zajęciem — wyjaśnił Dawid. Powiedział to z pewną dumą. — Po pracy umysłowej dostarczał mi rozrywki. Ogromnie lubiłem boks i pływanie. Oczywiście, że ojca nauczę.

Misjonarz przycisnął rękawice do piersi i uśmiechając się tajemniczo opuścił pokój. Dawid spakował wybrane przedmioty do jednej z walizek. Dobrą chwilę rozmyślał nad fotografią dziewczyny. Po dwakroć zamykał ją w kufrze i po dwakroć wydobywał znów, aż wreszcie umieścił płaską paczkę na piersi, w kieszeni futrzanej kurtki.

Ojciec Roland spotkał Dawida przed chatą i począł mu wyjaśniać znaczenie poszczególnych części ekwipunku. Przede wszystkim wręczył mu fuzję. Po dotknięciu chłodnej lufy Dawida przeszył dreszcz.

Była to ciężka dubeltówka, która na Dawidzie, nie obytym z bronią palną, sprawiła wrażenie nieomal posępne. Jeszcze gorzej wyglądał rewolwer. Dawid wyznał szczerze, iż mało miał z podobnymi rzeczami do czynienia. Wtenczas misjonarz z poczciwym uśmiechem zapiął mu wokół bioder pas z nabojami, wyjaśniając, na którym boku nosi się kolta, a na którym skórzaną pochwę, zawierającą długi i mocny nóż. Potem zajął się raketami śnieżnymi. Były długie, wąskie, przystosowane do lesistej okolicy. Umieściwszy je obok siebie, ojciec Roland tłumaczył, jak wsuwać mokasyny w rzemienne pętle bez pomocy rąk. Następnie w głębokim, sypkim śniegu u skraju gęstwy Dawid przez trzy kwadransy brał pierwszą lekcję, ucząc się stawiać owe posuwiste, płynne kroki, typowe dla mieszkańców puszczy. Wstydził się na razie, gdyż Thoreau i Indianin chichotali otwarcie, a roześmiana twarz Marii wylaniała się wciąż to przez okno, to przez drzwi chaty. Trzykrotnie, zahaczywszy stopą o stopę, ciężko upadł w śnieg, lecz po pewnym czasie złapał rytm właściwy i po upływie pół godziny bawiło go już, że potrafi sunąć lekko po puszystych wierzchołkach zasp, grzęznąc zaledwie po kostki. Zrzuciwszy rakiety śnieżne dyszał ciężko. Serce łomotało w nim gwałtownie. Płuca łapczywie wciągały chłodne, przesycone żywicą powietrze.

— Ależ się zziąjałem! — sapnął. — Jakim cudem potrafię dotrzymać wam kroku w drodze? Klapnę na pierwszej mili!

— Wtenczas załadujemy pana na sanie! — pocieszał misjonarz promieniejąc radością. — Wspaniale się pan spisał! W ciągu dwu tygodni najdalej będzie pan robił bez trudu dwadzieścia mil dziennie.

Zadumał się, jakby sobie coś przypomniawszy, skubnął nerwowo rękawice i wreszcie spytał:

— Jeśli ma pan jakie listy do pisania, panie Dawidzie, jakieś interesy do załatwienia, byłby czas najwyższy...

— Nie mam żadnych listów! — przerwał Dawid szorstko. — Co się zaś tyczy interesów, załatwiłem je przed paru tygodniami. Jestem gotów zupełnie.

Wziął od Francuza mrożonego łososia i wrócił do Bariego. Pies zwietrzył go, nim jeszcze mógł usłyszeć skrzypienie stóp na śniegu, więc gdy człowiek pojawił się na polanie, zastał wilczura leżącego płasko na brzuchu, z burym

pyskiem między przednimi łapami. Nie ruszał się wcale, dygotał tylko i przez gardło przebiegł mu skurcz. Thoreau dostrzegłby tu niewątpliwie znamiona podstępnej złośliwości; Dawid widział tęsknotę połączoną z nadzieją i obawą. Bari, odepchnięty przez ludzi, skatowany okrutnie, po raz pierwszy w życiu zawierał pakt z człowiekiem.

Dawid zbliżył się odważnie i stanął nad psem. Zapomniał o przestrogach Thoreau, nie bał się wcale. Pochylił się i oparł dłoń na karku Bariego. Wilczur wzdrygnął się, jakby za dotknięciem prądu elektrycznego, w gardle wezbrał mu groźny warkot, ale zaraz załamał się i przeszedł w niski skowyt. Pod ciężarem ręki leżał niby martwy. Dopiero gdy Dawid oddalił się i znikł w lesie, wracając do chaty, Bari począł rozdzierać zmarzłą rybę.

Zastanawiając się nad sprawą Bariego, ojciec Roland zafrasował się nieco.

--- Nie możemy go zaprząć razem ze sforą — rzekł. — Zanim byśmy dotarli do celu podróży, wymordowałby mi wszystkie psy.

Dawid już sobie to wszystko zawczasu ułożył.

--- On pójdzie za mną — rzekł ufnie. — Po prostu, gdy będziemy odjeżdżać, spuszczę go z łańcucha.

Misjonarz skinął głową wyrozumiale. Thoreau, który stał obok, wzgardliwie wzruszył ramionami. Nienawidził Bariego za jego upór, toteż burknął z pasją:

--- A dzisiejszej nocy ten diabeł połączy się z wilczą hordą i będzie mi niszczył przynęty albo psuł futra. Na takie bydłę jest tylko jedna rada: dobra trutka!

Pozornie miał rację. Po obiedzie wszyscy trzej udali się do Bariego, po czym Dawid odpiął sprężynę łączącą łańcuch z obrozą. Przez chwilę pies zdawał się nie rozumieć, że jest wolny, potem niespodzianie zupełnie dał olbrzymiego susa przez pień zwalonej brzozy i znikł w lesie. Francuz parsknął śmiechem.

— Wilki, proszę pana, wilki! — rzekł. — Dziś w nocy połączy się ze stadem!

Dopiero gdy na trzask długiego biczu Mukokiego psy, leżące już w uprzęży przed saniami, porwały się na nogi, ojciec Roland zajrzał na chwilę do chaty, by wręczyć Marii medalion. Wrócił szybko i skinął ręką, a wtenczas Mukoki zwinął trzymetrowy rzemień bata i ruszył przodem, wiodąc psy za sobą. Szły posłuszenie, utrzymując płozy sań na przetartej przez niego ścieżynie. Misjonarz kroczył w tyle, a Dawid na samym końcu. Wtem Thoreau pochylił się do jego ucha i szepnął.

— Daleka droga czeka pana, bardzo daleka! Kto wie, co pana spotka! Niech pana święci mają w swej opiece!

Zawrócił do chaty nie dodawszy nic więcej, tylko potem z dala rzucił gromkie „do widzenia!”

Idąc w ślad za misjonarzem Dawid rozpamiętywał te słowa, brzmiące nieomal jak ostrzeżenie. Patrzył na szerokie plecy ojca Rolanda i po raz pierwszy zauważył, jak są nieproporcjonalnie masywne w stosunku do całej sylwetki i do jego raczej niskiego wzrostu. Potem las otoczył ich i pochłoniął. Biała cisza

zapanowała niepodzielnie. Co kryło się przed nim? Co ich spotka? Machinalnie dotknął dłonią kieszeni na piersi. Przez futro wyczuł sztywny kształt tekturki. Od razu nabrał odwagi i pewności siebie.

Tymczasem w drzwiach chaty Thoreau obejmował ramieniem Marię.

— Odeszli — mówił. — Odeszli! Ale kto wie, czy kiedykolwiek wrócą.

## 9. Na szlaku

**M**imo iż ten dzień był niewątpliwie przełomowym w jego życiu, Dawid spostrzegął w nim nie tyle znamiona romantyczne, co wyraźne cechy komizmu. Był to na razie komizm zabawny, lecz z czasem nabrał ponurych odcieni.

Dawid spędził całe życie w dużym mieście, przywykł do zbytku, wydelikatniał. Był prawdziwym wytworem cywilizacji. Cywilizacja! Chciał się roześmiać, ale i tak brakło mu już oddechu. Nie śnił nawet nigdy o podobnym otoczeniu: białe zasy, rozległy bór, mróz i zima. Nie lubił zimy, nie lubił śniegu. Jego zdaniem romantyzm zamieszkiwał jedynie błękitne, pełne słońca wybrzeża morskie. Co mu strzeliło do głowy mówić ojcu Rolandowi, że się wybiera do Kolumbii Brytyjskiej! Jakiż wielki błąd popełnił! Należało jechać dalej, do Japonii na przykład. A oto dążył nad Ocean Lodowaty, wprost do Bieguna Północnego.

Co za kpiny! Warte, by parsknąć głośnym śmiechem. Znajdowali się zaledwie o pół mili od chaty Thoreau, a już nogi miał ciężkie i kolana bolały. Ładny z niego mężczyzna! Taki zdechłak! Jak długo jeszcze wytrzyma? Czy prędko pocznie skomleć o litość, niby chłopak biorący różgi? Czy prędko straci oddech do reszty i nogi się pod nim ugną? Czy prędko ojciec Roland, maskując pogardę, odeśle go z powrotem?

Wstyd, wstyd i gniew zalały go niby fala, dodając od razu energii. Zacisnął zęby. Po raz drugi tego dnia zbudziła się w nim chęć walki. Pragnął tylko jednego: iść naprzód, wygrać. Ojciec Roland, obejrzawszy się z pocziwą troskliwością, zobaczył w oczach Dawida tę nową iskrę, lecz dostrzegł również rozchylone wargi i pierś dyszącą nierówno. Krótkim okrzykiem zatrzymał Mukokiego i psy.

— Pół mili na razie wystarczy dla nowicjusza — rzekł. - Niech pan zrzuci rakiety i posiedzi na saniach przez następne pół mili.

Dawid ruszył głową przecząco.

--- Jazda! --- Rzekł. --- Jakoś dam sobie radę!

Ojciec Roland nabił i zapalił fajkę. Gdy ruszyli dalej, dym tytoniowy wypełnił nozdrza Dawida. Sina chmurka spowijała ramiona i głowę idącego przodem misjonarza. Ta woń napawała Dawida otuchą. Złączona z aromatem sosen i jodeł ułatwiała po prostu oddychanie. Wiedział jednak, że nie na długo już starczy mu sił i oddechu. Żył pod kolanami bolały okrutnie, a rakiety śnieżne ciążyły, jakby były z ołowiu. Szedł mimo to, licząc kroki. Postanowił zrobić pełną milę. Prawie już jęczał, gdy raptowny skręt szlaku wywiódł ich z lasu na brzeg

jeziora, którego zamrznięta powierzchnia zajmowała olbrzymią przestrzeń. Mukoki zatrzymał psy. Z głębokim westchnieniem Dawid poczłapał do sań i upadł na nie.

— Zaczynam być sobą — wysapał. — Po prostu zaczynam być sobą.

Te ostatnie pół mili było jego niezaprzeczoną triumfem, wiedział o tym doskonale. Przez biały opar własnego oddechu spojrzął na jezioro. W blasku słońca było przedziwnie czyste. Sprawiało wrażenie srebrzystego dywanu, nie tkniętego stopą ludzką, gęsto usianego pyłem diamentowym. O trzy lub cztery mile, na przeciwległym brzegu, wyrastał ciemny bór. W prawo i w lewo rozpościerała się lodowa przestrzeń.

Dawid nigdy nie oglądał nic podobnego. To było naprawdę cudne jak sen. Patrząc nie czuł nawet chłodu. Krajobraz nie przedstawiał nic komicznego, a jednak Dawid roześmiał się głośno. Piersi rozsadzała mu radość granicząca z upojeniem. Zły, posępny świat pozostał w tyle. Znikł. Z mrocznej, ponurej jaskini wyszedł wreszcie na światło dzienne. Słońce błyszczało złościście, niebiesciło się niebo. Mógł oddychać pełną pierśią.

Dawid spojrzął na ojca Rolanda; misjonarz obserwował go już dobrą chwilę z poczciwym, nie pozbawionym dumy uśmiechem, jak gdyby szczycąc się odniesionym zwycięstwem,

— Wygrał pan, panie Dawidzie! — rzekł. — Gdy po raz pierwszy używałem rakiet śnieżnych, zrobiłem za ledwie połowę tej drogi.

Zwrócił się do Mukokiego.

— Pamiętasz?

A Indianin skinął głową twierdząco, przy czym twarz jego o barwie rzemienia zmarszczyła się w uśmiechu.

Pochwała tych dwu ludzi sprawiła Dawidowi niezmierną uciechę. Widać istotnie dokonał wielkiej rzeczy. A tak sam w siebie wątpił! Co za rozkosz walczyć i zwyciężać!

Tym razem nie sprzeciwiał się już, gdy ojciec Roland wyznaczył mu miejsce w saniach.

— Do przeciwległego brzegu mamy cztery mile — tłumaczył misjonarz. — Psy przebędą tę odległość w godzinę. Obaj z Mukokim będziemy przecierać szlak.

Skoro ruszyli naprzód, Dawid wreszcie mógł obserwować z bliska fragment życia Dalekiej Północy: sprawne, zręczne ruchy ludzi idących przodem, zapał psów wyciągniętych w długą burą linię. Było w tym wszystkim coś imponującego, coś, co przykuwało uwagę i budziło poważne refleksje. Szło przecie nie tylko o pracę człowieka i zwierzęcia, nie tylko o trud konieczny dla uzyskania jedła, napoju i schroniska na nocny wypoczynek. Szło po prostu o zdobycie prawa egzystencji.

Zastanowił się chwilę, czy egzystencja w tej głuchej pustce, pozbawionej całkowicie udogodnień cywilizacji, może stanowić jakkolwiek atrakcję? Zadając sobie to pytanie, wciągnął głęboko w płuca czyste, rześkie powietrze. Nie

spuszczał oczu z falistej linii psich grzbietów naprzężonych z wysiłku, dostrzegał na pół rozwarte pyski, czujnie nastroszone uszy, zapał, z jakim dotrzymywały kroku panom, idącym przodem. Słuchał krótkich, gwałtownych, zbyt licznych pokrzykiwań Mukokiego: „Hii!... Kii!...”, rzucanych niewątpliwie jedynie dla wyładowania nadmiernej radości.

Ojciec Roland odwrócił na sekundę szeroko uśmiechniętą twarz, Jacyż oni byli wszyscy szczęśliwi, ludzie i zwierzęta! Nie dostrzegał wyraźnego powodu tej radości, chyba tylko, że krew krążyła w żyłach szybciej niż zazwyczaj. Wszystko działało

sprawniej: serce, płuca, mózg. Wszystko było dziwnie jasne. Co za piękny świat! Co za wspaniały świat! chciało mu się głośno obwieścić to odkrycie.

Im dłużej się rozglądał, tym większy zachwyt go ogarniał. Stalowe płozy sań, wydawały metaliczny zgrzyt po zamrzniętym śniegu. Łapy wielkich husky miękko kłapały o ubity śnieg; ich oddech, przypominający nieomal stłumiony śmiech, Łączył się harmonijnie z chrzęstem kroków ludzkich. Poza tym trwała wielka, pogodna cisza. Od wschodu i zachodu czarny las, od północy i południa usiana diamentami biel.

Wyjął fajkę, wypełnił ją tytoniem i zapalił. Co za uczta! Z rozkoszą puszczał kłęby dymu, lecz wtem, z oczami wlepionymi w daleką smugę boru, przypomniał sobie przeszłość.

Po raz pierwszy od owej strasznej nocy sprzed roku pomyślał o zdradliwej kobiecie bez bez gniewu i bez żalu. Zastanowił się nad nią chłodno. Był pewien, że w świecie, w którym znajduje się obecnie, istota taka nie mogłaby egzystować. Jej płytka dusza nie znalazłaby tu dla siebie miejsca. Oszalałaby z pewnością w tej pustce, ciszy i bieli.

Niby kojący dotyk łagodnej dłoni napłynęło wspomnienie drugiej kobiety, owej dziewczyny z fotografii. Wkraczał właśnie w jej świat. Wpatrując się w szaniec boru na północo-zachodzie, wierzył, że musi się gdzieś tam znajdować. O paręset czy o tysiąc mil dalej? Kraj ten zajmuje przestrzeń tak olbrzymią... Ale dziś niewątpliwie jest, żywa, z krwi i kości.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął paczuszkę. Pochyliwszy się ukrywał ją za jedną ze skrzyń, tak by ojciec Roland, w razie gdyby się odwrócił, nie mógł nic zauważyć. Odwinąwszy papier przestał ćmić fajkę. Dziewczyna była dziś prześliczna i wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Z drżących warg zrywały się nieme wyrazy, słońce pieściło rozwiany włos. Rozdygotanymi palcami wsunął znów obrazek do kieszeni. Wyszeptał parę słów. Fajka mu zgasła, lecz nie zauważył tego wcale. Zbudził go dopiero z zadumy niespodziewany okrzyk ojca Rolanda. Psy stanęły jak wryte. Umilkł śpiewny skrzyp płóz. Misjonarz wskazywał dłonią jezioro.

--- Patrz!--- wołał.

--- Wygrał pan znów, panie Dawidzie! Bari dąży za nam.,

Pies nie zbliżał się więcej. Wtenczas Dawid ściągnął wargi i wydał szczególny, przenikliwy gwizd. W przyszłości Bari miał go słuchać natychmiast, na razie jednak nie zareagował nań wcale. Trzej ludzie obserwowali chwilę zwierzę w milczeniu. Skoro ruszyli dalej, Dawid ponownie wsunął nogi w rakiety śnieżne. Szło mu teraz znacznie łatwiej. Nabrał wprawy, zarówno w ruchach, jak i w miarowym oddychaniu.

Po upływie pół godziny ojciec Roland zatrzymał zaprzęg, by dać nowicjuszowi wypoczynek. Bari zbliżył się teraz znowu. Znajdował się nie dalej jak o pół mili. O trzeciej zjechało z lodowej powierzchni jeziora, wydostając się na zalesiony brzeg. Słońce nie grzało już wcale i świeciło coraz słabiej. Kryształki śniegu utraciły diamentowy blask. Między drzewami gromadził się szary, posępny mrok. Stańli raz jeszcze. Misjonarz zdjął rękawice, by zapalić fajkę, lecz w niezręcznym ruchu fajka wysliznęła mu się z rąk i wpadła w sypki, głęboki śnieg. Pochylając się, by ją podnieść z ziemi, ojciec Roland rzekł głośno:

— Ach, do diabła!

Wyprostował się z uśmiechem. Dawid uśmiechnął się także.

— Myślę — powiedział — co za szczególny ksiądz jest z ojca?

Misjonarz uśmiechnął się znów i bąknął raczej sam do siebie:

— Słusznie, najzupełniej słusznie! Przytknął do fajki zapalną, pociągnął i dodał:

— A jak pańskie nogi? Do postoju mamy jeszcze dobrą milę.

— Dojdę albo padnę! — odpowiedział Dawid bez namysłu.

Chciał zadać pewne pytanie. Dręczyło go ono już od dawna. Obejrzał się, stwierdził, że Bari, kołując, zbliża się do krawędzi boru. Udając zupełną obojętność spytał:

— Jak daleko jest do chaty Tawisha?

— Cztery dni. Cztery dni, jeśli utrzymamy dobre tempo, stamtąd zaś do Bożego Jeziora jeszcze tydzień. Co prawda zamiast siedmiu dni zużyłem niegdyś tylko pięć na przebycie tej drogi, a Tawish potrafił nawet przebiec ją w dwa dni i jedną noc. Był sam jeden i miał zaprzęg złożony z siedmiu psów. Biegł po ciemku, podczas burzy. Oto czego potrafi dokazać lęk. Lęk go gnał. Obiecałem to panu opowiedzieć dziś wieczór. Dopiero gdy pan będzie wiedział, zrozumie pan, co to za człowiek. Dziwny człowiek, bardzo dziwny!

Rzucił parę słów Mukokiemu w narzeczu Krików, Indianin zaś zareagował natychmiast, śląc pod adresem psów szorstki rozkaz. Husky, leżące dotychczas na brzuchach, porwały się znów do biegu. Indianin kroczył przodem, przecierając szlak. Ojciec Roland szedł z tyłu, Dawid na samym końcu, za saniami.

Zdumiała go szybkość, z jaką słońce potrafiło zająć i zgasnąć. W ciemnym borze zaczynała się już noc. Głębokie cienie rodziły nowe dźwięki. Tuż obok usłyszał szelest i oto olbrzymia sowa przeleciała mu nad głową niby zjawa. Ktoś biegł po śniegu, gałęzie chyliły się z szelestem. W gęstwinie ozwał się jęk tak podobny do płaczu dziecka, aż się Dawid wzdrygnął. Wytężał słuch i wzrok, chcąc wyłowić coś jeszcze i tak był tym pochłonięty, że zapomniał nawet o bólu nóg. Od czasu do czasu zaprzęg stawał i misjonarz przy pomocy Mukokiego odciągał na bok kłodę tamującą przejście. W czasie jednego z takich postoi dobiegło ku nim z dala żalosne wycie.

— Wilk! — rzekł ojciec Roland, kiwając na Dawida głową. — Niech pan słucha!

W tyle odpowiedziało wycie podobne. To przemawiał Bari.

Ruszyli znów wymijając ogromny wykrot. Wiatr zerwał się właśnie, poruszając gałęzmi drzew w górę; strząśnięty przezeń śnieg posypał się na głowy i ramiona, jak gdyby ktoś żartobliwie bombardował wędrowników śnieżkami. Sowy fruwały wśród konarów; wilk i Bari nawoływali się nawzajem. Wtem rozstały się drzewa i z ciemni nieomal zupełnie weszli w siwy półmrok polany. Dwadzieścia metrów dalej zobaczyli chatę. Psy stanęły. Ojciec Roland wydobyl z kieszeni swą wielką, srebrną cebulę, podsuwając ją do samych oczu.

— Wpół do piątej — rzekł. — Spisał się pan dzielnie, panie Dawidzie. Zagwizdał wesoło. Psy, którym Mukoki zdejmował uprzęż, skomliły i

piszczały jak rozbawione szczenięta. Indianin chichotał milcząco. W powietrzu wisiała taka radość, że nawet mrok wydał się mniej gęsty. Dawid nie mógł zrozumieć powszechnej uciechy, jakkolwiek odczuwał ją również każdym nerwem. Dopiero ojciec Roland, pochylony nad saniami, wyjaśnił:

— Dobrze jest znaleźć się znowu na szlaku!

O to właśnie szło, o trud całodzienny i o zasłużony wypoczynek. Dawid spojrział na chatę, której czarne ściany przygniatał dach biały od śniegu. Mimo iż wewnątrz nie było światła, domostwo sprawiało wrażenie przyjazne i przytulne. Ogarnęła go naraz ogromna chęć, by wziąć udział w pracy obu towarzyszy. Zrzuciwszy rakiety śnieżne zbliżył się wraz z Mukokim do drzwi zamkniętych na drewnianą zasuwę. Skoro weszli do środka, rozróżnił w ciemności żelazny piec, krzesło i narty pod ścianą. Mukoki zakrzętnął się już przy piecu, gdy wszedł ojciec Roland z pełnymi rękami. Rzucił ciężar na podłogę i wyszedł znów wraz z Dawidem. Wspólnie zaczęli teraz wносить do chaty resztę ładunku. Mukoki tymczasem zapalił lampę i zawiesił ją nad stołem. Ojciec Roland wziął siekiere, spróbował na palcu, czy jest dość ostra i rzekł do Dawida:

— Pójdziemy przygotować pościel, zanim się zupełnie ściemni. Przygotować pościel?! Misjonarz znikł już w drzwiach, gdy Dawid, oprzytomniawszy, chwycił drugą siekiere i ruszył w ślad za nim.

Wokół chaty rosły gęsto młode drzewka iglaste; misjonarz za pomocą siekiery począł je ogałacać z gałęzi. Zanieśli potem do izby całe naręcza, wysoko spiętrzając na koi pachnące łapki jodłowe. Żelazny piec rozpalony już był do czerwoności, bulgotały na nim rozliczne garczki i kociołki, a pieczona polędwica karibu roztaczała nęcącą woń. Skoro zasiedli do kolacji, Dawid jadł tak żarłocznie, jak gdyby to był jego pierwszy posiłek dzienny. Zazwyczaj lubił tylko doskonale wysmażone befsztyki, lecz dziś połknął olbrzymi kawał na pół surowego mięsa, pływającego we własnym tłuszczu. Skończywszy zapalili fajki i wyszli, by dać psom jeść, po jednej mrożonej rybie na każde zwierzę.

Dawid popadł w zupełny błogostan. Nie zastanawiał się wcale skąd on płynie. Radośnie godził się z tym faktem. Pierzchły nerwowe obawy i niepokoje. Pustka śnieżna nie napawała go już lękiem. Chciał iść naprzód i jak najprędzej

poznać Tawisha. Pragnienie to rosło w nim, odkąd ojciec Roland wspomniał po raz pierwszy nazwisko starego Traperza. Tawish znał rzekę Stirekine, mieszkał nad strugą Firepan. Musiał zatem coś wiedzieć o dziewczynie. Choćby, kim ona jest? Gdzie przebywa? Skąd się tam wzięła? Biali ludzie trafiali się niezmiernie rzadko w tamtej dzikiej okolicy, tym łatwiej było każdą osobę zapamiętać.

Postanowił, że pokaże Tawishowi fotografię, ale nie powie mu, skąd ją ma. Wyjaśni, że jest to córka przyjaciela albo znajomej. To ostatnie wyjaśnienie będzie nawet częściowo zgodne z prawdą.

Lecz tego wieczoru ojciec Roland poruszył wprawdzie wiele innych lematów, zanim wspomniał wreszcie nazwisko Tawisha. Dawid czekał cierpliwie, nie chcąc zdradzać zbytniego zainteresowania.

— Tawisha prześladowuje wciąż okropna trwoga — rzekł w końcu misjonarz. Siedział na spiętrzonych na podłodze gałęziach, wyciągnąwszy nogi przed siebie, plecami do ściany, i ćmiąc fajkę spoglądał na Dawida zadumanym wzrokiem. —

Czasem sprawia wrażenie ostatniego tchórze. Widziałem, jak bladł, gdy trzasnęła gałąź. Widziałem, jak dygotał na całym ciele bez żadnego powodu. Widziałem, jak panicznie bał się ciemności. A potem, raz, przybył do mnie sam, w nocy i podczas burzy śnieżnej. Wariat chyba? Nie, nie wariat! Ale i nie tchórz. Gdyby był tchórzem, to by nie mieszkał w puszczy na odludziu. A jednak boi się wciąż. Trwoga prześladowuje go niby czyjaś zemsta. Przysięgłbym nieraz, że to nie żywej istoty się tak obawia. Tym gorzej dla niego. Tym bardziej jest to wszystko niesamowite.

Umilkł, zadumał się i powiedział znowu:

— Widziałem dziwne rzeczy. Widziałem wielu skruszonych grzeszników. Słyszałem o sprawach, w które pan nie zechciałby po prostu uwierzyć. Nigdy jednak nie spotkałem trwogi podobnie męczącej, jak ta, której przyczyny Tawish nie chce za nic wyznać. Dałbym rok życia, dałbym nawet więcej, by mu w czymkolwiek pomóc. Ma w sobie coś, co wzbudza mimowolną sympatię, co pociąga. Ale jest tak niedostępny. Chce być sam ze swym lękiem. Czyż to nie dziwne? Zastanawiałem się nad tym niejednokrotnie i tej nocy, gdy strach przygnał go do mnie, dowiedziałem się jednej rzeczy. On boi się kobiety!

— Kobiety?!

— Tak, kobiety, która mieszkała lub też mieszka w okolicy rzeki Stikine, o której wspominał dziś rano.

Serce Dawida drgnęło.

— W okolicy rzeki Stikine czy też strugi Firepan? — spytał.

Misjonarz zamyślił się głęboko, przymknąwszy oczy dla lepszego skupienia. Dawid miał wrażenie, że milczenie trwa niezmiernie długo.

— Tak, to było nad strugą Firepan, jestem tego zupełnie pewien — rzekł wreszcie ojciec Roland. — Tawish chorował tam na ospę. Pamiętam doskonale. Poznał tam jakąś kobietę. Bał się jej. Boi się panicznie teraz jeszcze. Czy pan to rozumie? Dałbym wiele, żeby tę sprawę zgłębić. Ale on milczy. Nie chcę się zresztą dopytywać. To nie moja rzecz. Mam jednak własne przypuszczenia.

Niemal pewność. To jest po prostu okropne.

Mówił cicho, nie spuszczać oczu z Dawida. Dawid spytał szeptem:

— Co to za przypuszczenia?

— Tawish obawia się kogoś, kto już nie żyje.

— Kogoś, kto umarł?

— Tak. Kobiety lub może dziewczyny, której wspomnienie prześladowuje go z za grobu. Pewien jestem, że to właśnie to.

— Dziewczyny, która umarła nad strugą Firepan?!

Dawid miał wrażenie, że chłodna dłoń dławi go za gardło. Szczęściem cienie kryły jego twarz przed wzrokiem ojca Rolanda. Tych parę słów wymówił z wielkim trudem.

— Prześladowuje go dusza zmarłej kobiety lub dziewczyny — ciągnął misjonarz. — Boi się jej panicznie, jak obłąkany.

Dawid wstał wolno, włożył czapkę i kurtkę futrzaną, po czym zbliżył się do drzwi.

— Pójdę przywołać Bariego — rzekł.

Wyszedł z chaty. Śnieg srebrzył się i mienił w blasku księżycy i gwiazd, nigdy nie widział nocy równie pięknej. Na razie jednak po prostu nie zdawał sobie wcale sprawy z tej piękności, tak był pochłonięty czym innym.

Dziewczyna znad strugi Firepan, martwa. Prześladowuje Tawisha...

Nie słyszał skowytu psów; przed oczami miał wizerunek dziewczyny z fotografii: bosonogiej, wylęknionej, gotowej do obrony lub ucieczki. Co się stało potem? I kto sfotografował ją w tym momencie? Czyżby Tawish?! Czy Tawish ją nastraszył?

Nie chciał myśleć dalej. Otrząsnął się z ponurej zadumy, instynktownie przycisnął dłoń do kieszeni na piersi.

Drzwi chaty otwały się. Wyszedł z nich ojciec Roland. Zakasłał, popatrzył na niebo i rzekł:

— Co za piękna noc, panie Dawidzie! Co za prześliczna noc!

Mówił monotonnym głosem, tak nienaturalnym, że Dawid odwrócił się i popatrzył na niego zdziwiony. Ojciec Roland spoglądał w głąb boru wysrebrzoną księżycem i gwiazdami, postarzały naraz, zgarbiony, jakby wielki ciężar tłoczył mu ramiona. Był zmieniony ogromnie, jak wtenczas w pociągu, po prostu nieobecny duchem. Poza jakąś jedną sprawą cały świat przestał dla niego istnieć.

## 10. Chata Tawisha

Ciszę nocy księżycowej zmaćił Bari.

Dawid obserwował właśnie ojca Rolanda, zaintrygowany dziwnym wyrazem jego twarzy, gdy w lesie ozwało się wycie. Dobiegło z bardzo bliska. Misjonarz drgnął, niby zbudzony ze snu, rozejrzał się, wyprostował zgięte barki i

po jego wargach przewinął się wymuszony uśmiech.

— Prześliczna noc — powtórzył, jednocześnie zgarniając przed oczu niewidzialną mgłę. — W taką samą noc właśnie, przed piętnastu laty...

Urwał sztywniejąc. Zbliżywszy się do Dawida oparł mu dłoń na ramieniu.

— To był Bari — powiedział. — Pies szedł naszym śladem.

— Jest gdzieś niedaleko — uzupełnił Dawid.

— Tak. Zwęszył naszą obecność. Czatuje na pana.

Obaj zamilkli nasłuchując.

— Zaniose mu rybę — rzekł Dawid. — Sądzę, że podejdzie do mnie. Mukoki podciągnął brezentowy wór z rybą aż pod dach chałupy, chcąc go ustrzec przed nocnymi maruderami. Ojciec Roland wyczekał aż Dawid spuści worek i wybrał mrożonego łososia, po czym wszedł z powrotem do izby. Dawid zaś udał się na skraj boru.

Szukał jednakże nie tyle Barię, ile samotności. Chciał zejść z przyjaznych oczu ojca Rolanda i uniknąć badawczego wejrzenia Mukokiego. Chciał się zastanowić, rozważyć to i owo. Widział przed sobą splot posępnych tajemnic, a kto wie czy nie tragedię nawet. Los igrał z nim w sposób niezrozumiały i ogromnie skomplikowany. Wbrew woli niemal został wciągnięty w krąg powikłanych wydarzeń.

Przypomnił sobie ciemne, niesamowite oczy kobiety z pociągu i słowa, którymi wypytywała o człowieka imieniem Michał O'Doone. Sama jej obecność tragicznie zagęszczała atmosferę. Ta kobieta oraz pozostawiona przez nią fotografia, stanowiły załączek dramatu. Rozwijał go ów na pół obłąkany Tawish. Tawish, który umknął z okolicy Firepan w tym samym czasie mniej więcej, gdy zostało zrobione to zdjęcie, i który żyje odtąd w ustawicznym lęku przed kimś umarłym.

Nie usiłował nawet wiązać tych faktów logicznie, był tylko przeświadczony, że dziewczyna z fotografii i kobieta z pociągu mają coś wspólnego z nieszczęsnym Tawishem.

Dumał teraz, czy nie należałoby powiedzieć wszystkiego ojcu Rolandowi. Zamyślony, wkroczył na około stu jardów w głąb boru i machinalnie przystanął na malutkiej polance, jaskrawo oświetlonej księżycem. Wiedział już, co uczynić należy. Poczekaj, zanim dotrą do chaty dziwnego samotnika, po czym w obecności ojca Rolanda niespodzianie pokaże Tawishowi fotografię. Co stanie się wtenczas? Może naprawdę Tawisha prześladuje ktoś nieżywy? Czyżby ta dziewczyna? Otrząsnął się i zacisnął wargi. Misjonarz może się mylić! Kto wie, czy ta kobieta z pociągu nie jeździ po świecie szukając zemsty?! Kto wie, czy nie szuka właśnie Tawisha? Może w tej dolince nad strugą Firepan, Tawish nazywał się Michał O'Doone?...

Trzęsąc się jak w gorączce Dawid brnął głębiej w las. Zapomniał o Barim; nie czuł nawet, że w ręku niesie wciąż zmarzniętą na kość rybę. Wtem poruszyło się coś tuż obok, tak blisko i niespodzianie, że człowiek odskoczył z mimowolnym krzykiem. Zwierzę, jakiegokolwiek ono było, minęło go o dwa metry zaledwie, teraz zaś tkwiło o cztery do pięciu metrów dalej, błyskając posępnie jedynym okiem. Dopiero ujrawszy to jedyne oko Dawid odetchnął. Podniósł rybę, która mu wypadła z ręki pochylając się zawołał łagodnie:

— Bari!

Pies najwidoczniej oczekiwał wołania. Zerknął ukosem ku chacie i znów spojrział na Dawida. Zaskomlił. Człowiek powtórzył wołanie, zachęcająco wyciągając dłoń z rybą. Pies na razie ani drgnął, leżał nieruchomo, zupełnie jak sfinks wykuty z kamienia. Wtem rozpląszczył się na brzuchu i zaczął podpełzać bliżej.

Plama księżycowego światła padła na nich w chwili, gdy Dawid, kucnąwszy, podawał Bariemu rybę. Zachręściło mrożone mięso. Siła tych szczęk przyprawiła człowieka o niemiły dreszcz. Jakże były straszne i wspaniałe zarazem. Noga ludzka pękłaby pod ich naciskiem niby fajka zbyt silnie ściśnięta zębami. A ten groźny Bari po raz drugi podpełzał do niego na brzuchu, nie w obawie przed kijem, lecz pełen pokornego uwielbienia.

Dawid był ogromnie wzruszony, a Bari, nawet jedząc, nie spuszczał wzroku z człowieka w obawie, że ten mu raptem zniknie. Ślepie psa straciło wyraz wściekłości, było jednak wciąż naciekle krwią. Dawid pomyślał o razach, które pies otrzymał i poczuł litość. Zauważył, że Bari usiłuje otworzyć drugie oko; spuchnięta powieka drgała mu spazmatycznie. Szybko wyciągnął rękę. Bez obawy dotknął ciężkiego łba i pies od razu przestawszy poruszać szczękami, rozpląszczył się jak martwy.

Dawid pochylił się niżej. Dwoma palcami ostrożnie uniosł obrzękniętą powiekę. Bari zaskomlił i zadygotał całym wielkim cielskiem. Olbrzymie kły szczękały mu niby

w febrze. Jego wilczej naturze, przyzwyczajonej do nieludzkich razów bata i kija, pod którymi niejednokrotnie prawie konał, ból zadany tym dotknięciem przypominał raczej pieszczotę. W tej chwili instynkt działał trafniej niżli rozum. Bari był pełen ufności. Złożywszy pysk w śniegu, westchnął ciężko i znieruchomiał, a Dawid, zgięty, delikatnie masował palcami chore oko. Skoro wreszcie wrócił do chaty, pies szedł za nim aż na sam skraj polany.

Misjonarz i Mukoki usłali już łóżka z łapek jodłowych, jedno na pryczy, dwa zaś na podłodze, Indianin drzemał owinięty w koc, podczas gdy misjonarz czyścił fuzję Dawida.

— Musi pan jutro spróbować tej broni — rzekł do wchodzącego. — Jak pan sądzi, czy zdoła pan trafić łosia?

— Wątpię!

Ojciec Roland roześmiał się.

— Obiecuję uczynić z pana dobrego strzelca w zamian za naukę boksu.

Mrugnął okiem porozumiewawczo; rękawice leżały na stole. Widać misjonarz oglądał je przed chwilą. Dawida ubawiła ta dziecinna nieomal pasja. Ojciec Roland silniej przesunął miękką skórka po lufie fuzji i zagadnął:

— Jeśli nie potrafi pan dosięgnąć łosia tą kulka, to z pewnością jednak dosięgnie mnie pan tą rękawicą?

— Oczywiście. Będę jednak uważał, a w zamian za to proszę o względy przy nauce strzelania.

Misjonarz, skończywszy polerować lufę, oparł fuzję o ścianę i wziął do ręki rękawice.

— Na dworze jest prawie tak jasno jak w dzień — rzekł kuszaco. — Czy bardzo pan znużony?

Zdradził się tak wyraźnie ze swym pragnieniem, że nawet Mukoki, wysunąwszy głowę spod koca, spojrział zdziwiony. Dawid nie czuł wcale zmęczenia. Poprzednie wyczerpanie znikło zupełnie pod wpływem podniecenia, wywołanego opowiadaniem o Tawishu. Wziął zatem ze stołu parę rękawic i ruchem głowy wskazał drzwi.

— Ojciec chciałby?... Ojciec

Ronald stał już obok.

Mukoki wylazł spod koca uśmiechnięty. Zawiązał im obu rzemyki wokół nadgarstka i wyszli we trojkę na zalana księżycem polanę

Indianin był rozpromieniony, uśmiech nie opuszczał jego brunatnej twarzy. Dawid był ciekaw, czy wyraz ten nie ulegnie zmianie, kiedy ojciec Roland, trafiony celnym ciosem osunie się w śnieg. Podobny los czekał go niewątpliwie prędzej czy później, gdyż Dawid opanował dość dobrze sztukę boksowania. Niegdyś w klubie atletycznym odnosił znaczne sukcesy dzięki szybkiej orientacji i niepowszednim u amatora zdolnością strategiczną. Wymyślił nawet parę oryginalnych tricków. Czuł jednak, że ostatnie półtora roku zaniedbania fatalnie odbiło się na jego kondycji.

Zastanawiał się właśnie nad tym, gdy wymierzał ojcu Rolandowi pierwszy cios w sam czubek nosa. Areną była polana jaskrawo oświetlona księżycem, w którego blasku twarz ojca Rolanda lśniła głębokim zadowoleniem. Nie zmienił nawet jej wyrazu

ów pierwszy cios. Mukoki chichotał głośno. Dawid tańcząc niedbale wokół nieruchomej prawie postaci, rozdawał równocześnie lekkie szturchańce i rady.

— Pilnować nosa, ojcie! I żołądka! I uszu! Ale nosa przede wszystkim!...

— A także szczęki, panie Dawidzie - dodał niespodziewanie ojciec Roland, i oto świat pociemniał raptem w oczach Dawida Raine.

Gdy po chwili odzyskał przytomność, siedział w śniegu, ojciec Roland zaś i Mukoki pochylali się nad nim, przy czym twarz misjonarza wyrażała szczerą troskę, a Indianin chichotał otwarcie.

--- Niech mi Bóg przebaczy --- mówił ojciec Roland. --- Wcale nie zamierzałem tak pana skrzywdzić! Ale nie mogłem zmarnować takiej okazji! No, po prostu nie mogłem! Za to teraz zabawa skończona...

--- Chyba, że ojciec się zmęczył?! --- zaprzeczył Dawid wstając. --- Ojciec wziął mnie podstępem. Myślałem, że mam do czynienia z nowicjuszem.

--- To dlatego pan się tak znęcał nad moim nosem--- odparował ojciec Roland.

Stanęli znów do walki, przy czym Dawid przywołał na pomoc całą swą umiejętność, zaprzestawszy dawania rad; misjonarz natomiast nabrał wprost kociej zręczności ruchów. Trzykrotnie rękawica ojca Rolanda musnęła twarz Dawida Raine. Ale ten ostatni odzyskiwał już utraconą wprawę, toteż po upływie dziesięciu minut misjonarz siedział na śniegu ogłuszony, a Mukoki przestał się uśmiechać.

Gdy nieco później wracali do chaty, ojciec Roland chichotał radośnie.

— Od wielu lat jeden tylko człowiek potrafił mi zadać taki cios! mówił chępliwie. — Człowiekiem tym jest Tawish! Pierwszorzędny z niego bokser. Musiał nieraz walczyć. Dlatego zapewne tak go lubię. Lubię w ogóle ludzi bojowych, niezależnie od tego, czy ich siła leży w mózgu, czy w pięści!

— A jednak Tawish, jak ojciec twierdzi, żyje w ustawicznej trwodze. Jakże to pogodzić z jego rzekomą odwagą?

— Jak? — misjonarz był najwyraźniej zły. — Bardzo prosto. Czyż można nazwać tchórzem kogoś, kto boi się wspomnień?

Dawid długo nie mógł zasnąć. Leżąc w ciemności z otwartymi oczyma, kombinował mozolnie poty, aż począł doznawać wrażenia, że jest zamknięty w ciasnym więzieniu, z którego nie ma wyjścia. Słyszał miarowe oddechy ojca Rolanda i Mukokiego, śpiących smacznie. Sam daremnie usiłował znaleźć spokój. Ilekroć zamknął powieki, wspomnienia powracały jeszcze wyraźniejsze. Dziewczyna z fotografii, Tawish i kobieta z pociągu. Pewien był, że tych dwoje coś łączy, jakiś dramat. Ale jaki? Skoro wreszcie się zdrzemnął, prześladowały go dziwaczne wizje. Zbudziło go światło. W izbie płonąła lampa olejna, ojciec Roland i Mukoki krzatali się przy piecu.

W ciągu następnych czterech dni pękło ostatnie ogniwo łańcucha, wiążące Dawida Raine z jego poprzednim życiem. Były to piękne dni, wiodły ich coraz dalej na północ; słoneczne i mroźne od wschodu do zachodu, mroźne i gwiaździste od zachodu do świtania. Pierwszej doby Dawid zrobił piętnaście mil na raketach śnieżnych, a przespał się w szałasie z gałęzi jodłowych, ustawionym pod ścianą skalną. U wejścia płonął całą noc wielki ogień z żywicznych pm- Nazajutrz zaczął poznawać głuszę. Po śnieżycy mieszkańcy leśni wykazywali wielką ruchliwość, więc ojciec Roland zatrzymywał się przy każdym tropie, wyjaśniając i tłumacząc.

Pokazał, gdzie lis sunął cicho śladem zająca, gdzie banda wilków zagnała na śmierć osaczonego jelenia, gdzie łoś i karibu społem szukały schronienia przed zawieją; objaśnił, jakie zasadnicze różnice zachodzą identycznych na pozór tropach obu zwierząt. Tej nocy Bari przybiegł do obozu, gdy wszyscy już usnęli. Rankiem znaleźli wygrzebaną przezeń w śniegu jamkę, oddaloną zaledwie o kilkanaście metrów od szałas. Trzeciego dnia Dawid ustrzelił pierwszego łośa, nad wieczorem zaś zwabił Barię do samego ogniska, rzucając mu parokrotnie kawałki surowego mięsa. Zmienił się bardzo. Trzy dni szlaku, trzy noce pod otwartym niebem, działy cuda. Twarz mu ściemniała i zarosła, policzki i uszy popękały od chłodu i wiatru, nabrał sił i energii.

--- Pana choroba pochodziła raczej z duszy niż ciała --- rzekł ojciec Roland, przy czym Dawid był skłonny mu uwierzyć.

Rozumiał już, że wysiłek fizyczny może być źródłem przyjemności; sam począł ją nawet odczuwać coraz częściej. Każdego południa, gdy rozpalali ogień dla zjedzenia obiadu, każdego wieczoru, gdy rozbijali obóz na noc, Dawid ścinał drzewo. Dziś zrąbał sosnę twardą od żywicy jak żelazo. Rozgrzał się przy tym i zmęczył. Potem siadł przy ogniu i oddychając głęboko, rzucał Bariemu ochłapy mięsa. Od chaty Thoreau dzieliło ich już sześćdziesiąt mil. Ojciec Roland przysiadłszy obok rzekł: --- Jutro zobaczymy Tawisha.

Wszystkie myśli Dawida były na tym tak skupione, że po prostu doznawał wrażenia, iż specjalnie po to przybył na Daleką Północ, by poznać Tawisha. Nie miał pojęcia, co się stanie dalej. Pragnął tylko pokazać samotnikowi fotografię dziewczyny i zobaczyć, jak ten obrazek na niego podziała.

Skoro misjonarz i Mukoki usnęli pod jedwabnym namiotem przywalonym dla ciepła masą gałęzi jodłowych, Dawid długo jeszcze siedział przy ogniu. Wkrótce zobaczy Tawisha, pokaże mu fotografię. A co potem? Dziewczyna, jeśli jeszcze żyje, znajduje się o tysiące mil. Znaleźć ją w tym chaosie gór i boru jest zadaniem niemal nad siły. Po raz pierwszy zresztą przyszło mu na myśl, że mógłby ją odszukać. Po co? Wydobył fotografię z kieszeni i wlepił oczy w śliczną twarzyczkę. Serce mu drgnęło. Ukrył znów obrazek na piersi i przytrzymał go ręką, jakby w obawie, że raptem zniknie.

Nazajutrz o wczesnym zmierzchu zimowego wieczoru misjonarz zatrzymał psy na garbie kamienistego pagórka i wskazując w głąb pobliskiej doliny, zadowolony jak człowiek, który znajduje się wreszcie u celu podróży, rzekł:

--- Oto dom Tawisha!

## 11. Jak znaleziono Tawisha

Zeszli w dolinę. Dawid wyteżał wzrok, lecz w miejscu wskazanym przez ojca Rolanda nie widział zupełnie nic, prócz czerwonych pni sosen w głębi. Mukoki krocząc przodem ostrożnie torował drogę, mijając przysypane śniegiem głązy, podczas gdy misjonarz i Dawid trzymali sanie, nie pozwalając im zsunąć się na grzbiety psów.

Krajobraz był dziki, pośępny, Dawid dziwił się więc, że człowiek opętany manią prześladowczą nie poszukał sobie okolicy mniej ponurej. Nawet w słoneczny dzień czy noc księżycową dolina ta sprawiała z pewnością wrażenie niemiłe. Co za cisza grobowa! Ani pies nie zawył, choć Tawish z pewnością posiadał własną sforę. Dawid chciał właśnie przemówić, spytać misjonarza, czemu Tawish, będąc nerwowo chorym, tutaj się osiedlił, gdy husky, przodownik zaprzęgu, stanął i zaskomlił cicho. Dawid słyszał podobny skowyt po raz pierwszy w życiu. Cała sfora odpowiedziała nań skomleniem. Psy utknęły w miejscu na szeroko rozstawionych sztywnych łapach, wpatruje się płonącymi oczyma w ciemności na przedzie. Indianin obrócił się ku nim z przekleństwem na ustach i zastygł w pół ruchu. Ojciec Roland przestał niemal oddychać. Wtem czołowy husky kucnął na zadzie i wznosząc ku niebu bury pysk zawył pośępnie. Dawid wzdrygnął się mimo woli. Mukoki, zataczając się jak pijany, poczłapał ku nim z powrotem przez śnieg.

— Nipoo-win Ooyoo! — rzekł dygocąc.

Zdawało się przez chwilę, że misjonarz go nie dosłyszał. Raptem krzyknął:

— Zdziel je batem! Muszą iść naprzód!

Indianin odwrócił się, rozwijając długi rzemień bicia.

— Nipoo-win Ooyoo! — bąknął znowu.

Bat trzasnął ponad grzbietami psów, przy czym sam jego koniec zawadził o czołowego husky, wodza zaprzęgu. Zwierz warknął groźnie, pokazał kły i szarpnął sanie ku przodowi, reszta sfory posłusznie pociągnęła za nim. Mukoki biegł jak zwykle pierwszy, torując drogę.

— Co on mówił? — zapytał Dawid.

W mroku, szczelnie kryjącym rysy twarzy, misjonarz rozłożył ręce bezradnie.

— On jest bardzo przesądny. Twierdził teraz, że Stary Bóbr czuje śmierć w powietrzu..

Mimo ciemności Dawid wyczuł, że misjonarz się wzdryga. W milczeniu zrobili jeszcze około stu jardów. Mukoki zatrzymał psy. Sfora skomliła głucho, bez przerwy.

Ojciec Roland wskazał ciemną plamę oddaloną o pięćdziesiąt kroków. Powiedział:

--- To chata Tawisha. Chodźmy, zobaczmy.

Mukoki został przy psach. Chata coraz bliższa, rysowała się wyraźniej, ciemna i jak gdyby obumarła. Sprawiała istotnie wrażenie złowieszcze. Dawid przypomniał sobie wszystko, co słyszał o Tawishu. Serce kołatało w nim nerwowo. Bał się po prostu.

Usłyszawszy głos ojca Rolanda wzdrygnął się mimo woli.

--- Tawish! Tawish! - wołał misjonarz. Stojąc przy samych drzwiach nie słyszeli jednak żadnej odpowiedzi. Ojciec Roland tupnął nogą i trzewikiem spróbował gruntu.— Niech pan spojrzy— powiedział--- śnieg jest świeżo zmieciony. Co za wariat z tego Mukokiego. Nastraszył mnie prawie.

W głosie jego brzmiała wyraźna ulga. Drzwi chaty były zamknięte tylko na klamkę, pchnął je więc i otworzył szeroko. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność, lecz w twarze przybyszów uderzył prąd ciepłego powietrza. Misjonarz roześmiał się.

--- Tawish! Tawish! Cóż to, zasnęłeś tak mocno? --- wołał.

Odpowiedziało mu milczenie. Ojciec Roland wszedł do izby.

— Oddalił się chyba przed chwilą dopiero. W piecu jeszcze płonie ogień. Rozgościmy się, zanim wróci.

Poszperawszy w kieszeni wyjął zapalnik, potarł drewnienko i przytknął płomyk do lampy wiszącej u sufitu. Przy świetle twarz jego zdradziła znów pewien niepokój. Ręka trzymająca zapalnik drżała.

--- Dziwne, bardzo dziwne--- bąkał pod nosem. --- Pójdę, zawołam Mukokiego. Boi się stary. Jest pełen zabobonów. Wierzy, że Tawish zawarł pakt z diabłem, że psy o tym wiedzą i dlatego wyją. Dziwak, co? Ale jednak coś nie jest w porządku.

Wyszedł. Dawid nie ruszał się z miejsca tkwiąc pod samą lampą, rozglądał się po izbie. Oczekiwał prawie, że Tawish wylezie raptem z jakiegoś ciemnego kąta może wygramoli się spośród koców rzuconych na pryczy w głębi? Izba była duża, około dwudziestu stóp w kwadracie. Po chwili Dawid zrozumiał, że jest w niej jedyną żywą istotą, z wyjątkiem małej szarej myszki, odważnie kręcącej się niemal u samych jego stóp.

Lecz potem zobaczył drugą mysz, trzecią, a wokół siebie i nad głową usłyszał chrobot i szelest, jak gdyby wielu drobnych nóżek. Na stole zaszeleścił papier, z pryczy ozwały się piski. Coś musnęło mu łagodnie czubek palców u nogi. Spojrzał w dół: izba roiała się od myszy. Dziesiątki popielatych stworzonek krążyło wokoło bez cienia trwogi, raczej nawet wyczekująco. Dawid nie ruszył się ani na cal, zanim ojciec Roland nie wrócił do izby. Wtenczas wskazał podłogę.

— Roi się tu od nich! — rzekł ze wstrętem.

Ojciec Roland zdawał się być w doskonałym humorze; zdjęwszy rękawice, zatarł ręce nad piecem.

— Ulubienice Tawisha — wyjaśniał ze śmiechem. — Twierdził zawsze, że dotrzymają mu kompanii. Nieraz cały tuzin siedział mu naraz na plecach. Dziwak! Zatarł dłonie, aż zachręściła twarda skóra. Wtem otwierając drzwiczki zajrzał do pieca.

— Nie minęła nawet godzina, jak dokładał do pieca. Ciekawe, gdzie się włóczy o tej porze? Psy także zabrał — rozejrzał się po stole.

--- Kolacji nie przyrządzał. Patelnie i garczki puste. Myszy zgłodniałe. Wróci niezadługo. Ale nie będziemy na niego czekać. Strasznie chce mi się jeść.

Mówił szybko, dokładając polan do ognia; Mukoki począł wnosić bagaże. Wzrok jego był wciąż pełen niepokoju. Wodził oczyma po izbie wyczekująco. Wychodził i wracał bezszelestnie w obawie, że kroki mogą kogoś zbudzić, przy czym najwyraźniej bał się myszy. Gdy siedli już do kolacji, jedna myszka wbiegła mu na ramię, zrzuciła ją na ziemię ze wstrętem i wyszeptał wzdrygając się:

— Muche Munito!

Szybko połknął resztę jedzenia, wziął swoje dery i wyrzekłszy w narzeczu Kri parę słów pod adresem misjonarza, spieszenie opuścił chatę.

— Twierdzi, że to nie są myszy, tylko małe diabełki — powiedział misjonarz, patrząc za nim w zadumie. — Woli spać na dworze z psami. Ciekawe, ile w tym przesądów, a ile intuicji? Mukoki wierzy, że Tawisha prześladowają złe duchy pod postacią myszy. Phi, to naprawdę sprytnie bestyjki. Tawish nauczył je różnych sztuk. Niech pan spojrzysz, jak mi jedzą z ręki!

Zwierzątka gramoliły się już z pół tuzina razy na ramiona Dawida. Jedna skreśliła mu się na karku w puszystą, ciepłą kulkę, czekając cierpliwie. Były bardzo towarzyskie. Po prostu przyjazne, jak twierdził misjonarz. Co dziwnego, że Tawish przygarnął je w swej wielkiej samotności? Dawid karmił stworzonka, pozwalał im brać pokarm z ręki lecz wciąż nie mógł się pozbyć przykrego wrażenia. Skończywszy ostatnią filiżankę kawy, misjonarz pokruszył spory kawał chleba i rzucił kruszyny na podłogę przy piecu. Myszy zgromadziły się natychmiast wkoło milczące i zgłodniałe. Dawid usiłował je policzyć. Musiało ich być około dwudziestki. Z przyjemnością zebrały je wszystkie w jakieś naczynie, w wiadro na przykład, i cisnął na dwór. Najedzone myszy uspokoiły się, większość rozbiegła się po kątach i znikła.

Dawid i misjonarz siedzieli jeszcze czas dłuższy, kurząc fajki i wyczekując powrotu Tawisha. Ojciec Roland był nieco zdziwiony, lecz <sup>A</sup>nie spokojny. Zdziwiony, ponieważ rakiety śnieżne Tawisha na kołku wbitym w ścianę, a jego fuzja na zwykłym miejscu nad łóżkiem.

--- Nie wiedziałem — mówił — że Tawish posiada drugą parę rakiet! Zresztą nie spotykaliśmy się już od bardzo dawna, od kilku tygodni. Odjechałem przy listopadowej ponowię. Nie oddalił się teraz zbyt, gdyż w przeciwnym razie wziąłby ze sobą fuzję. Zapewne zakłada świeże trutki po minionej zamieci.

Na zewnątrz ozwał się wiatr. Pojawiał się często, nadlatując z północo-zachodu. Coś stuknęło miękko o ścianę, jakby do chaty dobijał się zwierz duży i ciężki, o łapach porośłych gęstym futrem.

— Tawish wiesza tam swoje mięso — wyjaśnił ojciec Roland, widząc kierunek wejrzenia Dawida. — Udziec łosi albo, jeśli miał szczęście w łowach, udziec karibu. Zupełnie o tym zapomniałem. mogliśmy przecie skorzystać z jego spizarni i nie uszczuplić naszych zapasów!

Rozstawionymi palcami przesunął po gęstych, siwiejących włosach, aż stanęły sztorcem niby szczotka.

Dawid usiłował ukryć zdenerwowanie. Za każdym nowym dźwiękiem pewien był, że to słyhać kroki Tawisha. Ustalił już sobie dokładnie, co pocznie. Gdy Tawish wejdzie, nastąpią oczywiście powitania i co najmniej półgodzinna gawędka przy fajce i ognisku, zanim, być może, ojciec Roland wspomni o strudze Firepan. Wtenczas pokaże Tawishowi fotografię, trzymając ją w pełnym świetle, by nic zginął żaden szczegół.

Zauważywszy, że szkło lampy jest zakopcone i pełne kurzu, zdjął je i wyczyścił starannie ku wesołemu zdziwieniu misjonarza. Od razu zrobiło się jaśniej. Począł się teraz wałęsać po chacie, dla zabicia czasu zaglądając do wszystkich kątów. Nie znalazł jednak nic ciekawego. Obok pryczy stał mały zniszczony kuferek, ściągnięty stalowymi taśmami. Zastanowił się chwilę: czy jest zamknięty na klucz i co zawiera?

Tkwiąc obok łóżka słyszał wciąż wyraźnie, jak o zewnętrzną ścianę chaty uderza ten sam miękki, ciężki przedmiot — udziec karibu lub łosia - jak gdyby ktoś przesyłał sygnały systemem Morse'a. Machinalnie dał krok w prawo i od razu przeszył powietrze rozpaczliwy pisk, a pod nogą rozplaszczyl mu się jakiś żywy drgający kształt. Odskoczył gwałtownie, jakby nadepnął zmiję. Krzyknął mimo woli pełen wstrętu, choć była to tylko mysz.

— A do diabła! — rzekł z pasją.

Ojciec Roland nasłuchiwał głuchych, miarowych uderzeń o ścianę chaty. Słysząc je było teraz wyraźniej, jak gdyby słały protest po śmierci myszy.

— Tawish powiesił swoje mięso zbyt nisko — zauważył ojciec Roland. — A może to tylko bardzo duży kawał.

Z wolna począł ściągać ubranie.

— Możemy iść spać. Gdy Tawish wróci, psy podniosą taki gwałt, że się zaraz obudzimy. Niech pan wyrzuci dery Tawisha i położy na pryczy swoje. Osobiście wolę podłogę. Zawsze lubiłem leżeć na podłodze. Uważani, że to jest najwygodniejsze.

Przerwał mu skrzyp otwierających się drzwi. Mukoki, nie wchodząc, wsunął tylko do środka głowę i ramiona. Oczy biegały mu niespokojnie. Gestykulując jedną chudą, brunatną ręką mówił coś szybko w rodzimym narzeczu. Twarz ojca Rolanda spochmurniała, zarysował się na niej wyraźny niepokój. Przerwał, rzucając parę słów, gdy zaś skończył, Mukoki wycofał się wolno, świecąc oczyma jak w gorączce.

— Niech go nie znam — powiedział ojciec Roland wruszając ramionami z obrzydzeniem. — Psy się niepokoją, a ten dziwak twierdzi, że to dlatego, iż czują śmierć. Podobno siedzą wszystkie patrząc w przestrzeń i skomlą jak szczenięta. Wybiera się z nimi na nocleg na drugą stronę pagórka. Jeśli to ma mu ulżyć, to niech sobie idzie!

— Słyszałem jednak, że psy naprawdę czują śmierć z daleka — wtrącił Dawid.

— Oczywiście. Każde północne psy, a tym bardziej moje. Tyle razy przecie stykały się ze śmiercią. Nieraz dwadzieścia razy w ciągu zimy, a bywa że i częściej, pomagam grzebać umarłych. Towarzyszą mi zawsze i wietrzą trupa na odległość. Ale w tym wypadku to wyraźny absurd. Tu nie ma nic martwego prócz myszy, którą pan rozduśił i tej ćwierci łosia czy karibu za ścianą.

Otrząsnął się z obrzydzeniem, burknął coś sam do siebie i znów przemówił głośno:

— Co prawda psy zawsze zachowywały się dziwacznie w obecności Tawisha — ściszył głos. — Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak jest niewątpliwie. Instynkt zapewne. Ten człowiek działa im na nerwy. Szczególny z niego typ. Niechby już wrócił. Chciałbym, żeby go pan poznał.

Dowiódł zresztą, iż jest zupełnie spokojny o los przyjaciela, gdyż ledwo owinąwszy się w koce zapadł w głęboki sen. Od początku podróży Dawid z podziwem i zazdrością obserwował tę niezwykle zdolność wykorzystywania

każdej chwili dla prawdziwego wypoczynku. Dziś jednakże głęboki i miarowy oddech misjonarza był dla niego źródłem irytacji. Wolałby, żeby ojciec Roland czuwał. Chciał go mieć zupełnie przytomnym, gdy Tawish nadejdzie.

Sam nie mógłby usnąć za żadne skarby świata. Nabił fajkę, po raz trzeci czy czwarty tego wieczoru, i siedząc na brzegu pryczy wyczekiwał nadejścia gospodarza. Był zupełnie pewien, że Tawish pojawi się prędzej czy później. Należało tylko uzbroić się w cierpliwość.

Rosła w nim niechęć do Tawisha, granicząca chwilami z pasją. Przez mózg przepływały wizje tego, co Tawish uczynił lub mógł uczynić. Podejrzewał, że ów samotnik jest zbrodniarzem. Zresztą niedługo zyska pewność zupełną. I jeśli się okaże, że ma rację!...

Patrzył na ojca Rolanda mocno zwierając pięści. Po chwili, nie spuszczać oczu ze śpiącej postaci, sięgnął do kieszeni kurtki rzuconej na pryczę i wyjął fotografię dziewczyny. Obserwował ją czas dłuższy, przy czym twarz mu łagodniała.

— Nie, to być nie może — szepnął sam do siebie. — Ona żyje! Bam! Bam! Bam! — pukało na zewnątrz.

Wiatr ustał na chwilę i w ciszy zupełnej Dawid ścisnął fotografię w palcach. Kołatanie za ścianą ozwało się ze zdwojoną siłą. Bam! Bam! Bam!

Schował obrazek do kieszeni i wstał. Machinalnie nałożył kurtkę. Podeszedł do drzwi otworzył je i wyszedł. Księżyc wisiał nad sarną głową jak biała tarcza. Niebo gorzało od gwiazd. Wzrok sięgał aż do stóp wzgórza, poza którym nocował Mukoki; polana przed chatą srebrzyła się migotliwie. Jeśli Tawish zmylił drogę w mroku wieczornym, to obecnie nic nie przeszkadzało mu wrócić.

Dawid skręcił za węgiel i rozejrzył się. Zupełnie wyraźnie widział mięso, duży kawał wiszący na długiej żerdzi pionowo wystającej z dachu. Padał na nie cień, wiatr kołysał nim to w lewo, to w prawo i uderzał o ścianę. Bam! Bam! Bam!

Dawid zbliżył się patrząc w kierunku boru, skąd, jak mu się zdawało, dobiegł właśnie daleki skrzyp płóz. Tawish wraca! Słuchał parę sekund plecami zwrócony do chaty. Nie widząc nic określonego, odwrócił się. Znajdował się teraz tuż obok żerdzi i wiszącego na niej ciężaru. Przedmiot kolebał się to tu, to tam. Księżyc świecił nań wprost. Boże! Twarz! Ludzka twarz! Brodata, o wytrzeszczonych oczach, otwartych ustach, skrzywionych w śmiertelnym grymasie. Nogi wisielca kołatały o ścianę: bam, bam, bam!...

Dawid cofnął się z krzykiem. Zataczając się pośpieszył do drzwi, z trudem odszukał klamkę, wpadł do środka jak pijany. Głos dygotał mu przerażeniem. Misjonarz zbudził się, siedział teraz na łóżku i patrzył.

— Tawish! — wołał Dawid łamiącym się głosem. — Tawish nie żyje!

I dłonią wskazywał w głąb chaty, gdzie o zewnętrzzną ścianę kołatało ciało wisielca: bam! bam! bam!

## **12. Za Tawisha nie wolno się modlić!**

**D**awid zrozumiał dopiero później, jak głęboko musiała ugodzić ojca Rolanda wieść o śmierci Tawisha. Przez parę sekund misjonarz nie ruszał się wcale. Niewątpliwie usłyszał złą nowinę, a jednak siedział na ziemi tępo patrząc przed siebie, kurczowo trzymając się rękami kołdry.

Dawid pomyślał, iż należy widać dodać jakiś komentarz.

— Tawish nie żyje! — powtórzył chrapliwie, z trudem przezwyciężając skurcz gardła. — Wisi tam, na zewnątrz, martwy!

Słowo „martwy” podkreślił głosem i ruchem, lecz ojciec Roland milczał nadal. Machinalnie wdziewał natomiast odzież, przy czym twarz miał zupełnie szarą, oczy ani przerażone, ani zdziwione, tylko dziwnie tępe. Bez słowa zbliżył się do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Potem wyszedł. Dawid podążył w ślad za nim, po chwili stanęli obaj obok wisielca. Księżyc oświetlał go wciąż jaskrawie. Wyglądał potwornie i groteskowo zarazem; niemiło było nań patrzeć i trudno zapomnieć. Tawish skonał niełatwo; kolebiąc

się na linie, zdawał się krzyczyć światu o swej męce. Zęby błyskały mu spod uchylonych warg. Ręce miał wbite w pierś i zaciśnięte kurczowo. Nie rozprężył się po śmierci, tylko przeciwnie — skurczył.

Ojciec Roland przemówił dopiero po upływie dobrej minuty. Sądząc z głosu, zdołał już opanować nerwy. Lecz z jego pierwszych słów, jakkolwiek zupełnie spokojnych, wiała potworna groza.

— Nareszcie... zmusiła go do tego!...

Mówił jak gdyby sam do siebie, nie spuszczać oczu z twarzy Tawisha. Dawida przeszył dreszcz. Ona! Chciał zapytać o wszystko, czego nie wie, chciał się dowiedzieć całej reszty, lecz misjonarz ujął właśnie wisielca w pól, mówiąc:

— Jest jeszcze ciepły. Skonał bardzo niedawno. Powiesił się może / pół godziny przedtem, zanim trafiliśmy do chaty. Niech pan mi pomoże, panie Dawidzie!

Dawid potrzebował ogromnego wysiłku, by wziąć się w karby. To przecie tylko zwykły wisielec — myślał — a jednak ręce miał zimne i sztywne jak z lodu. Gdy chwycił ciało, misjonarz błysnął nożem ponad głową Tawisha. Potem ułożyli zwłoki na śniegu i Dawid skoczył do izby po derkę. Misjonarz owinął trupa starannie, by mu nie przymarzał do ziemi. Wrócili obaj do chaty. Ojciec Roland rozpalil na nowo ogień w piecyku i wtenczas dopiero zwrócił uwagę na śmiertelną bladość twarzy towarzysza.

Wstrząsnęło to panem? — spytał. — Brr, nie dziwię się. Ja, choć nie mówiłem o tym nigdy, spodziewałem się od dawna czegoś podobnego. Dzisiejszej nocy, gdy Mukoki plótł o śmierci, a psy wietrzyły ją wyraźnie, bałem się o Tawisha. Rozpalony ogień w piecu trochę mnie uspokoił. Myślałem, że Tawish wróci i że zabrał z sobą psy. A on je po prostu spuścił z uwięzi, zanim skończył z sobą. Okropne. Ale, kto wie, może sprawiedliwe. Sprawiedliwość boska kroczy nieraz dziwnymi drogami.

— Co ojciec ma właściwie na myśli? — spytał Dawid, walcząc znów z dziwnym skurczem gardła. — Ja muszę wiedzieć. Jak ojciec sądzi, dlaczego on to zrobił?

Dłonią przyciskał kurtkę na piersi, wyczuwając palcami twarde kształt fotografii. Pragnął wyciągnąć ją z kieszeni i spytać misjonarza, czy to ta twarzyczka dziewczęca prześladowała Tawisha aż do wrót śmierci?

Po prostu strach doprowadził go wreszcie do samobójstwa—powiedział ojciec Roland wolno i wyraźnie ważąc słowa. — Myślę, że musiał kogoś bardzo skrzywdzić i prześladowały go potem wyrzuty sumienia. Szkoda, że nie chciał się przede mną zwierzyć, byłbym mu może dopomógł.

— Albo by go ojciec ukarał! — wyszeptał Dawid.

— Nie moją rzeczą jest karać. Gdyby się do mnie zwrócił, prosząc o ratunek dla siebie i o przebaczenie boskie, nie odmówiłbym mu nigdy.

Na nowo wciągnął futrzaną kurtkę.

— Idę zawołać Mukokiego — rzekł. — Mamy robotę i równie dobrze można ją wykonać przy świetle księżycy. Pan nie czuje zapewne chęci snu?

Dawid przecząco ruszył głową. Był już spokojniejszy. Skoro drzwi zamknęły się za ojcem Rolandem, doszedł do wniosku, że właściwie nie ma powodu współczuć nędznemu samobójcy. Natomiast doznał przygnębiającego rozczarowania. Tawish umarł, a umierając zabrał ze sobą do grobu tajemnicę, za rozwikłanie której Dawid

zapłaciłby obecnie wszystkim, co posiadał. W rozpaczy, tkwiąc pośrodku izby, bełkotał coś pod nosem. Chętnie wrzasnąłby głośno, że Tawish go oszukał. Płonęła w nim wściekłość; zaciskając pięści obrócił się ku drzwiom, jak gdyby z zamiarem wyjścia na zewnątrz i wydobycia przemocą z gardła trupa tego, co chciał wiedzieć.

Ochłódł jednak. Pomyślał, że Tawish z pewnością nie mógł odejść, nie pozostawiwszy po sobie jakichkolwiek śladów. Może napisał zeznanie? Może list do ojca Rolanda? Wiedział przecie, że misjonarz, wracając na Daleką Północ, zawadzi o jego chatę. Niewątpliwie podzielił się z nim swoją tragedią.

Zaczął się rozglądać po chacie, zrazu dość nerwowo, był bowiem pewien, że jeśli list w ogóle istnieje, to musi leżeć w widocznym miejscu. Może na ławie? A może przypięty nad pryczą czy na drzwiach? Mogli go nie zauważyć. Mogli go niebacznie strącić na podłogę. Dawid wyjął lampę z metalowej osłony i szukał, szperał po ciemnych kątach, zdejmował ubrania wiszące na kołkach. Nie znalazł nic. Raz jeszcze Tawish wywiódł go w pole. Zatrzymał wreszcie oczy na kuferku. Umieściwszy lampę na ławie spróbował unieść wieko. Nie było zamknięte na klucz. W tej chwili usłyszał na zewnątrz głosy; ojciec Roland wracał z Mukokim.

Dawid na klęczkach przerzucał zawartość kuferka. Był wypełniony wszelkiego rodzaju dobytkiem, przeważnie jednak rupieciami bez wartości: strzępami rzemieni, zardzewiałym żelastwem, skrawkami skóry i materiału.

Rozczarowany wstawał właśnie, gdy drzwi się otwarły i weszli Mukoki i misjonarz.

— Nie znalazłem nic ciekawego! — rzekł Dawid, ogarniając pokój ruchem ręki. — Żadnej kartki, żadnego listu!

Ojciec Roland stał w otwartych drzwiach.

— Mukoki pomoże panu szukać. Niech pan jeszcze przejrzy odzież na ścianach. Z pewnością coś się znajdzie.

Wyszedł znów zamykając drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, chcąc mieć pewność, że Dawid nie idzie za nim. Pośpieszył potem do ciała Tawisha i odrzucił derę. Trup wyglądał okropnie z wytrzeszczonymi, szklistymi oczyma i wykrzywioną twarzą, przy czym blask księżyca kładł się na wyszczerzonych zębach. Misjonarz wzdrygnął się.

— Nie wiem, dlaczego to uczyniłeś — szepnął, jak gdyby dzieląc się myślami z Tawishem. — Ale jestem pewien, że nie umarłeś bez udzielenia mi wyjaśnień. Rozwiązanie zagadki znajduje się z pewnością u twojej kieszeni.

Zerknął ku chacie, po czym nachylił się nad zmarłym, przykląkł na jedno kolano i odwracając oczy począł przeszukiwać kieszenie futrzanej kurty. W kieszeni na piersi znalazł papiery: grubą paczkę zwiniętych arkuszy. Były związane na krzyż cienkim rzemykiem; przy księżycu a wyraźnie przeczytał słowa:

„Dla Ojca Rolanda, nad Jeziorem Bożym. Do rąk własnych”.

Tawish najwidoczniej nie popełnił samobójstwa pod wpływem nagłego impulsu, lecz ułożył i obmyślił wszystko zawczasu.

Misjonarz ukrył papiery we własnej kieszeni, trupa zaś ponownie przysłonił derą. Wiedział, gdzie Tawish trzyma swoje narzędzia — w małym składziku za chatą — toteż przyniósł kilof i łopatę i wrócił do izby.

— Przejrzałem jego odzież — powiedział misjonarz, czyniąc taki gest, jak gdyby i jego staranie nie odniosło również żadnego rezultatu.

— Można go już pochować. Płytki grób, tuż obok miejsca, gdzie leży ciało. Położyłem tam już kilof i łopatę. Panie Dawidzie, czy nie zechciałby pan pomóc w pracy Mukokiemu? Wolałbym zostać chwilę sam. Pan rozumie, są pewne rzeczy...

— Rozumiem doskonale.

Po raz pierwszy od wielu dni Dawid uprzytomnił sobie wyraźnie, że ojciec Roland jest przede wszystkim sługą bożym; zazwyczaj widział w nim po prostu człowieka pełnego dobrego humoru i energii życiowej. Teraz misjonarz pragnął zostać sam, zapewne aby się modlić, błagać o łaskę dla duszy grzesznika i torować mu drogę w nieznaną. Rozbijając kilofem ziemię zmarzniętą na kamień, Dawid usiłował myśleć o Tawishu z pobłażaniem, nie zaś z nienawiścią.

W chacie ojciec Roland czekał poty, aż usłyszał kucie kilofa i szcęk łopaty. Wtenczas dopiero, zamknąwszy drzwi na zasuwę, usiadł przy stole, przysunął sobie lampę i wziął paczkę do ręki. Za pomocą noża przeciął rzemyk i rozwinąwszy papier zaczął czytać. Myszy Tawisha, zdziwione ciszą

niepowszednią, niespokojne być może wobec przedłużającej się nieobecności pana, wyroiły się cichaczem z ciemnych kątów na środek izby.

Ziemia pod śniegiem była zniechęcająco twarda. Dawid miał wrażenie, że odłupuje z trudem okruchy kamienia z jednolitego skalnego bloku, toteż wkrótce wręczył kilof Mukokiemu. Pracowali kolejno już z godzinę i Dawid dziwił się, dlaczego ojciec Roland tak długo siedzi w chacie. Wreszcie znaczącym ruchem ramion Indianin dał do zrozumienia, że grób jest już gotów. Mogiła wydała się Dawidowi bardzo płytka, chciał już nawet protestować, lecz przyszło mu na myśl, że Mukoki nie po raz pierwszy spełnia funkcję grabarza, więc chyba wie, jak wyglądać powinna mogiła tutaj.

Dlaczego właściwie przysypuje się człowieka sześciu stopami ziemi, zamiast przykryć go tylko trzystopową warstwą, bardziej przenikliwą dla światła i ciepła promieni słonecznych? Dawid zadumał się właśnie nad tym problemem, spoglądając po raz ostatni na Tawisha. Wtem usłyszał dziwne mruknięcie Mukokiego, ni to ze strachu, ni to z bólu. Obrócił się i wytrzeszczył oczy.

Ojciec Roland stało parę kroków, a na jego widok Dawid omal nie krzyknął. Misjonarz zataczał się niby człowiek ciężko chory, więc obaj, Dawid i Indianin, podbiegli doń z pomocą. Zatrzymał ich ruchem wyciągniętej dłoni. Twarz miał upiorną, równie straszną jak twarz wisielca. Chciał coś powiedzieć i nie mógł. Wreszcie rzekł głosem dziwnie bezbarwnym:

— Pochowajcie go. Modlitwy nie będzie.

Odwrócił się, idąc wolno w kierunku boru. Gdy szedł, Dawid zauważył, iż zatacza się jak pijany, pozostawiając na śniegu zygzakowaty ślad.

### 13. W domu

Mimo że ojciec Roland znikł już w lesie, Dawid i Mukoki tkwili jeszcze chwilę bez ruchu. Zdziwieni wyrazem twarzy misjonarza, oszołomieni niezwykłym brzmieniem

jego głosu, oczekiwali, że lada moment wynurzy się znów z lasu. Ostatnie słowa zaskoczyły ich po prostu: „Modlitwy nie będzie!” Dlaczego? Pytanie to tkwiło w wąskich, skośnych oczach Mukokiego i wyrwało się niemal z ust Dawida. Nie będzie modlitwy za Tawisha! Dawid zadygotał. Indianin wybuchnął naraz śmiechem, jak gdyby zrozumiał wreszcie te słowa. Palcem wskazał zwłoki.

— Z Tawisha prawdziwy diabeł — rzekł. — Dlatego też mon pere nie będzie się za niego modlił! Mówilem! Mówilem! Diabeł, nic innego!

Przyskoczył do trupa, szybkim, mściwym ruchem chwycił go za nogę i ku obrzydzeniu Dawida szorstko zepchnął do grobu. — Diabeł! powtórzył, raz jeszcze, po czym gwałtownie, jak szalony, zaczął przywalać zwłoki zmarłą ziemią.

Dawid odwrócił się, tak mu się wydał okropnym stuk padającego ciała i łomot grud ziemi spadającej na obróconą ku górze twarz. Strach ścigał go aż do chaty. Dorzuciwszy drzewa do ognia siadł i czekał powrotu ojca Rolanda. Czekał długo. Mukoki, skończywszy zasypywać grób, oddalił się. Myszy wyjrzały znów ze szpar i poczęły harcować po izbie. Minęła godzina, nim usłyszał dźwięk u drzwi: drapanie pazurów o drzewo, a nawet niski, głuchy skowyt. Otworzył. Bari stał w progu. Pies dostał w południe dwie ryby, zatem z pewnością nie głód przygnał go do chaty. Raczej wyczuł instynktownie, że Dawid jest sam i zatęsknił do obecności przyjaciela. Tkwił w blasku księżycy na rozkraczonych sztywnych nogach, a tęsknota błyszczała wyraźnie w jego jedynym oku.

Dawid wyciągnął dłoń zamierzając zwabić wilczura do izby, gdy usłyszał chrzęst kroków na śniegu. Bari znikł momentalnie jak cień. Dawid ani się spostrzegł, gdy zobaczył przed sobą ojca Rolanda. Milcząc cofnął się do chaty. Misjonarz uśmiechnął się. Do pewnego stopnia odzyskał panowanie nad sobą. Zrzuciwszy rękawice zatarł ręce nad ogniem, usiłując uczynić to z dawną wesołością. Coś się w nim jednak załamało; wychodziło na jaw coś, co chciał za wszelką cenę zatrzymać w tajemnicy. W oczach widziało się gorączkę; ramiona mu obwisły. Zacierając ręce i uśmiechając się dygotał raz po raz.

— Zabawne doprawdy, jak się nim przejąłem — rzekł w formie tłumaczenia. — Nie do uwierzenia, taka słabość. Tylekroć przecie oglądałem śmierć z bliska. A jednak jestem po prostu wstrząśnięty. Chciałbym się stąd oddalić możliwie jak najszybciej. Mukoki powinien zaraz wrócić z psami. Mukoki twierdzi, że Tawish był diabłem. Kto wie, może się nawet tak bardzo nie myli. W każdym razie był to dziwaczny typ. Ach, zapomnieć tę noc jak najprędzej. Niemile się zaczęła pańska podróż na Daleką Północ.

Zakręcił się po izbie i dodał, jakby sobie przypomniał rzecz wielkiej wagi:

— Zanim odejdziemy, klęknię u jego grobu.

— Gdybyż on zaczekał — powiedział Dawid na poły bezmyślnie. — Gdybyż zaczekał tylko do jutra. Jeden dzień...

— Tak. Gdyby tylko zaczekał.

Oczy misjonarza zwięzły się. Pochylił głowę, kryjąc twarz w tym ruchu, lecz do uszu Dawida dobiegł zgrzyt, jak gdyby zaciskanych mocno zębów.

— Gdyby tylko poczekał — powtórzył ojciec Roland w ślad za Dawidem. — Gdyby poczekał jeden dzień! — I jego ręce rozpostarte nad piecem zacisnęły się wolno, silnie, jakby chciały złapać kogoś za szyję.

— Mam przyjaciół w tych stronach, które zamieszkiwał Tawish — powiedział Dawid. — Myślałem, że się cokolwiek o nich dowiem. Musiał ich znać albo przynajmniej słyszeć o nich.

— Niewątpliwie — przyświadczył misjonarz, stojąc wciąż z pochyloną głową i prostując teraz palce równie wolno, jak wolno zaciskał je przedtem. — Tylko że on już nie żyje.

Głos zabrzmiał mu twardo, znacząco. Podnosząc głowę spojrział na Dawida.

— Zmarły i pochowany. Nawet zgadnąć trudno, co miał nam do

powiedzenia. Nie wiem, czy panu już mówiłem, że należę do kościoła anglikańskiego, jednakże w tej włości po puszczy zatraciłem bliższy kontakt z własną religią, co nie znaczy, bym zapomniał o ogólnych zasadach chrześcijańskich. Nie należy szperać w przeszłości zmarłych ani zdradzać tajemnic ludzi żywych! Puśćmy Tawisha w niepamięć.

Słowa te zadźwięczały w sercu Dawida niby dzwon żałobny. Jeśli poprzednio żywił jeszcze nadzieję, że ojciec Roland udzieli mu w sprawie Tawisha jakichś wyjaśnień, teraz musiał się z tą nadzieją pożegnać. Był więc nawet rad, że głos Mukokiego i skomlenie psów za ścianą przerwały rozmowę.

Spakowali pośpiesznie te trochę dobytku, który przywieźli ze sobą i wynieśli toboły na dwór. Dawid poczekał przy saniach, u skraju gęstwy, podczas gdy misjonarz, zgodnie z obietnicą, odwiedził mogiłę samobójcy. Mukoki podążył za misjonarzem, ale gdy ten pochylił się nad grobem, Indianin niby cień prześlizgnął się do chaty, gdzie wciąż płonęło światło. Dawid zauważył, że ojciec Roland kłęczy w śniegu. Mukoki wrócił po chwili i czekali razem.

Ponad mogiłą Tawisha wargi ojca Rolanda poruszyły się w cichym szepcie. Mówił:

—...i dziękuję Bogu, żeś mi tego nie wyznał przed śmiercią. Dziękuję Bogu, bo gdybym wiedział, zabiłbym ciebie!

Gdy misjonarz wrócił, Dawid zauważył, że światło w chacie migoce dziwnie, jakby miało zgasnąć. Włożyli rakiety śnieżne i ruszyli spiesznie przez las.

W pół godziny później zatrzymali się u szczytu nowego pagórka. Indianin obejrzał się i z okrzykiem radości wskazywał coś ręką. W miejscu, gdzie poprzednio stała chata, słup ognia wznosił się powyżej czubów drzew. Mukoki spryskał podłogę naftą Tawisha i rzucił zapaloną zapalniczkę, by ułatwić „małym diabełkom" przedostanie się na inny świat za panem. Teraz gotów był prawie przysiąc, że słyszy z dala ich przerażony pisk.

Nocy tej Mukoki torował szlak wprost na północ, przez biały od księżyca krajobraz, poruszając się chwilami w tempie tak gwałtownym, aż misjonarz, ze względu na Dawida, kazał mu zwolnić. Lecz i Dawid nie myślał o wypoczynku. Nie miał ochoty zatrzymać się, tak długo przynajmniej, jak długo widział drogę przed sobą. Miał wrażenie, że świat wypiękniał jeszcze, a noc pojaśniała, odkąd opuścili posępną dolinkę. Wreszcie księżyc zaczął gasnąć niby lampa, w której zabrakło oliwy, więc ciemność rozpostarła się nad nimi na kształt wielkich czarnych skrzydeł. Rozbili obóz o drugiej nad ranem.

Następnie dzień po dniu dążyli na północ. U schyłku dziesiątego dnia wreszcie, a szóstego po opuszczeniu domostwa Tawisha, Dawid poczuł, że nie jest już intruzem w krainie białej ciszy. Nie zwierzył się jednak ojcu Rolandowi, gdyż sądził, że mówienie czegoś podobnego człowiekowi, który spędził tu niemal całe swoje życie, graniczyłoby z głupotą. Cóż znaczy bowiem dziesięć dni? A jednak owe dziesięć dni tak wielką wywołało w nim zmianę, że mogło się równać

dziesięciu miesiącom czy nawet latom. Siłą i wytrzymałością mógł niemal rywalizować z misjonarzem; zmęźniał i zrabanie byle drzewa nie przyprawiało go już o utratę tchu. Nabrał żarłocznego apetytu. Wzrok mu się poprawił, a ręce przestały drżeć, tak iż posługiwał się nieomylnie zarówno karabinem, jak i rewolwerem. Przy ćwiczeniach bokserskich ojcu Rolandowi było z każdym dniem trudniej dotrzymać mu placu.

— Nie tak mocno, panie Dawidzie — prosił go nieraz, a twarz Mukokiego traciła coraz częściej wyraz radosnej pewności, stając się wyraźnie niespokojną.

Lecz im większa była przewaga Dawida, tym radośniej spoglądał na niego ojciec Roland.

— Mówiłem panu — powtarzał — że Północ pana odrodzi! Mówiłem przecie!

Kiedyś Dawid omal nie dodał, że odrodzenie zewnętrzne postępuje znacznie wolniej niż wewnętrzna regeneracja. Wstydział się jednak o tym mówić. Wolał nie wspominać dawnych dziejów. Lecz wiedział dobrze, że i jego dusza uległa zmianie.

Z zacięciem obserwował ojca Rolanda. Odkąd opuścili chatę Tawisha, misjonarz zwalczał wyraźnie przygnębienie niby zmore. Nieraz wyglądał na ciężko chorego o twarzy raptownie postarzałej. Po każdym ataku depresji misjonarz sprawiał wrażenie człowieka, którego spotkała wielka i niespodziewana radość. W miarę jak dni biegły, okresy przygnębienia trafiały się rzadziej i trwały krócej, aż w końcu misjonarz otrząsnął się z nich zupełnie, po prostu stoczył trudną walkę i wygrał. Oczy mu poweselały. Z twarzy znikła część zmarszczek. Trzymał się prosto jak młodzik.

Dawid usiłował sobie teraz wmówić, że podług wszelkich reguł rozsądku nie należy łączyć Tawisha z dziewczyną, której fotografię nosił nadal w kieszeni kurtki. Udało mu się to częściowo. Usiłował także odgraniczyć fotografię od istoty realnej, lecz w tym wypadku doznał kompletnej porażki. Dziewczyna z fotografii była już teraz dobrą znajomą, kobietą żywą i myślącą. Jej słodka twarzyczka towarzyszyła mu stale. Czerpał z niej nadzieję i otuchę. Którejś nocy prawie głośno powiedział: „mała siostrzyczko!” i potem wydała mu się jeszcze bliższa. W drodze często sięgał bezwiednie do kieszeni na piersi, by się upewnić, że ma ją przy sobie.

Nie potrafiłby z pewnością powierzyć tej tajemnicy żadnemu człowiekowi, natomiast dzielił się swymi myślami z Barim. Pies często wkradał się teraz do obozu, jednakże wtenczas tylko, gdy Mukoki i misjonarz już spali. Przytulony do nóg Dawida leżał bez ruchu, nie zwracając żadnej uwagi na inne psy i nie zamierzając ich bynajmniej niepokoić. Dziesiątej nocy od rozpoczęcia podróży warował u stóp swego pana, wpatrzony weń krwią nabiegłymi ślepiami, drugie oko wygoiło mu się już bowiem. Dawid trzymał w ręku fotografię dziewczyny, pełną życia w migotliwych promieniach ogniska. Oderwawszy od niej wzrok, spojrzał na Bariego i w ślepiach psa wyczytał bezgraniczne uwielbienie. Wiedział, że Bari nigdy go nie opuści. Dziewczyna nie opuści go również, ani on jej.

Pochylając się do wilczura wyszeptał drżącym głosem:

— Któregoś dnia, piesku, pójdziemy ją odnaleźć!

Bari zadygotał pełen zrozumienia i radości. Głos Dawida, zniżony aż do szeptu, zabrzmiał mu w uszach jak pieszczota. Skomląc przysunął się jeszcze o cal do stóp pana.

Tej nocy ojciec Roland zachowywał się niespokojnie. Dawid leżąc wygodnie od paru godzin, owinięty w dery, usłyszał jak misjonarz wstaje, jak się krząta przy ogniu i dorzuca drzewa do gasnącego żaru. W namiocie skrzydło było nieco uchylone, toteż Dawid mógł obserwować wszystko. Dochodziła zapewne północ. Ojciec Roland był ubrany, a przy blasku płomieni Dawid dostrzegł wygląd twarzy, po prostu młodzieńczy. Na razie nie mógł pojąć, co mu przeszkadza spać, aż po chwili usłyszał i zobaczył, jak się nachyla do psów pociągowych szepcząc radośnie:

— Jutro będziemy w domu, pieski, w domu!

Jakże dziwnie brzmiało w uszach Dawida to słowo: „dom”, o trzysta mil na północ od najdalszego krańca cywilizacji.

Tej nocy ojciec Roland nie wrócił już do namiotu. Dawid usnął wkrótce, zbudzono go jednak na śniadanie o trzeciej, po czym wyruszyli w drogę przed świtem. Mimo panujących ciemności Mukoki prowadził zaprzęg z pewnością nieomylną, znajdował się bowiem w okolicy doskonale sobie znanej. Skoro pierwszy brzask zapowiedział bliski wschód słońca, Dawid skłonny był prawie sądzić, że zarówno ludzie, jak i psy dostali lekkiego bzika. Odkąd znajdował się na Dalekiej Północy, po raz pierwszy był świadkiem powrotu do domu i ani mu się śniło, że brunatna twarz Mukokiego potrafi wyrazić tak szaloną radość. Ledwie promień słońca pojawił się ponad borem, Indianin począł coś nucić, cicho na razie, potem coraz głośniejszym, rytmicznie klaszcząc przy tym w dłonie. Po chwili misjonarz także przyłączył się do tego śpiewu. Dawidowi melodia wydała się znajoma, jakkolwiek nie rozumiał ani słowa:

Pa sho ke non ze koon Ta  
ba nin ga. Ah no go suh  
nuh. guk Na ąash kuh  
moon.

— Co to jest? — spytał Dawid, gdy ojciec Roland, uśmiechając się i dysząc głęboko, zrównał się z nim. — Dźwięczy jak chińszczyzna, a jednak...

Misjonarz roześmiał się; Mukoki kończył właśnie drugą strofę.

— Gdy poznałem Mukokiego przed dwudziestu laty, nie chciał śpiewać nic innego prócz indiańskich pieśni przy wtórze tamtamu. Teraz jednak przepada za pieśniami misyjnymi. To właśnie był hymn: „Blżej, o Boże, ku Tobie”!

Mukoki nabrawszy tchu śpiewał znowu.

— To jego ulubiona pieśń — ciągnął ojciec Roland. — Nieraz, zostawszy sam, nuci ją godzinami. Jest zachwycony, gdy się do niego przyłączę. To urywek z „Lodowych Gór Grenlandii”:

Ke w a de noog a yah jig

Kuh ya gewh wah bonn oong. Na razie Dawid miał ochotę śmiać się z dziwacznych pieśni starego Krika, jako też z jego groteskowych ruchów, jednakże chęć ta pierzchła niepostrzeżenie. Przypomniawszy sobie, jak przed wielu laty matka śpiewała te same hymny. Zdawało mu się po prostu, że słyszy ponownie jej słodki, nieco drżący

głos i widzi stary modlitewnik spięty żółtymi klamrami. Jakże to było dawno. Jakże od tej pory się postarzał! Trzydzieści osiem lat. A wtenczas miał dziewięć lub dziesięć: długonogi młodzik, z rozwichrzoną wiecznie czupryną.

Zmierzch już zapadał, zanim dotarli do domu misjonarza nad Jeziorem Bożym. Było to piękne domostwo z masywnych bali jodłowych. W głębi stał również drewniany budynek, ku któremu Mukoki pośpieszył z saniami i zaprzęgiem. Dawid słyszał powitalne okrzyki rodziny Indianina oraz radosne naszczekiwanie psów, podczas gdy sam dążył do głównego domu w ślad za ojcem Rolandem. Było tu jasno i ciepło: najwidoczniej ktoś oczekiwał powrotu gospodarza. Z wielkiej izby wiodło troje drzwi: dwoje otwartych, trzecie zaś zamknięte. Ojciec Roland rozłożył ręce i rzekł głosem bardzo wzruszonym:

— Jesteśmy w domu! Jest pan w domu, panie Dawidzie!

Zrzucił ciężką futrzaną kurtkę, czapę, mokasyny, rozejrzał się wokół siebie i powiedział znów głosem jeszcze silniej drżącym niż poprzednio:

— Proszę mi wybaczyć... Proszę się rozgościć... Muszę zostać na chwilę sam.

Nie czekając odpowiedzi podszedł z wolna do zamkniętych drzwi. W progu wyjął z kieszeni masywny klucz. Otworzył. Wewnątrz było zupełnie ciemno, toteż Dawid nic nie zobaczył. Dobrą chwilę siedział bez ruchu, patrząc na te drzwi jak urzeczoną. Były znów na głucho zamknięte, co mogło się znajdować za nimi? Co ojciec Roland tam robi? Raz, zdawało mu się, że ułowił cichy jęk. Wtem, na razie ledwo dosłyszalne niby szmer wiatru, potem coraz głośniejsze i wyraźniejsze, dobiegły go dźwięki muzyki. W tajemniczym pokoju ktoś grał na skrzypcach.

## 14. Tajemnica ojca Rolanda

ciągu najbliższych paru tygodni ten pokój i jego zawartość nabrały zdaniem Dawida większej jeszcze tajemniczości. Zrozumiał, że tam należy szukać klucza do dziwnej egzystencji misjonarza, do jakiegoś zdarzenia zazdrośnie ukrywanego przed światem, o którym jeden chyba tylko Mukoki miał jakie takie pojęcie. Gdy Dawid spróbował wy badać go na ten temat, Indianin odpowiedział wolno i z namysłem, jakby recytował dobrze wyuczoną lekcję.

— Nikt nigdy nie wchodzi do tego pokoju, proszę pana. I nikt nigdy nie widział skrzypiec, na których gra mon pere.

Misjonarz odwiedzał nadal tajemniczą izbę, lecz nigdy już nie usprawiedliwiał swej nieobecności, ani nie tłumaczył, czemu nosi zawsze klucz przy sobie. Znikał co wieczór, uchylając drzwi tylko tyle, by móc się przez nie przecisnąć. Czasem bawił tylko chwilę, czasem bardzo długo. Zawsze grał na skrzypcach, powracając stale do tej samej melodii. Czynił wyjątek wówczas tylko, gdy w domu bawił ktoś z okolicznych traperów. Nikt prócz Dawida i Mukokiego nie słyszał dźwięku skrzypiec.

Pewnego wieczoru ojciec Roland wyszedłszy z izby zamknął jak zwykle drzwi za sobą, po czym oparł dłonie na ramionach Dawida i rzekł z dziwną tęsknotą w głosie:

— Tak bym chciał zatrzymać pana na zawsze przy sobie, panie Dawidzie. Odmłodziłem i poweselałem, odkąd mam syna.

Lecz w duszy Dawida z każdym dniem wzrastał dziwny niepokój, tajony zresztą starannie przed oczyma misjonarza. Krew mu się burzyła, ilekroć spoglądał na fotografię dziewczyny. Marzył wyłącznie o tym, by iść jej szukać.

Pędził jednak życie barwne i urozmaicone. Dwór ojca Rolanda stał w samym sercu rejonów myśliwskich. O czterdzieści mil na północ leżała faktoria Kompanii Zatoki Hudsona, którą zamieszkiwał inny misjonarz. Ojciec Roland opiekował się wyłącznie ludem leśnym. Były to jego dzieci, rozproszone w szałasach i wigwamach na tysiącmilowej przestrzeni. Odwiedzał je kolejno. Dawid zaś towarzyszył mu stale. Indianie uwielbiali go po prostu, a Metysi i z rzadka spotykani biali mówili o nim *mon pere*, takim samym niemal tonem, jakim w pacierzu wymawiali „Ojcze nasz”...

Półdżicy traperzy stanowili dla Dawida swego rodzaju rewelację. Wiedli nader prymitywną egzystencję, a jednak wprowadzali go w podziw surową pobożnością. Marli przy tym gromadnie. W tym leżał cały dramat. Po pewnym czasie zrozumiał, dlaczego obszar dziesięciokrotnie większy od stanu Ohio posiadał niespełna dwadzieścia pięć tysięcy ludności, tyle zaledwie, co średniej wielkości miasto. Wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci, zbyt mocno zaciskali pasa. Zbyt dręczącym był głód w czasie przeraźliwie długich zimowych miesięcy, gdy, dla dogodzenia strojnisiom z odległych miast, łowiono w sidła zwierzęta futerkowe. Głód od jesieni do wiosny.

Dawid widział dorosłych mężczyzn i niewiasty, mrących na odrę równie łatwo, jak muchy po zażyciu trucizny. Indianin Metoosin, zamieszkały sześćdziesiąt kilometrów w głębi puszczy, wrócił przy nich do domu, przynosząc zapasy z pobliskiej faktorii. Metoosin zabrał na sprzedaż futra rysia, kuna i gronostaj wartości rynkowej około tysiąca dolarów. Przyniósł w zamian parę małych puszek z jarzynami po pięćdziesiąt centów puszka, trochę mąki po czterdzieści centów za funt, kawałek perkalu, płacąc za niego jak za najpiękniejszy jedwab, nieco herbaty i tytoniu. Był uszczęśliwiony z zawartej transakcji, choć wszystko to, co otrzymał za półroczny, ciężki trud, przy normalnym odżywianiu mogło wystarczyć dla jego rodziny na tydzień.

— A ponadto są zawsze zadłużeni po faktoriach! — rzekł ojciec Roland, a starcze bruzdy na jego twarzy zaznaczyły się silniej.

Dawid odczuwał jednak coraz wyraźniej urok tego życia, jakże nęcącego mimo trudów i niebezpieczeństw. Metoosin przynosząc z faktorii swój ubogi skarb nie wiedział, że jest w gruncie rzeczy nędzarzem i że od lat przymiera głodem. Czuł się bogaczem! Czuł się wielkim myśliwym! A żona jego, ze swymi długimi lśniącościami kosami, z dużymi ciemnymi oczyma, była niesłychanie dumna z pana i władcy, który przynosi do domu takie wspaniałości: troszkę mąki, troszkę konserw, parę metrów perkalu i skrawek czerwonej wstążki. Wieczorem, przy wspólnej kolacji, jedzenie grzęzło Dawidowi w gardle. A jednak ludzie ci byli szczęśliwi! Czyż nie to było właśnie najważniejsze, mimo że wszyscy gaśli z wolna, sami nie rozumiejąc dlaczego?

Zrozumiawszy te rzeczy, Dawid pojął dopiero cały ogrom pracy ojca Rolanda. To jego państwo liczyło dwustu czterdziestu siedmiu obywateli: mężczyzn, kobiet i

dzieci. W wielkiej księżce figurowały imiona wszystkich, wiek, narodowość oraz dokładne miejsce pobytu. I jakże ci ludzie wielbili swego pasterza. W każdym szałasie czy wigwamie czekał nań jakiś dar; piękne mokasyny, rakiety śnieżne, wyborowy kawałek mięsa, a najczęściej skóry, rzadkie i cenne futra. Lecz nie zdarzyło się nigdy, by misjonarz nie pozostawił czegoś w zamian. Przeważnie była to odzież tak kosztowna w miejscowych warunkach, że żaden Indianin nie mógłby sobie pozwolić na podobny zbytek. Co zimy przynajmniej dwa razy ojciec Roland wysyłał do Thoreau sanie wyładowane darami swoich przyjaciół, gdy zaś Francuz je spieniężył, misjonarz odbierał w zamian stos wszelakich produktów, które rozdzielał natychmiast pomiędzy ubogie rodziny leśnych mieszkańców.

— Gdybym tylko był bogaty! — powiedział ojciec Roland pewnej wietrznej nocy, wyjątkowo spędzanej we własnym domostwie. — Ale nie mam nic. Mogę uczynić zaledwie dziesiątą część tego, co bym uczynić pragnął. Opiekuję się tylko osiemdziesięcioma rodzinami i obliczyłem już sobie, że podług cen normalnych starczyłoby sto dolarów na rodzinę, by im zapewnić dostatni byt przez całą zimę, najsrozsza nawet i najdłuższą. Za sto dolarów kupi się w Winnipeg tyle, ile indiański traper dostanie w faktorii co najmniej za tysiąc, a niech pan weźmie pod uwagę, że rzadko który myśliwy zgromadzi futer więcej niż na pięćset dolarów. Okropne, ale cóż mogę poradzić? Nie śmiem skupywać futer i sprzedawać ich na własny rachunek, gdyż Kompania zawsze zdoła mnie zaszachować i tylko bieda stąd wyniknie. Ach, gdybym miał pieniądze!...

Dawid zastanawiał się już nad tym poprzednio. W styczniu dwoje sań zamiast jednych pośpieszyło do chaty Thoreau. Mukoki kierował ekspedycją wioząc dokładnie połowę pieniędzy, które Dawid miał przy sobie: tysiąc pięćset dolarów w banknotach.

— Jeśli dożyję, sprawię im co roku na Boże Narodzenie prezent dwakroć większy — rzekł Dawid. — Mogę sobie na to pozwolić. Sądzę zresztą, że nieraz odwiedzę ojca. Chociażby dla własnej przyjemności.

Po raz pierwszy dawał do zrozumienia, że nie zostanie z. misjonarzem na zawsze. Chęć wyruszenia w dalszą wędrówkę rosła w nim zresztą z dnia na dzień. Na razie zachowywał ją dla siebie. Walczył z nią nawet, ale pragnienie nie dało się odpędzić. I, rzecz dziwna, ilekroć ojciec Roland, zamknięty w tajemniczej izbie, wygrywał na skrzypcach tęskne melodie, tylekroć Dawid czuł nieprzepartą chęć nowej włóczęgi.

Pewnego dnia, odwiedziwszy chatę Metysa, którego żona leżała w gorączce, wrócili do domu przedzierając się z trudem przez szalejącą zamięć śnieżną. Po kolacji misjonarz jak zwykle znikł. Jak zwykle grał na skrzypcach. Lecz potem czas dłuższy trwała zupełna cisza. Skoro ojciec Roland pojawił się znów i siadł naprzeciw niego przy małym stoliku, Dawid doznał po prostu wstrząsu. Na ramieniu misjonarza, lśniąc w blasku lampy niby nic jedwabiu, wił się długi włos, włos kobiecy.

Dawid omal nie wyraził głośno swego zdziwienia; powstrzymał się w porę i z udaną obojętnością zaczął przewracać kartki leżącej przed nim książki. Raptem misjonarz sam zauważył jedwabiste pasmo. Odetchnął głęboko. Dawid, nie podnosząc nawet oczu, spostrzegł, jak ojciec Roland zdejmuje włos i zaciska go w garści tak mocno, aż mu sinieją palce. Wstał też natychmiast i znowu znikł w pokoju o wiecznie

zamkniętych drzwiach. Serce Dawida kołatało nierówno. Bardziej niż kiedykolwiek chciał przeniknąć tajemnicę.

Tego roku w lutym śnieżyce srożyły się bez przerwy, wieszcząc głód, i choroby i, co za tym idzie, wiele pracy i włóczęgi dla ojca Rolanda. Obaj z Dawidem podróżowali niemal bezustannie i w trudzie ustawicznym Dawid zahartował się do reszty. Głusza, pusta i rozległa, nie napawała go już lękiem. Umiał stawić czoło zamieci, sypiał w zaspach, owinięty jedynie w koce; zdarzało mu się podróżować nocą podczas takiej zawieruchy, że cały świat stanowił tylko czarny, nieprzenikniony chaos.

W marcu powziął ostateczną decyzję. Nie widział powodu, dla którego miałby dłużej zwlekać. Fizycznie był przygotowany. Trzymiesięczny trud zahartował go. Zarówno z fuzji, jak i z rewolweru strzelał lepiej od ojca Rolanda, a pewnego dnia zrobił czterdzieści mil na raketach śnieżnych. Szło o życie małej córeczki Jana Croisset, trapera nad Big Thunder. Ojciec, oszalały z trwogi, wiódł ich w tempie obłąkańczym, lecz dotrzymani mu kroku obaj i przybyli w samą porę. Croisset wraz z żoną daliby się potem porąbać za ojca Rolanda i jego przyjaciela, bowiem mieszkańcy leśni uważali już Dawida za członka ich społeczeństwa. Widział, jak rozpromieniały się twarze, gdy przyjeżdżał, jak smutniały, gdy odjeżdżał. Postanowił sobie, że powróci znów w te strony, nie przelotnie, lecz na długo. Upewniał co do tego ojca Rolanda, ilekroć rozmowa schodziła na ten temat.

Misjonarz nie wypytywał nigdy zbyt natrętnie o „przyjaciół” zamieszkujących góry na zachodzie. Lecz wieczorem pomagał Dawidowi obierać szlak, według własnej mapy, udzielając mu rad i dając listy polecające do znajomych osadników. Kiedy zaczęły się odwilże i czas odjazdu był coraz bliższy, ojciec Roland począł wykazywać pewne zdenerwowanie, przesiadując częściej poza zamkniętym, drzwiami tajemniczego pokoju. Parokrotnie, wchodząc, wahał się w progu, jak gdyby miał zamiar coś powiedzieć. Dawid doznał raz wrażenia,

ze misjonarz czyni zapraszający gest, że chce pokazać przyjacielowi to pilnie strzeżone wnętrze i nie może się zdecydować na zrobienie tej

Pewnego wieczoru, pod koniec marca, ojciec Roland wcześniej niż zazwyczaj opuścił tajemniczą izbę. Zamknął drzwi i nakładając futrzaną

— Wychodzę na godzinę, panie Dawidzie. Będę u Mukokiego.

Nie prosił Dawida, by mu towarzyszył, a gdy odwracał się, klucz, luźno trzymany w ręku, upadł na podłogę. Padając stukną głośno. Misjonarz musiał słyszeć ów stuk i gdyby klucz wysliznął mu się nieopatrznie, podniósłby go z pewnością. Tymczasem zdawał się wcale nie zwracać nań uwagi. Wyszedł z pokoju ani, się obejrzawszy.

Dobłą minutę Dawid siedział przy stole bez ruchu, spoglądał na klucz. To mogło oznaczać tylko jedno: powinien wejść do pokoju sam. W izbie płonęło nawet światło, a to światło, ten klucz, ta godzinna nieobecność miały swoją wymowę. Dla pewności Dawid poczekał trochę, by się przekonać, że ojciec Roland nie wróci. Potem wstał, podniósł z ziemi klucz i zbliżył się do drzwi.

W progu zawahał się raz jeszcze. Powstrzymywała go myśl, że jeśli popełnił omyłkę, jest to błąd nie do darowania. Wreszcie nacisnął klamkę, uchylił drzwi i wszedł.

Najpierw zauważył lampę, dużą, brązową, staroświecką, kupioną przed tu laty chyba w jednej z fabryk; stała na stole pośrodku pokoju, oświetlając go dość jasno. Rozejrzał się ciekawie powstrzymując oddech ze wzruszenia, lecz nie zobaczył nic specjalnie godnego uwagi. Rozczarował się. Gdzież ta tajemniczość, ta zagadka. Lecz wtem prawda spadła nań niby objawienie. Znajdował się w pokoju kobiecym.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Pokój sprawiał przy tym wrażenie, że kobieta odeszła stąd bardzo niedawno. Na łóżku czysto zasłanym leżała koszula z hafcikiem u szyi. Na kołkach wbitych w ścianę wisały jakieś suknie, oraz futro o staromodnym kroju. Na gotowalni, walały się grzebień i szczotka, a mała, czerwona poduszczyca była gęsto utkana szpilkami. Koło łóżka stały trzewiki, i pantofle o niezmiernie wysokich obcasach, ściany przyozdabiały fotografie, obrazeczki rozmieszczone niewątpliwie ręką kobiecą. Na kominku stał wazon pełen uschłych kwiatów. Lecz oto nastąpiło odkrycie najdziwaczniejsze. Pomiedzy łóżkiem a stolikiem i lampą stał jeszcze jeden stół, nakryty na dwie osoby. Nie, nie na dwie, na trzy, albowiem nieco w cieniu, Dawid zobaczył krzeselko dziecinne, przy nim zaś miniaturowe nakrycie: cynowy talerz, łyżeczkę i widelec

Mimo woli poszukał wzrokiem drzwi, którymi owa kobieta wchodzi, wychodzi, niepostrzeżenie. Lecz drzwi były tylko jedne, te właśnie, przez które sam wszedł przed chwilą

Zaczął pojmować, że wszystko to, na co patrzy, jest stare, bardzo. Któż bowiem jada obecnie na cynowych talerzach. Pantofle i trzewiki miały fason sprzed ćwierćwiecza. Dywan na podłodze stracił wszelką barwę. Kobieta zamieszkująca ten pokój musiała się stąd oddalić bardzo dawno i już nie wróciła.

Wraz z nią, prawdopodobnie, odeszło także i dziecko

Spojrzał znów na stół z umieszczoną pośrodku wielką brązową lampą. Leżały na nim skrzypce ojca Rolanda. A obok — serce w piersi Dawida zabiło mocno — obok zobaczył warkocz kobiecych włosów. Był gruby, świeży i błyszczący, o zadziwiającej długości, i jakby dopiero co ucięty. Musiał zwisać od karku co najmniej na jard. Związywał go skrawek białej wstążki.

Dawid z wolna cofnął się ku drzwiom, pełen niepokoju i niepewności. Kto wie jednak, czy ojciec Roland chciał mu to wszystko pokazać? Może popełnił niedyskrecję? Po prostu świętokradztwo! Może misjonarz zgubił klucz przez nieuwagę? Wyszedłszy, zamknął drzwi za sobą, rzucił klucz na podłogę, dokładnie w tym samym miejscu, skąd go podniósł, pochylił się nad książką. Nie czytał oczywiście; ledwie rozróżniał litery. Upłynęło około dziesięciu minut gdy usłyszał szybkie kroki i wszedł ojciec Roland. Był wyraźnie podniecony i zaraz zerknął na drugie drzwi. Potem spojrzał na podłogę. Klucz błyszczał na dawnym miejscu. Misjonarz podniósł go z westchnieniem ulgi.

— Sądziłem żeś go zgubił! — rzekł śmiejąc się trochę nerwowo. — Ależ śnieg sypie! Gęsty i równy! Na parę dni utrwali się pyszna sanna. Pan Bóg widzi, że wolałbym się z panem nie rozstawać, ale jeśli już trzeba koniecznie, to należałoby ten śnieg wykorzystać. Potem z pewnością przyjdą wiosenne roztopy. Obaj z Mukokim odprowadzimy pana do Jeziora Renów, czyli dwieście mil na północo-zachód. Panie Dawidzie, czy musi pan koniecznie jechać?

Dawid miał wrażenie, że dwie drobne piąstki stukają mu w pierś, w miejscu, gdzie leży fotografia dziewczyny. — Tak, muszę iść, koniecznie— powiedział.

## 15. W górach

Od pamiętnego wieczoru, kiedy Dawid zwiedził tajemniczy pokój, minęło dziesięć dni, także dziesięć, gdy obaj z ojcem Rolandem podali sobie ręce przy ostatecznym pożegnaniu. Działo się to o dwieście siedemdziesiąt mil od Bożego Jeziora, nad rzeką Czochrane. Pożegnalny ów uścisk był czymś więcej niż zwykłym podaniem rąk. Misjonarz nie usiłował nawet przemówić. Kaptur futrzanej kurtki miał nasunięty głęboko na oczy, jego zaprzęg czekał w pogotowiu. W głębi serca przypuszczał, że Dawid nie wróci już nigdy. Jesienią najdalej zatęskni do cywilizacji, a z czasem puści Północ w niepamięć. Więc ojciec Roland mrugał powiekami ściskając dłoń Dawida, a w pewnej chwili w ogóle odwrócił oczy. Głos Dawida drżał.

--- Wrócę, mon pere!--- wołał za odjeżdżającym misjonarzem. --- wrócę na pewno, na przyszły rok.

Ojciec Roland obejrzał się dopiero, gdy ruszyły psy. Zamachał ręką. Dawid odpowiedział tym samym ruchem. Nie mógł mówić. Ani mu się śniło dawniej, że między mężczyznami istnieje podobna przyjaźń. W miarę jak sanie oddalały się coraz bardziej, aż stały się zupełnie malutkie na tle ciemnego boru. Dawid poczuł samotność coraz większą, niemal lęk płynący z obawy, że nie spotkają się już nigdy. A był to przecie jedyny przyjaciel, jakiego miał od urodzenia, przy tym człowiek, który uczynił dla niego więcej niż ktokolwiek w życiu.

Ponurą zadumę przerwał niski skowyt; skomlił Bari, warując w śniegu tuż u stóp pana. W oczach psa człowiek wyczytał bezgraniczne uwielbienie. Wyciągnął rękę; wilczur przyczołgał się jeszcze o cal bliżej, dygocąc ze szczęścia. Dawid uśmiechnął się; nie był jednak tak bardzo samotny.

W pobliżu czekał z saniami i zaprzęgiem Indianin, mający go zawieźć do Fond du Lac. Był to Sarcee, potomek wymarłego niemal szczepu, tak stary, że włos zbiełał mu zupełnie, a tak chudy, że przypominał umierającego z głodu Hindusa.

— Żyje tak dawno, że właściwie nikt nie wie, ile on ma lat powiedział ojciec Roland. — Jest jednak najlepszym znawcą szlaków pomiędzy Hudson Bay i Peace.

Nazywał się Upso Gee, czyli Lis Śnieżny, i za sto dolarów podjął się towarzyszyć Dawidowi na przestrzeni trzystu mil.

Był już gotów do drogi. Dziarsko trzasnął z długiego bicza, by przypomnieć o tym białemu. Ruszyli na przełaj przez jezioro. Po upływie pięciu minut Dawid obejrzał się. Ojciec Roland, wyglądający z daleka niby czarna plamka na białym tle, ginął właśnie w głębi boru. Lecz u skraju zatrzymał się jeszcze i Dawid byłby przysiągł, że macha ręką, choć z tej odległości nie sposób dostrzec cokolwiek.

Dopiero wieczorem, siadłszy samotnie przy obozowym ognisku, Dawid zdał sobie w pełni sprawę z tego, na co się waży. Lis Śnieżny spał jak suseł, a wkoło leżała niezmierna pustka. Noc była przy tym ciemna, wiatr zawodził ponuro wśród gałęzi

jodeł, samotność narastała jak zmora, jak czyjaś straszliwa obecność. Upso Gee wymalował na swym szałasie czerwoną rogatą maskarę, wykrzywioną, mającą zapewne odpędzać złe duchy; maskara owa spozierała na Dawida w sposób dziwnie złowieszczy, jak gdyby radując się z oczekujących nań nieszczęść. Tak, było po prostu strasznie. Nawet Bari wyczuwał przygnębienie swego pana, gdyż oparłszy mu łeb na nogach trwał w zupełnym bezruchu.

Z bardzo daleka dobiegało wycie wilka, przypominając Dawidowi podobne wycie, słyszane w noc śmierci Tawisha. Na krawędzi boru zaś, gdzie światło ognisk stwarzało migotliwy półmrok, błąkał się cień na kształt widma samobójcy. Rankiem okazało się co prawda, iż była to młoda jodła, wybielona szronem, którą kołysał chłodny wiatr, lecz nocą Tawish zawładnął w zupełności myślami Dawida. Nasuwały mu się pytania, nie nowe co prawda, ale bardziej niż poprzednio pogłębione. Co by powiedział ojciec Roland gdyby znał cel jego wędrówki? Dążył na poszukiwanie dziewczyny. Dziewczyny, której nigdy nie widział na oczy, która być może dawno wyszła za mąż, albo zmieniła miejsce pobytu, albo...nie żyje! A gdy ją znajdzie, co powie, co uczyni? W jakim celu w

ogóle jej szuka?— Ach, pan Bóg to raczy wiedzieć — powiedział David głośno, po czym zgnębiony do ostateczności, położył się spać.

Od drobiazgów zależą nieraz rzeczy ważne. Nazajutrz dzień był niezwykle słoneczny; biały złocisty świat skłaniał do optymizmu. Dziś Dawid znalazł bez trudu odpowiedź na wczorajsze pytania. Z każdym następnym dniem słońce przygrzewało silniej, zapowiadając rychłą odwilż. Więc nawet Upso Gee stał się bardziej dostępny. Co prawda, jeśli szło o gadatliwość, można go było porównać do maskary wymalowanej na poczerniałym, płótnie namiotowym, dał jednak jakoś Dawidowi do zrozumienia, że o ile wiosna przyjdzie wcześniej niż zazwyczaj, będzie miał niełatwe zadanie w drodze powrotnej. Dawid podziwiał wytrzymałość starego, szczególnie podczas przeprawy po lodzie przez jezioro Wollaston, gdy od świtu do zmierzchu zrobili czterdzieści mil. W południe na słonecznych stokach śnieg już miękł, toteż zanim dotarli do Porcupine, Lis Ś nieżny odprawiał co wieczór korne modły przed swym bóstwem opiekuńczym. — Swas tao (odwilż), ona idzie bardzo szybko!--- tłumaczył Dawidowi, wykrzywiając się przy tym dla wyrażenia całej gamy uczuć, których nie umiał ująć w słowa. Odwilż nadeszła w istocie. W cztery dni później, gdy dotarli do Fond du Lac, tu i ówdzie woda chlupotała już pod nogami, więc Upso Gee, wypocząwszy zaledwie godzinę, zawrócił zaraz w drogę powrotną.

Był właśnie kwiecień. Faktoria sprawiła na Dawidzie wrażenie ogromnego ula, do którego lud leśny ściąga obładowany skarbami jak pszczoły miodem. Wykorzystując ostatni śnieg nadchodzili traperzy biali i kolorowi. Dawid miał szczęście. Zaraz pierwszego dnia Bari walczył z ogromnym malemutem, którego omal na śmierć nie zagryzł.

Przy rozdzielaniu obu psów ów malemut lekko ugryzł Dawida w rękę. Ten incydent zrodził przyjaźń obu właścicieli. Bouvais był Francuzem znad Zatoki Podkowskiej oddalonej o pięćdziesiąt mil od faktorii Chippewyan, o sto pięćdziesiąt mil zaś w kierunku zachodnim od Fond du Lac. Polował na lisy — Dostarczam futra aż tu, proszę pana --- tłumaczył--- gdyż pobitem się z agentem faktorii Chippewyan i złamałem mu

dwa zęby! — Było to objaśnienie wystarczające. Bouvais wpadł w szal radości gdy się dowiedział, że Dawid zamierza jechać na zachód. W dwa dni później ruszyli obaj, wiodąc ciężko ładowne sanie. Płozy wrzynały się głęboko w tający śnieg, lecz pod śniegiem leżał nadal tęgi lód jeziora Athabaska. Droga nie była nawet zbyt uciążliwa, tylko że Dawid miał stale mokre nogi. Dziwił się też, że jeszcze nie złapał kataru.

— A co to jest katar? — spytał Bouvais, który całe życie spędził w tych stronach. Skoro Dawid objaśnił mu przykre objawy: łzawiące oczy i zatkany nos, Francuz wybuchnął śmiechem.

— My znamy jedną tylko chorobę po przeziębieniu: przemrozenie płuc! Jeśli się je przemrozi zimą, człowiek umiera na wiosnę, jak dwa a dwa cztery. Ale niech mi pan powie, po co się pan wybiera na zachód?

Wobec tak jasno postawionego pytania Dawid musiał udzielić jakiejś odpowiedzi.

— Po prostu, żeby się trochę zahartować — rzekł. — Włóczę się po świecie bez celu, nie mając nic lepszego do roboty.

Gdy się później nad tymi słowami zastanowił, skłonny był przyznać, że są bardzo bliskie prawdy. Ale skoro dotknąwszy kieszeni na piersi, wyczuł kształt fotografii, zrozumiał, że się myli. Podróż miała swój cel określony.

Dawid zabawił wraz z Barim cały tydzień w gościnie u Francuza, nad Zatoką Podkowy, po czym brzegiem jeziora ruszył w stronę Fort Chippewyan. Bouvais towarzyszył mu przez przyjaźń. Szli pieszo, dźwigając na plecach tobołki po pięćdziesiąt funtów każdy, w słońcu bowiem śnieg stał już zupełnie i saniami nie sposób było przejechać. Dziesięć mil od Fort Chippewyan Bouvais zawrócił tłumacząc, że wybicie dwóch zębów agentowi nie jest bagatelą, szczególnie, gdy ten agent jest głównym przedstawicielem potężnej firmy na cały okręg Athabaska.

— I połknął te zęby! — upewniał Bouvais. — Chciał je wypluć, ale nie zdążył!

Spotkawszy agenta w parę godzin później, Dawid przekonał się, że Francuz mówi prawdę. Panu Hachett brakowało dwóch zębów z przodu. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, żylasty, o ptasich ruchliwych oczach, wypatrujący jak gdyby stale zasadzki lub złodziei. Dawida potraktował podejrzliwie; dziwił go obcy biały przybysz w tym pustynnym kraju. Kto wie, czy to nie handlarz futer, poszukujący okazynego kupna, lub co gorzej, urzędnik konkurencyjnej firmy, znieawidzonych braci Reveillon, wysłany na przeszeptę. Dopiero list ojca Rolanda zdołał go przekonać, że obawy są płonne. Wtenczas zapalał przyjaźnią jak przytknięta do ognia kora brzoza. W ciągu pięciu minut trzykrotnie uściskał prawicę Dawida powtarzając w kółko, że łaknie po prostu towarzystwa uczciwego białego człowieka, tak mu wszelka hołota obrzydła.

Zaraz przy pierwszym posiłku otworzył cztery puszki homara, pozostawione jeszcze od świąt, wieczorem zaś raz po raz, siedmiokrotnie ograł Dawida w warcaby. Nie jestem żonaty, mówił Nie mam nawet żadnej tuziemki. Nie lubię kobiet. Gdyby nie obawa, że zabraknie nowego pokolenia traperów, życzyłby śmierci wszystkim babom. Są zupełnie zbyteczne ! Tylko z nimi bieda! Ten Fort, rodzaj blokhauzu, który jeszcze stoi w Chippewyan, im zawdzięcza swój początek. Zdarzyło się bowiem raz, że mężczyźni z dwu różnych plemion, zapragnęli tej samej dziewczyny, pokłócili się o nią,

potłuki, któregoś zabito i wynikła formalna wojna. Co za straszne stworzenia z tych niewiast!

Dawid przybył w samą porę, mówił dala!ej Hachett. Tej zimy interesy powiodły mu się znakomicie Zawarł bardzo pomyślne transakcje z Indianami — oczywiście pomyślne dla kompanii--- i skoro tylko wyprawi ładunek futer do Fort Mac Murray; a stamtąd do Edmonton, zaraz wyruszy sam w długą podróż inspekcyjną. Przejazdźka ta należy mu się przecie w zamian za wytężoną pracę zimową. Barki wyładowane skórami stoją już w pogotowiu. Czekają tylko aż lód spłynie. Wtenczas pójda na południe, podczas gdy jego droga wiedzie na zachód. Dotrze do Hudson Hope, czyli o dwieście pięćdziesiąt mil zaledwie od okolicy, do której wybiera się Dawid.

Dowiódł prawdziwości swoich słów pokazując drogę na starej mapie. Serce Dawida zabiło mocno. Układało się po prostu nazbyt dobrze. Nigdy się nie spodziewał, że okoliczności będą mu tak sprzyjać.

--- Może się pan zabrać ze mną — proponował Hachett, gryząc nieodłączną fajkę. — Nie będzie to pana kosztować ani centa. Ani złamanego centa! Będzie pan jadł, palił, rozglądał się. No i dotrzymywał mi kompanii. Człowiek potrzebuje przecie czasem przyzwoitego towarzystwa. Lód spłynie w połowie maja. Co znaczą dwa tygodnie? Zabijemy zresztą czas grą w warcaby.

Tak też i uczynili. Warcaby były manią Hachetta. Jedyłą rozrywką, którą prócz nich uznawał, było rzekomo bicie Indian. --- Co to za przebiegłe diabły!--- mówił, przesuając krążki na szachownicy. — Zawsze się starają wtrynić mi kiepskie futra zamiast dobrych. Należy im się za to lanie. Toteż walę, ile wlezie.

— W jaki sposób stracił pan zęby? — spytał go raz Dawid, gdy zasiedzieli się przy grze do późna w nocy.

Hachett wyprostował się na krześle, jakby go ugryzła żmija. Spojrzał na Dawida wytrzeszczając oczy.

— To pewien Francuz — rzekł. — Podła świnia. Powiedziałem mu raz, że kobiety, wszystkie kobiety, są do niczego. Odparł, że jest żonaty. Powiedziałem, że to nie ma sensu. Odparł, że żonę kocha. Powiedziałem, że jest wariat. A wtenczas on mnie w mordę. I nawet nie uprzedził. Wybił mi dwa zęby. Ale go kiedyś złapię! Obedrę ze skóry. Na rzemień go wyprawię.

Dawid śmiał się mimo woli. Hachett nie obraził się bynajmniej, lecz jego długa, posępna twarz nie straciła nic ze swej powagi. W parę dni później Dawid zastał agenta w trakcie obdarowywania starego, siwowłosego, na pół niewidomego Indianina workiem żywności. Na widok gościa Hachett wzdrygnął się, jakby go przyłapano na miejscu zbrodni.

— Zamorduję tego draba natychmiast, jak tylko ziemia odtaje! — oświadczył z patosem, potrząsając pięścią za odchodzącym. — Żebrak! Leniuch! Darmozjad! Karmię go tyle tylko, żeby dociągnął do roztopów, bo teraz nawet mogiły nie można wykopać, taki grunt twardy!

Serce Hachetta nie pasowało zupełnie do jego twarzy. Język miał złośliwy i pełen gróźb, lecz groźby te zawsze kończyły się tylko na słowach, co niezmiernie bawiło Dawida. Lubił agenta. Po raz pierwszy widział maskę tak komiczną, choć zupełnie pozbawioną uśmiechu. Dni mijały im szybko i przyjemnie.

W połowie maja popłynęły do Athabaski barki ładowne futrami, i w trzy dni później wyruszył Dawid z agentem. Dawid nie widział nigdy nic podobnego do łodzi Hachetta, obszernej niby mały statek, lekkiej na wodzie niby piórko. Czterech wspaniale zbudowanych Indian z plemienia Psie Żebro wiosłowało wraz z nimi. Gdy Dawid poruszył kwestię Barięgo, Hachett odparł z emfazą:

— Co, wozić się z psem? Za żadne skarby! Niech leci brzegiem albo zdycha!

Gdyby Bari miał głos w tej sprawie, wybrałby z pewnością jedno lub drugie. Dzień po dniu dążył za czołnem, przepływając strumienie, brodząc w bagnach, przedzierając się przez lasy. Niełatwo mu to szło. Na głębokiej, leniwej wodzie Lower Peace czołno robiło do trzydziestu pięciu mil dziennie; dwukrotnie zrobiło nawet czterdzieści mil na dobę. Lecz Hachett nie żałował Bariemu strawy, więc pies co noc zasypiał u nów Dawida.

Szóstego dnia przybyli do Fort Vermillon, gdzie Hachett zaprezentował się z pompą i paradą iście monarszą. W tydzień później dotarli do Peace River Landing, o dwieście mil na zachód, a po upływie trzech tygodni stanęli w Fort St. John, oddalonym o pięćdziesiąt mil od Hudson Hope. Tu po raz pierwszy, Dawid zobaczył góry. W odległości siedemdziesięciu mil widział wyraźnie ośnieżone szczyty. Położył palec na określonym punkcie mapy Hachetta i serce mu drgnęło. Znajdował się niemal u celu! Góry przybliżały się z każdym dniem. Zdawało mu się, prawie, że z Hudson Hope widzi ciemne płachty boru na ich zboczach. Hachett warczał, że to po prostu halucynacja: dzieli ich przecie od nich wciąż jeszcze czterdzieści mil z okładem. Mac Veigh, agent z Hudson Hope, spojrział na Dawida znacząco.

--- I po co się pan tam wybiera?--- Żaden biały człowiek nie zapuszcza się tak daleko. Rozumiem w górę Finley, do Kwadocha, ale tam...

Pokręcił głową. Był niskiego wzrostu, pękaty, kwadratowa szczęka zwisała mu posepnie.

--- Gdy wysiądzie pan na ład w Kwadocha --- mówił, stukając palcem w mapę--będzie pan jeszcze miał około siedemdziesięciu mil do Stikine. Kto u diabła pana tam zaprowadzi? Wprost przez łańcuch Gór skalistych. Bez drogi. Ani jednej faktorii po drodze. Zbyt pustynna okolica. Nawet Indianie nie chcą tam mieszkać. Umilkł na chwilę pogrążony w zadumie.

--- Stary Towaskook znajduje się w Kwadocha wraz ze swym plemieniem --- dodał, jak gdyby widząc w mroku błysk nadziei.— Może on się zgodzi. Ale wątpię. To leniwe kundle. Chociaż kto wie. Dam panu przewodnika, który z nim sprawę omówi, panu radę tylko wziąć zapasów za paręset dolarów dla ostatecznego dobiecia targu.

Przewodnik okazał się Metysem. W trzy dni później opuścili Hudson Hope, zabrawszy tym razem Barięgo do czołna. Góry piętrzyły się na horyzoncie coraz wyżej i wkrótce znaleźli się między nimi. Z wytężeniem pracowali przy wiosłach, sunąc w górę bystrego nurtu Finlay. Trud okazał się ciężki. Co chwila katarakty i wodospady zmuszały ich do przenoszenia czołna brzegiem. W ciągu pięciu dni przepawali się w ten sposób dwadzieścia siedem razy. Przez dwie doby wlekli łódź i zapasy wokół górskiego cypla. Przebycie osiemdziesięciu mil zajęło im dwa tygodnie czasu.

Potem droga stała się łatwiejsza. Dwudziestego czerwca rozbili ostatnie obozowisko przed Kwadocha. Słońce świeciło jeszcze jasno, lecz czuli się wyczerpani zupełnie. Dawid zbadał mapę i zajrzał do notesu. Odkąd wraz z ojcem Rolandem i Mukokim wyruszyli do Cochrane — zrobił już niemal tysiąc pięćset mil. Tysiąc pięćset mil! A zostało już niespełna sto! Przez przełęcz górską, poza te

szczyty. Wcale nie tak trudno. Pójdzie sam, jeśli stary Towaskook nie zechce mu towarzyszyć. We dwójkę z Barim. Dadzą sobie jakoś radę. Ogromnie wierzył w Bariego. To dzielny sojusznik. Jeszcze tydzień, jeszcze dwa i znajdą dziewczynę. A potem...

Przy czerwonym blasku zachodzącego słońca Dawid długo przyglądał się fotografii.

## 16. Niedźwiedź.

**D**awid wraz ze swym przewodnikiem Metysem przybył do wsi Towaskooka w tygodniu Wielkiego Święta Indian. Plemię to należało do najbardziej na wschód wysuniętych czcicieli totemów, i każdy z mieszkańców przypominał złego ducha, wymalowanego na szałasie Upso Gee.

Wszyscy byli wystrojeni dziwacznie, „jak diabły”, mówił Metys. Sam Towaskook nosił na głowie łeb niedźwiedzia, z którego sterczała para olbrzymich rogów bizonich, przywiezionych nie wiadomo jak i kiedy z zachodnich prerii. Do jego obowiązku należało czynić obrzędowe tańce wokół słupa totemicznego co najmniej przez sześć godzin na dobę, wyśpiewując przy tym żalosne suplikacje pod adresem wyrzeźbionego u szczytu potworka. Gdy Dawid przybył do wsi, święto trwało już cztery kesikow, czyli dni. Ta doba poświęcona była pomyślnym łowom, więc Towaskook oraz jego współplemieńcy doszli już do zupełnego wyczerpania, błagając dobre duchy, by zwierzyna z gór zechciała podbiegać prost pod ich szałas i namioty, oszczędzając w ten sposób ludziom wszelkiego wysiłku

Tegoż wieczoru Towaskook odwiedził Dawida w obozie rozłożonym w pewnej odległości od wioski, chcąc wywnioskować, co by się dało wyciągnąć od białego przybysza. Wódz był potwornie tłusty, upasiony lenistwem. Rozpoczął wnet namiętą dyskusję z Metysem Jackiem, podczas gdy Dawid obserwował ich w milczeniu, starając się cokolwiek wyczytać z gestów towarzyszących rozmowie.

Towaskook podniósł się wreszcie ciężko z ziemi i odszedł, a wtenczas Jack zdał sprawę z przeprowadzonych pertraktacji. Droga przez góry miała być niezwykle uciążliwa. Wódz indiański odwiedził raz Stikine. Nigdy nie poważyłby się pójść tam po raz drugi. Trzeba się przedzierać ponad chmurami, często chmury są w dole, a człowiek musi się pięć jeszcze wyżej. Istnieje jedna tylko szansa, jedna jedyna. Jest pewien łowca niedźwiedzi imieniem Kio, zupełny młokos, marzy o spełnieniu wielkiego czynu, a zależy mu na tym tym bardziej, że kocha się w córce czarownika wioskowego--- Kwak-wa-Pisew, czyli Motyla. Kio gotów pójść. Naturalnie nie otrzyma za to ani grosza. Wynagrodzenie, jakie by mu przypadło, powinien dostać wódz. Przyjmie chętnie konserwy wartości dwustu dolarów.

Nieco później Towaskook przyprowadził owego Kio. Był to istotnie młody chłopak, szczupły i gibki niby trzcina, o niemiłych, pełnych fałszu oczach. Wysłuchał żądań białego. Odpowiedział, że owszem, pójdzie. Będzie służył za przewodnika aż do miejsca, gdzie Pitman i Stikine łączą swe wody, pod warunkiem jednakże, iż Towaskook obieca mu Motyla za żonę. Towaskook, pożerając łakomym wzrokiem chytrze rozłożone przez Metysa konserwy, przystał bez wahania.

--- Ruszamy jutro!--- powiedział wtenczas Kio. --- Jutro o świcie. Wieczorem Jack przygotował starannie dwa plecaki dla Dawida i dla Kio, odtąd bowiem musieli wszystkie zapasy dźwigać na plecach, a drogę odbywać pieszo. Ładunek Dawida łącznie z fuzją ważył pięćdziesiąt funtów. Metys pożegnał ich rankiem, wołając w ślad za odchodzącymi, by Dawid miał się na baczności przed tym „zdradliwym Indianinem”!

Lecz oczy Kio kłamały. Okazał się niedługo bardzo poczciwym i przyjaznym chłopakiem. Nie znał co prawda słowa po angielsku, natomiast był mistrzem gestykulacji, Skoro przy wspinaniu się na pierwszą górę Dawida rozboleły w nogach i karku mięśnie, których istnienia dotąd nie podejrzewał, Indianin śmiejąc się przyjaźnie zapewnił go gestami, że ból ten prędko minie. Noc spędzili niemal u wierzchołka. Kio wolałby rozbić obóz w ciepłej dolinie u podnóża, lecz nowo odkryte mięśnie w plecach i nogach Dawida sprzeciwiły się temu kategorycznie.

W słonecznych kotlinach dojrzewały już poziomki, tu wszakże panował przenikliwy chłód. Zimny wiatr dął z ośnieżonych szczytów, cierpko pachniała mgła. Znajdowali się tak wysoko, że chrust ogniska tlił się niemrawo, dając zaledwie trochę ciepła dla podgrzania wędzonki. Dawid nie dbał o wygody. Krew wrzała mu nadzieją i radością. Był niemal u celu podróży. Stoczył ciężką walkę i wygrał. Nie wątpił, że teraz potrafi znów stawić czoło cywilizowanemu światu.

Dzień za dniem dążyli na zachód. Cóż to była za droga po grzbietach górskich! Jakże człowiek rozumiał nicość własną i ogrom wszechświata. W tym chaosie ludzie wyglądali jak mrówki, jak pełzające w prochu owady.

Rankiem jedenastego dnia dotarli do miejsca, gdzie rzeki Pitman i Stikine łączyły swe wody, nieco później zaś Kio zawrócił w drogę powrotną, a Dawid wraz z Barim zostali sami. Ta samotność zaciążyła na nich niby ustawiczna groza. Minąwszy dział rzeczny znaleźli się w zalanej słońcem dolinie pomiędzy dwoma stromymi stokami. Był już lipiec. Zewsząd, spośród szczytów górskich, z kotlinek, parowów i jarów dobiegał ściszony, dźwięczny szept. Była to gęźba tających śniegów i wody płynącej z pochyłości. Muzyka ta drżała w powietrzu ustawicznie bowiem strumyki, potoki i rzeczulki nigdy nie ustawały w biegu. Powietrze było pełne słodkich woni, ziemia pyszniła się zielenią, Słoneczne zbocza barwiły się wszelkimi kolorami tęczy: liliowe od fiołków, błękitne od niezabudek, czerwone, białe i żółte od hiacyntów

Dawid upajał się tym widokiem. Rozbiwszy obóz pozostał w tym miejscu całe dwa dni. Pragnął iść naprzód, lecz równocześnie miał wrażenie, że należy wpięrcz dobrze poznać ów tajemniczy świat. Nie mógł zmylić drogi. Zarówno

Jack, jak i Kio wskazywali wielokrotnie na szeroką, płytką strugę, wiodącą przez góry. Wystarczy trzymać się jej brzegów. Po pewnym czasie, po wielu tygodniach oczywiście, doprowadzi go nad ocean, do osiedli białych ludzi. Lecz o wiele wcześniej napotka strugę Firepan.

Siedząc przy ognisku, reperując własne buty i opatrując łapy Bariego, pokaleczone na ostrych głazach, Dawid uprzytamniał sobie, że nigdy jeszcze nie zaznał samotności tak zupełnej. O parę mil na wschód oddalał się Kio. Zostali już tylko we dwójkę: człowiek i pies.

Trzeciego ranka Dawid zarzucił plecak na ramiona i ruszył dalej. Bari trzymał się pana, przy czym obaj rozglądali się bacznie po okolicy. Roilo się od zwierzyny, więc Dawid szukał okazji, która by mu przysporzyła mięsa, zarówno dla własnego użytku, jak i dla psa. Piaszczyste łąchy i pokryte żwirem brzegi rzeczutki usiane były śladami rozlicznych stworzeń, a Baro sapał żarłocznie, ilekroć zwęszył świeży trop.

Pies był głodny, głodował odkąd się znaleźli w górach. Tego dnia Dawid trzykrotnie widział z daleka karibu. Po południu dostrzegł na zielonym stoku niedźwiedzia grizzly. Pod wieczór wreszcie dopisało mu szczęście. Stado owiec zstąpiło z gór do wodopaju. Człowiek zaszedł je zniemacka i wiatr był mu przychylny. Zabił młodego barana. Po strzale dobrą minutę bez ruchu, nie ważąc się odetchnąć głębiej. Huk fuzji zadudnił w górach jak potworny wybuch. Powtarzany echem przeskakiwał od wierchu do wierchu, coraz dalszy i głuchszy. Dawid pomyślał, że słysząc go było zapewne na wiele mil. Wreszcie podszedł do powalonego barana. Tego wieczoru obaj z Barim posilili się świeżym mięsem.

Piątego dnia samotnej włóczęgi znaleźli parów, przecinający na pół zachodni łańcuch górski. Przez tę szczelinę przepływała struga podobna zupełnie do Stikne, szeroka a płytka, ujęta w niskie piaszczyste brzegi. Dawid osądził, iż jest to zapewne Firepan. Chata Tawiha powinna się znajdować niedaleko. Nawet jeśli ją spalono, jako dom nawiedzony zarazą, musiały zostać jakieś szczątki lub ślady zgliszczy. O trzeciej, podniecony podniecony okropnie, podązał wzdłuż nowo odkrytej strugi. Czuł, że koniec przygody jest bliski. Niedługo spotka ludzi. A co potem? Usiłował otrząsnąć się z przygnębienia, ale był mocno zaniepokojony.

Szedł wolno, badając wzrokiem oba brzegi nasłuchując pilnie. Spodziewał się, że usłyszy wkrótce jakiś nowy dźwięk. Najwięcej uwagi poświęcał piaszczystem wydmom. Odbiły się na nich tropy rozlicznych zwierząt. Raz serce zakołatało w nim gwałtownie, gdyż zauważył ślad niedźwiedzia, przypominający do złudzenia ślad stóp obutych w mokasyny. Okolica obfitowała w ogóle w niedźwiedzie, a rozliczne tego dowody napawały Bariego wyraźnym niepokojem.

Szli do zmierzchy. Dawid gotów; byłby iść dalej, nawet nocą, usłuchał jednak głosu rozsądku, rozpalił ogień i spożył skromną kolację. Po kolacji siedział długo przy księżycu, wciąż nasłuchując. Usiłował nie myśleć o niczym. Następnego dnia wyjaśni wszelkie wątpliwości. Zasnął późno, a obudził się o brzasku.

Im dalej, tym strumień był węższy, a okolica dziksza. W południe Bari stanął raptem jak wryty na sztywnych nogach, ze zjeżonym grzbietem, warcząc złowrogo. Tkwił ponad splachetkiem piasku wielkości derki. — No, co się stało? — spytał Dawid.

Zbliżył się obojętnie i nie patrząc nawet w dół zapalał fajkę. — Co ci jest, piesku?

W następnej chwili po prostu zapało mu oddech. Spodziewał się tego przecie, szukał tego lecz nigdy nie oczekiwał podobnego wstrząsu. Na piasku, odbity wyraźnie, widniał ślad stopy ludzkiej.

Nie mogło być cienia wątpliwości. Trop zostawiła noga ludzka: raz, dwa, trzy, cztery pięć śladów, przecinających piaszczystą wydmy. Dawid gapił się z fajką w zębach, pozbawiony po prostu możliwości ruchu. Stopa była maleńka, chłopięca. Kątem oka zauważył, że Bari jeży sierść nad innym śladem nieco dalszym. Był to trop niedźwiedzia, olbrzymi, głęboko odcisnięty Kierunek ich wskazywał, że oba dążą w jedną stronę. A sądząc podług zjeżonej sierści Bariego i jego groźnego warczenia, trop zwierza był niewątpliwie świeżej daty.

Dawid spojrział w górę strugi. O sto jardów dalej żwir kamienie ustępowały całkowicie miejsca piaskowi; jeśli człowiek i bestia szli tamtędy, musieli pozostawić bardzo wyraźne ślady. Dawida nie interesował niedźwiedź Bariego nie obchodził zupełnie chłopak indiański, toteż gdy dotarli do wydmy, pies podążył śladem łap, jego pan śladem mokasynów.

Oba tropy były oddalane od siebie najwyżej o trzy metry. Po chwili zeszyły się zupełnie, przy czym Dawid zauważył, że ślad niedźwiedzia pokrywa ślad chłopca. Nie przypisywał temu większego znaczenia, aż chwili, gdy chłopak skręcił wyraźnie w prawo. Niedźwiedź skręcił także. Nieco dalej chłopak zboczył na lewo, niedźwiedź za nim. Serce Dawida zabiło mocniej To już nie był przypadek. Zwierz wyraźnie prześladował chłopaka Dawid zatrzymał się i schował do kieszeni fajkę, a mu zresztą dawno zgasła. Obejrzał karabin, sprawdzając, czy jest nabity. Bari warczał Obnażone kły lśniły, oczy błyszczały groźnie. Patrzył przed siebie węsząc?. Dawid wzdrygnął się. Niewątpliwie niedźwiedź doścignął już chłopaka.

Był to grizzly, świadczyła o tym wielkość stopy. Na drobnym żwirze, ślad przez chwilę zatracony w murawie, rysował się znów wyraźnie. W nagłym skręcie rzeczulki jeszcze wyraźniej zarysował się na piasku. Dawid omal nie krzyknął.

Chłopak kroczył teraz tropem wielkiego grizzly!

Dawid gapił się, nie dowierzając oczom. Lecz nie mogło być żadnych wątpliwości. Niedźwiedź szedł przodem, a chłopak w tyle.

Dawid chciał znaleźć rozwiązanie zagadki, ale już nie zdążył. Stał i oniemiał z zdumienia, czując w głowie zupełną pustkę, patrzył jak urzeczoną. Gdyby góry obróciły się od podstaw i czubami wrosły w ziemię, nie zdziwiłby się chyba bardziej. O dwadzieścia kroków najwyżej przed sobą zobaczył dziewczynę. Wynurzała się niespodzianie niby zjawa spoza wielkiego głazu; nieco starsza, nieco wyższa, nieco dziksza niż na fotografii, ale z tą samą wspaniałą

grzywą włosów na kształtnej główce i tym samym badawczym wyrazem w pięknych oczach. Identyczny co poprzednio gest rąk zdradzał chęć ucieczki. Dawid usiłował przemówić. Wydawało mu się później, że próbował wyciągnąć ramiona. Daremny trud, był zupełnie bezwładny. I tkwili tak oboje, oddaleni od siebie o dwadzieścia kroków zaledwie, wpatzeni, bez słowa.

Stało się jednak coś, co momentalnie przywróciło Dawidowi zachwianą równowagę. Usłyszał ciężki, powolny chrzęst. Spoza skalnego bloku wyłonił się olbrzymi niedźwiedź. Istny potwór. Stał w odległość trzech metrów od dziewczyny.

Dawid krzyknął, podrzucając jednocześnie fuzję do ramienia. Lecz dziewczyna była jeszcze szybsza; niby błyskawica, niby kometa o rozwichrzonym warkoczu skoczyła w stronę potwora. Zakryta go sobę, przywarła doń plecami, obie garści wpiła w bure kudły. Drżąc od stóp do głów patrzyła na mężczyznę rozjarzonym wzrokiem. Dawid, oszołomiony, zniżył fuzję do ziemi i postąpił parę kroków bliżej.

— Co? Co?... — bąknął i stanął. Nie mógł się ruszyć ani mówić. Lecz ona zrozumiała go jednak. Zesztywniała od stóp do głowy.

— Jestem Marge O'Doone — rzekła wyzywająco. — A to mój niedźwiedź!

## 17. Dawid wyjaśnia

Jakże była prześliczna w tej pozie: kobieta, na tle dzikiej przyrody, własnym drżącym ciałem chroniła potworne cielsko dzikiej bestii. Lecz im dłużej się przyglądał, tym jaśniej widział, że właściwie jest to jeszcze dziecko, młodzianka dziewczyna. Wrażenie potęgowały rozwichrzone włosy, opadające gęstą falą na ramiona i piersi: szczupła postać, niewinne wejrzenie ogromnych, błękitnych oczu, a nade wszystko w jakiś dziwny sposób wymówiła swe imię.

Dawid zupełnie zapomniał o niedźwiedziu, jakby to była jedynie skała służąca za tło. Nie słyszał także warczenia Bariego. Przebył długą drogę, by ją odnaleźć, więc teraz, gdy stała przed nim, cały świat przestał po prostu istnieć.

Należało przemówić, powiedzieć coś. Pojęcia nie miał, od czego zacząć. Rzekł wreszcie tonem obojętnym, używając banalnych słów.

— Jestem Dawid Raine. Przebyłem długą drogę, zanim panią znalazłem. Nie było w tym nic, co by ją mogło nastraszyć, a jednak, wyraźnie zalękniona, przytuliła się ciaśniej do niedźwiedzia. Grizzly tkwił nieruchomo zupełnie, wpatrzony w Dawida dwojgiem małych, czerwonych ślepek.

— Nie wróć! — rzekła naraz dziewczyna. — Będę się bronić. Głos miała dźwięczny, wyzywający. Wysunęła przed siebie dłonie zaciśnięte w pięści. Ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu, gniewne oczy straciły błękitną barwę, przybierając odcień stalowy. Była bardzo kobieca i zarazem ogromnie dziecinna, przy tym zła. Gotowa walczyć.

— Nie wróć! — powtórzyła. — Nie wróć za nic!

Lecz teraz Dawid zauważył coś jeszcze. Mokasyny Marge były w strzępach, sukienka podarta, piękne włosy rozwichrzone. Gdy odrzuciła je z czoła, dostrzegł wokół oczu ciemne kręgi wyczerpania. Policzki miała zapadnięte. Na lewym ręku głęboką szramę. Z wyrazu oczu i twarzy mężczyzny dziewczyna musiała odgadnąć część prawdy. Pochylając się ku przodowi, spokojniejsza już i zaciekawiona spytała:

— Czy pan nie przychodzi z Gniazda? Czy to nie oni wysłali pana za mną w pogoń?

Dłonią wskazała w głąb doliny i z rozchyłonymi ustami wyczekiwała chciwie odpowiedzi.

— Przybyłem stamtąd! — zapewnił ją Dawid, wskazując za siebie.

— Z odległości tysiąca pięciuset mil. Jestem w tych stronach po raz pierwszy. Nie wiem, gdzie leży Gniazdo, ani co to w ogóle jest. Nie zamierzam też pani tam prowadzić, chyba że pani sama tego zażąda. Jeśli ktoś panią ściga I pani zamierza z nim walczyć, stanę po stronie pani. Czy ten niedźwiedź gryzie?

Umieścił plecak na ziemi, opierając na nim fuzję. Dziewczyna przyglądała mu się szeroko rozwartymi oczyma. Pierzchł strach, czający się w głębi źrenic. Zaciśnięte piąstki rozwarły się powoli. Wtem obróciła się do niedźwiedzia, zarzucając mu na szyję na w pół obnażone ramiona.

— Tara! Tara! — krzyknęła. — To wcale nie jest jeden z nich! Och, a myśmy się tak bali!

Obróciła znów twarz do Dawida, czyniąc to tak gwałtownie, aż się zdziwił. Nie widział nigdy tak szybkiego ruchu.

— Kim pan jest? — spytała, jak gdyby nie dosłyszawszy poprzednio jego wyjaśnień. — Dlaczego pan się tu znalazł? Dlaczego idzie pan w stronę Gniazda?

— Nie podoba mi się ten grizzly — rzekł Dawid, gdyż niedźwiedź zrobił właśnie parę kroków w jego kierunku.

— Tara pana nie ruszy — zapewniła go Marge. — Chyba że pan mnie obejmie, a ja zacznę krzyczeć. Chowam go od maleństwa i nigdy dotąd nie skrzywdził nikogo. Ale teraz to już potrafi — głos jej się zmienił, nabierając metalicznego brzmienia, oczy zaś ściemniały.

— Uczylam go specjalnie. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego idzie pan do Gniazda?

Było to wyraźnie postawione pytanie, zabarwione jeszcze odrobiną podejrzliwości. Niejednokrotnie przedtem Dawid wyobrażał sobie, co powie i jak się zachowa, gdy spotka dziewczynę z fotografii. Wyjaśnienie wydawało mu się rzeczą najłatwiejszą. Powie skąd przybywa i dlaczego, nadając przy tym opowiadaniu akcenty zupełnej prawdy i szczerości. Lecz nie oczekiwał nigdy, że zobaczy taką jak ta istotę z olbrzymim niedźwiedziem; osóbkę raczej skomplikowaną, na poły kobietę, na poły dziecko, dziką i prześliczną. Pod tym względem nie doznał rozczarowania; była piękniejsza, niż sobie wyobrażał.

Marge O'Doone. Myśl jego wróciła do owej kobiety w przedziale pociągu transkontynentalnego, kobiety poszukującej człowieka imieniem Michał O'Doone. Kobieta ta musiała być z pewnością matką ślicznej dzikuski.

Dziewczyna z wolna oderwała się od niedźwiedzia podeszła bliżej i stanęła o trzy kroki zaledwie od Dawida.

— Tara pana nie ruszy! — upewniła go. — Chyba, że ja krzyknę. Wtenczas rozerwie pana na kawałki!

Jeśli na razie okazywała pewną trwogę, trwoga ta minęła obecnie bez śladu. Oczy miała błękitne i odważne, najbłękitniejsze i najodważniejsze oczy, jakie widział kiedykolwiek. Przypominała teraz raczej kobietę niż dziecko. Czuł, że znów zacznie zadawać pytania, więc uprzedził ją tym razem.

— Dlaczego boi się pani kogoś, kto ma przyjść z Gniazda? Gniazdo to pewnie jakaś miejscowość.

— Ponieważ — odparta szczerze--- ja właśnie stamtąd uciekłam.

— Uciekła pani? - wybełkotał. - Kiedy? ---

Przed dwoma dniami.

Zrozumiał teraz, skąd się wzięły poszarpane mokasyny, podarta sukienka, ogólnie wyczerpanie. Dopiero teraz spostrzegł, że trzyma się na nogach niepewnie że stania się trochę jak kwiat na wątlej łądździe. Momentalnie znalazł się u jej boku. Zapomniał o niedźwiedziu. Ujął ją za rękę i przyciągnął do płaskiego głązu opodal. Szła posłusznie, spoglądając tylko na niego ze zdumieniem. Grizzly nie spuszczał z Dawida czerwonych oczu. Bari leżał o parę kroków, pomiędzy dwiema skałami, rozciągnięty na brzuchu, świdrując wzrokiem niedźwiedzia.

Scena była raczej niesamowita, lecz Dawid zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Trzymając wciąż Marge za rękę, posadził ją na głazie, po czym z życzliwym uśmiechem zajrzał jej w oczy. Była przecie mimo wszystko jego małą przyjaciółką, wierną towarzyszką od owego pierwszego wieczoru w chacie Thoreau, od szeregu miesięcy podtrzymywała go na duchu, dodawała mu odwagi. Zaczął opowiadać wszystko od początku. Na razie brała go bodaj za wariata. Nie przerywała mu co prawda ani słowem, lecz w oczach zjawiało się podejrzenie. Po chwili zarumieniła się oddychając szybciej przez rozchylone wargi. Jakież to było śliczne, jakie ciekawe, zupełnie niby bajka. Słuchała chciwie, nie śmiać wciąż jeszcze wierzyć. Dawid skończył mówić i dopiero wtenczas, jako dowód ostateczny, wyciągnął z zanadru fotografię.

Krzyknęła lekko. Chwyciła fotografię i pochyliła się nad nią tak nisko, że Dawid, patrząc z góry, widział tylko zwichrzoną g falujących włosów, rozmigotaną w słonecznym blasku. Milczał i czekał. Pewien był, że zaraz usłyszy z jej ust dokładną opowieść, która rozwieje wszelkie wątpliwości. Dowie się przede wszystkim, dlaczego ona znajduje się tutaj, a nie u boku kobiety z pociągu, która jest niewątpliwie jej matką.

Wreszcie podniosła na niego oczy szeroko rozwarte i jakby badawcze.

Zupełnie pewny swego Dawid spytał:

— Dlaczego nie była pani wtenczas w pociągu wraz z matką?

— To wcale nie jest moja matka — odparła dziewczyna bez wahania. — Moja matka przecie dawno umarła.

## 18. Dlaczego Marge uciekła?

Wysłuchawszy wiadomości o śmierci matki, podanej głosem dziwnie spokojnym, Dawid oczekiwał dalszych wyjaśnień. Od dawna i tak głęboko upewnił sam siebie, że fotografia jest niezawodnym kluczem do tajemnicy, że po chwili dopiero zrozumiał wyraz oczu Marge. Dziewczyna była ogromnie zdziwiona. Nie mogła widać pojąć, jakim cudem fotografia znalazła się w jego posiadaniu, ani kim była tajemnicza pasażerka.

Dawid wrócił raz jeszcze do minionych chwil, które uznał za szczególnie ważne. Dwukrotnie podkreślił, że kobieta z pociągu szukała kogoś o imieniu Michał O'Doone. O'Doone to przecież jej własne nazwisko. Słuchała nie przerywając, gdy zaś skończył, rzekła:

— Matka moja nie żyje. Ojciec nie żyje również. I ciotka umarła także tam, w Gnieździe. Został tylko wuj Hauck, ale to łajdak. A Brokaw jeszcze gorszy. To on mnie sfotografował przed dwoma laty. Uczyłam Tarę, żeby go zabił, żeby zabił każdego, kto mnie tknie bez mojej zgody!

Dawid widział, jak oczy jej ciemnieją znowu, przybierając barwę chmur gradowych.

— Przyłapał mnie nad strugą, nastraszył, i tam właśnie mnie sfotografował. I jeszcze chciał koniecznie, żebym zdjęła...

Fala krwi zalała jej policzki. Głos dygotał w pasji.

— Teraz bym się go już nie bała! — krzyknęła wyzywająco. — Wrzeszczałabym i walczyła, a Tara by go rozszarpał! Och, Tara wie już teraz, co ma robić! Nauczyłam go!

— Namówił panią, żeby pozwoliła się sfotografować? — poddał Dawid ostrożnie. — No i co dalej?

— Widziałam później jedną z fotografii u ciotki. Chciałam ją zniszczyć, bo jej nienawidziłam i nienawidziłam także Brokawa. Ale ciotka twierdziła, że ten obrazek jest jej koniecznie potrzebny. Była już wtenczas chora, a że lubiłam ją bardzo, więc nie mogłam odmówić. Obejmowała mnie co rano. Całowała mnie zawsze na dobranoc. Ale Haucka się boję i nigdy nie mówię mu „wuju”. Ona bała się go również. Raz, kiedy ją skłął, skoczyłam na niego i podrapałam mu twarz, a on wydarł mi garść włosów. Och, jeszcze teraz to czuję! Ciotka płakała często i zawsze wtenczas tuliła mnie do siebie. Umarła też przytuliwszy się do mnie i szepcząc coś, czego nie mogłam zrozumieć. Płakałam bardzo. To było przed pół rokiem. Od tej pory uczyłam Tarę zabijać.

— Dlaczego to robiłaś, Marge?

Zadając pytanie Dawid jednocześnie ujął ją za rękę. Ufnie leżała w jego dłoni: mała, szczupła i silna. Drżała trochę.

— Słyszałam jedną taką rzecz. Gniazdo jest strasznym miejscem. Hauck jest okropny. Brokaw także. I Hauck mówił, że ja należę do Brokawa. Co on miał na myśli?

Odwróciła się nieco, tak, by móc patrzeć Dawidowi prosto w oczy. Jakże trudno było odpowiedzieć tej dziewczynce...

Marge dostrzegła jednak grymas na twarzy Dawida i dłoń jej zeszywniała.

— Co on miał na myśli? — nalegała uparcie. — Dlaczego mam należeć do Brokawa, do tego rudego draba?!

Dawid ujął małą rączkę w obie swe wielkie, silne dłonie. Twarz miał surową, lecz głos bardzo łagodny.

— Ile ty masz lat? — spytał.

— Siedemnaście.

— A ja trzydzieści siedem — uśmiechnął się. — Spójrz! — uniósłszy rękę zdjął kapelusz. — Siwieję już.

Zerknęła ciekawie, po czym, tak niespodzianie, aż mu oddechu zabrakło, przesunęła palcami po jego gęstej, jasnej czuprynie.

— Siwiejesz trochę — powiedziała poważnie. — Ale wcale nie jesteś stary!

Złożyła obie ręce na kolanach. Poprzedni gest był niewinnym gestem dziecka.

— A jednak jestem stary — zapewnił. — Czy ten człowiek, Brokaw, znajduje się teraz w Gnieździe?

Skinęła głową twierdząco.

— Bawi już od miesiąca. Ale często odchodzi na czas dłuższy i potem wraca.

— Czy od niego uciekłaś?

— Od nich wszystkich! Samego Brokawa bym się nie bała. Pozwoliłabym mu się objąć, a potem zaczęłabym krzyczeć. Wtenczas Tara by go zabił. Ale jest przecie Hauck i inni. Odkąd Nisikoos umarła, są coraz gorsi. To ciotka się tak nazywała: Nisikoos. Są straszni i boję się ich, szczególnie odkąd zaczęli budować wielką klatkę dla Tary. Dlaczego budują tę klatkę, taką mocną, z całych pni drzewnych? Dlaczego chcą i Tarę zamknąć? Nie mówią nic. Hauck twierdzi, że to ze względu na innego niedźwiedzia, którego Brokaw przywieźć ma aż z Jukonu. Ale ja przecież wiem, że Hauck kłamie.

Zacisnęła mu palce na rękę i po raz pierwszy dostrzegł pod długimi rzęsami obłądny strach.

— Dlaczego mam należeć do Brokawa? — spytała drżąc. — Dlaczego Hauck tak twierdzi? Czy... czy mężczyzna może kupić dziewczynę na własność?

Paznokciami wbiła mu się w ciało. Dawid wcale nie czuł bólu.

— Co masz na myśli? — spytał, usiłując zachować spokojne grzmienie głosu. — Czyż ten Hauck ciebie sprzedał?

Zadając pytanie odwrócił od niej wzrok. Nie chciał, by widziała wyraz jego twarzy. Poczynał rozumieć, a raczej poczynał się domyślać okropnej rzeczywistości.

— Ja.., sama nie wiem — mówiła Marge tuż u jego ramienia. --- Przedwczoraj wieczór słyszałam, jak się kłóca, więc podpełzłam do uchylonych drzwi i zajrzałam do środka. Brokaw dał właśnie wujowi woreczek złota, taki sam, jakiego używają poszukiwacze, a zaraz potem dał drugi, przy czym kłął głośno i mówił: „Stanowczo nie warto tyle płacić, ale teraz należy już do mnie” — złękłam się okropnie, nawet nie Brokawa, tylko mego wuja. Uciekłam tej nocy wraz z Tarą. Jak myślisz, dlaczego oni chcą zamknąć Tarę w klatce? Czy Brokaw kupił Tarę, żeby zamknąć?

Dawid przyjrzał się jej uważnie. Oczy miała zmażone trwogą.

— Czy Brokaw kupił Tarę, czy mnie? — nalegała Marge.

— Dlaczego myślisz, że to szło o ciebie? — spytał Dawid. — Czy stało się coś takiego, że możesz przypuszczać...

Poczerwieniała. Porwawszy się na nogi, stanęła przed Dawidem.

— On, ten rudy drab, schwytał mnie przed dwoma tygodniami po ciemku, trzymał i całował. Krzyczałabym, ale to działo się w domu, więc Tara i tak nie mógłby przyjść. Drapałam, walczyłam, a on przegiął mi głowę w tył, aż zabolalo. Próbowałam powtórnie tego dnia, w którym dał złoto wujowi, ale go uderzyłam kijem i uciekłam. Nienawidzę go i on doskonale o tym wie. Wuj kłął na mnie za to, że się przed Brokawem bronie. Dlatego uciekłam.

— Rozumiem — rzekł Dawid wstając i uśmiechając się do ni pogodnie, podczas gdy krew wrzała mu w żyłach niby lawa. — Czy wierzysz, że to co opowiadałam o fotografii, jest szczerą prawdą? To ty sama starałaś się do mnie

przemówić z obrazka, wytłumaczyć, że pośpiech jest konieczny. Przybyłem chyba w samą porę? To będzie dla Brokawa pyszny dowcip i dla twego wuja Haucka także. Dowcip pierwszorzędny! — roześmiał się. Śmiech go porywał, mimo że serce waliło jak szalone — Ty także jesteś pyszna, Marge, ty i twój niedźwiedź.

Odkąd Marge oddaliła się od niedźwiedzia, po raz pierwszy przypomniał sobie o istnieniu wielkiego grizzly. Poszukał go teraz wzrokiem i naraz krzyknął.

Bari i Tara obserwowali się wzajemnie od dłuższej chwili. Dla Bariego było to najdziwaczniejsze zdarzenie w całej dotychczasowej: egzystencji; splaszony pomiędzy dwiema skałami, daremnie usiłował pojąć, dlaczego pan jego nie ucieka albo też nie strzela? Jeśli pan zechce walczyć, on również skoczy mu z pomocą bez namysłu, w przeciwnym razie umknie co siły w nogach. Drżał z niepewności, oczekując jakiegokolwiek wskazówki. Tymczasem Tara zbliżał się powoli. Jego olbrzymi łeb kolebał się to w prawo, to w lewo, w sposób naprawdę przerażający. Paszczę miał rozwartą, a im był bliżej, tym pies wydawał się mniejszy.

Na krzyk Dawida dziewczyna odwróciła się gwałtownie, wybuchając jednocześnie dźwięcznym, wesołym śmiechem. Zestawienie psa z niedźwiedziem było istotnie komiczne, jeśli ktoś nie obawiał się tragicznego końca.

— Tara nic mu nie robi! — upewniła Marge Dawida widząc niepokój. — On bardzo lubi psy. Chce się po prostu pobawić z tym --- jakże mu na imię?

— Bari. A mnie Dawid.

— Dawidzie, o, patrz!

Niby ptak przeleciała przestrzeń dzielącą ją od niedźwiedzia, zanurzyła palce w gęstych kudłach i śmiała się, zanurzona w chmurze ciemnej sierści.

— Chodź! — prosiła, wyciągając do Dawida rękę. \_ Chcę żeby Tara wiedział, że żyjemy w przyjaźni. Ponieważ — tu oczy jej ściemniały --- uczyłam go zabijać, a nie chcę, żeby ciebie skrzywdził.

Zbliżył się ani podejrzewając, w jaki sposób znajomość ta ma być zawarta. Wtem Marge puściła niedźwiedzia, natomiast bez wahania objęła Dawida za szyję i z twarzą tuż u jego twarzy przysunęła się do samego łba wielkiego grizzly. Dobrą minutę miał przed oczami ciężka głowę bestii oraz okrągłe, czerwone, nieruchome ślepia. A Marge mówiła cały czas, nakazując, by Tara nigdy nie krzywdził tego człowieka, cokolwiek by zaszło. Dawid mało rozumiał z jej słów czuł tylko pieszczotę bujnych miękkich włosów na twarzy i szyi. Gdy rozluźniła splot rąk, wyprostował się sztywno i bezwolnie.

— Teraz na pewno ciebie nie ruszy! — zapewniła Marge z dumą. Była zarumieniona, lecz ani trochę nie zmieszana. Oczy miała jasne i czyste. Spoglądał na nią, gdy tak stała przed nim, zupełnie dziecko, a jednak na tyle już kobieta, że gorąco mu się robiło od jej dotknięcia.

Zauważył, że blednie. Spostrzegł znów w jej twarzy zmęczenie. Nie spuszczała oczu z jego plecaka.

— Nie jedliśmy nic, odkąd uciekliśmy z Gniazda — rzekła prosto. ---Jestem głodna.

Słyszał nieraz dzieci mówiące „jestem głodny” takim samym właśnie tonem. Miał szaloną ochotę chwycić ją w ramiona i przytulić nie jak kobietę, lecz jak dziecko. To

pragnienie odebrało mu na chwilę zdolność ruchu i mowy. Marge była pewna, że czeka na dodatkowe wyjaśnienia— Przymocowałam paczkę z jedzeniem do grzbietu Tary ale zgubiliśmy ją zaraz pierwszej nocy — tłumaczyła poważnie. — Miejscami było tak stromo, że chwyciłam Tarę za kudły, a on mnie włókł

Dawid chwycił plecak, otworzył go i począł rozrzucać na białym piasku cały swój skromny zapas prowiantu.

— Kawa, wędzonka, suchary i ziemniaki! — wyliczał, podczas gdy Marge patrzyła oczarowana.

— Kartofle! — wykrzyknęła niedowierzająco.

— Właśnie! Suszone kartofle! Spójrz tylko, są drobno pokrajane i wyglądają prawie jak ryż. Funt tych ziemniaków równa się czterem funtom zwyczajnych. Gdy są dobrze przyrządzone, w smaku nie różnią się niczym od świeżych. A teraz rozpalimy ogień!

Zanim się wziął do roboty, Marge ganiała już to tu, to tam, zbierając w piasku suche patyki. Zwlekał zresztą chwilę, chcąc się jej do woli napatrzeć. Ruchy miała bajecznie zgrabne, najpiękniejsze, jakie widział kiedykolwiek. Drobne nóżki, obute w poszarpane mokasyny, muskały ziemię lekko niby piórka; ciało gięło się z wdziękiem kwiatu. A przecie była znużona śmiertelnie, głodna i nogi miała niewątpliwie obolałe.

Zeszedł w dół do strugi po wodę, a zanim wrócił, Marge spiętrzyła już kopczyk z suchych gałęzi i mchu gotowy do podpalenia. Tara wyciągnął się leniwie w słońcu. Bari zaś leżał nadal między dwoma głazami, nieufnie spozierając na niedźwiedzia. Dawid rozpostarł koc na piasku, kazał dziewczynie usiąść i dopiero wtedy rozpałił ogień. Marge obserwowała go cały czas uważnie. Gdziekolwiek się ruszył, oczy jej biegły za nim. Przyrządzając posiłek pytał o to i owo. Dowiedział się, że Gniazdo jest prywatną osadą handlową, a Hauck jej właścicielem. Handluje przeważnie wódką. Indianie i biali, zarówno poszukiwacze złota, jak i myśliwi, nabywają zawsze chętnie ten zakazany towar. Hauck sprowadza go zimą z wybrzeża morskiego. Latem przywozi baryłki na jucznych komach.

W Gnieździe bawi obecnie wielu poszukiwaczy złota, dziesięciu chyba czy dwunastu. Marge nie obawiała się ich dawniej, za życia ciotki Nisikoos, ale teraz, prócz starej Indianki, która gotuje dla Brokawa, nie ma w Gnieździe ani jednej kobiety. Hauck nie pozwala kobietom mieszkać w osadzie. Więc Marge boi się całej tej zgrai. Oni znów boją się Haucka, który z kolei czuje respekt przed Brokawem. Ach, jakże ona nienawidzi tej bandy zbójów! Póki Nisikoos żyła, było nawet wcale i dobrze. Ciotka uczyła ją czytania i pisania. Umie pisać nie gorzej od ciotki Nisikoos, stwierdziła z dumą. Ale teraz jest naprawdę źle. Wszyscy ci mężczyźni są tacy wstrętni!

— Żaden nie jest taki miły jak pan! — zakończyła ze szczerością zadziwiającą, patrząc na niego błyszczącymi oczyma. — Chciałabym] zawsze być z panem!

Dawid odwrócił się, spoglądając na wielkiego grizzly drzemiącego w słońcu.

## 19. We dwoje

Jedli przypatrując się sobie wzajemnie poprzez płaski, gładki kamień, zupełnie podobny do stołu. W zachowaniu dziewczyny nie było śladu nieufności lub fałszywej pozy. Dawid odczuwał wielką radość widząc jej wspaniały apetyt; skoro posiliła się nieco wędzonką, chlebem, kartoflami i kawą, wyraz jej oczu i całej twarzy uległ zupełnej zmianie. Promieniała szczęściem. Spochmurniała na chwilę tylko, rzuciwszy wzrokiem na zwierzęta.

— Tara od rana opychał się korzonkami — rzekła. — A co pies będzie jadł?

— Zjadł już na śniadanie świstaka — upewnił ją Dawid. — Tłustego jak masło. Teraz zresztą nie ma z pewnością apetytu. Zbyt interesuje go niedźwiedź.

Umilkł i dopiero gdy dziewczyna, skończywszy posiłek, westchnęła zadowolona, spytał:

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że nauczyłaś Tarę zabijać? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Zaczęłam nazajutrz po tym, jak Brokaw schwytał mnie w ramiona i chciał pocałować. Och, jakąż miał wstrętną twarz! — wzdrygnęła się nerwowo. — Umyłam później policzki, wyszorowałam je, ale wciąż czułam jego dotyk. Czuję go jeszcze teraz!

Oczy jej ściemniały, przybierając barwę chmur gradowych.

— Musiałam nauczyć Tarę, żeby wiedział, co ma robić w konkretnym przypadku, ukradłam więc trochę odzieży Brokawa i wyniosłam na małą łączkę. Wypchałam ubranie trawą i zrobiłam taką... jakże to się mówi po angielsku? Indianie nazywają to issena-koossewin.

— Kukłę — podpowiedział Dawid. Skinęła głową.

— Właśnie, kukłę. Potem odeszłam trochę w bok, zaczęłam się z tą kukłą przewracać w trawie i wrzeszczeć. Za trzecim razem, kiedy Tara zobaczył mnie na ziemi krzyczącą i walczącą, uderzył kukłę łapą i rozdarł ją na dwoje. Teraz...

Oczy jej lśniły dzikim podnieceniem.

— Teraz rozdarłby ją na ćwierci! — wołała bez tchu. — Tamto ubranie zeszyłam jako tako, zajęło mi to cały dzień, ale później musiałam jednak wykraść drugie. Dla odmiany wzięłam odzież Haucka. Tara też się z nią rozprawił. Teraz nie radziłabym nikomu mnie ruszać! Nikomu!

Dawid uśmiechnął się przez stół.

— Niezbyt dawno chciałaś walczyć ze mną i wrzeszczeć z mojego powodu. Ładnie bym wyglądał!

— Tak było, zanim przemówiłaś do mnie — sprostowała Marge bez namysłu. — Kiedy usłyszałam twój głos, przestałam się bać od razu. Byłam nawet rada. Nie, nie krzyczałabym teraz, nawet gdybyś mnie chwycił w ramiona, tak jak Brokaw.

Dawid poczuł, że mu krew uderza do twarzy. Wiedział, że się rumieni i nie mógł na to nic poradzić. Wstydział się zarówno rumieńców, jak i myśli, których nie umiał odegnać. Dziewczyna miała oczy czyste i niezmacone, mówiła, co jej przez głowę przeszło, nie bacząc na konwenanse. Nie spotkał jeszcze podobnej istoty, na pół kobiety, na pół dziecka, nimfy górskiej, wyrosłej wśród kwiatów.

— Więc nie będziesz się bała powrócić wraz ze mną do Gniazda?  
— spytał.

— Nie — odparła z niezmierzoną ufnością. — Ale — dodała szybko — wolałabym z tobą uciec. Czyż nie mówiłeś, żeś pokonał całą tę drogę, setki mil, by mnie znaleźć? Skoro mnie znalazłeś, wracajmy!

Wtenczas, możliwie jasno i dostęпно, począł wyjaśniać swój punkt widzenia. Skoro znajduje się pod jego opieką, to ani Brokaw, ani Hauck, ani żaden inny drab, oczywiście, nie uczynią jej już nic złego. Mówił równie szczerze, jak ona mówiła poprzednio. Wytrzeszczyła oczy słysząc, że Hauck z pewnością nie jest jej wujem oraz że kobieta, którą Dawid spotkał niegdyś w pociągu, ma do niej jakieś prawo. Należy sprawdzić, kim jest ta kobieta i w jaki sposób fotografia trafiła w jej ręce, a tego można się dowiedzieć tylko w Gnieździe od Haucka. W powrotnej drodze udadzą się nad brzeg morza, gdyż tak będzie najwygodniej. Hauck i Brokaw nie poważą się czynić żadnych przeszkód, chcąc uniknąć zatargu z policją, która zwróciwszy raz uwagę na nielegalny proceder, zlikwidowałaby go nader szybko. On i Marge są zatem panami sytuacji.

Dziewczyna słuchała z błyszczącymi oczyma. Pochyliła się nieco poprzez wąską skałę, tak iż lśniące jej kędziory falowały tuż u jego twarzy; wtem, wyciągnąwszy ręce, obu dłońmi musnęła jego policzki.

— Ale zabierzesz mnie stamtąd na pewno? Obiecujesz?

— Kochanie, po to przecie przybyłem — odpowiedział Dawid bez wahania. — Tysiąc pięćset mil jedynie po to! Wierzysz mi przecie? Pamiętasz, co ci opowiadałem o fotografii?

Skin ę ła głow ą.

— Tak.

Cofnęła się nieco, spoglądając na niego tak uważnie, tak badawczo, że nie mogąc wytrzymać jej wzroku, odwrócił oczy na chwilę.

— Rozmawiałeś ze zdjęciem? — spytała. — Wydawało ci się żywe?

— Najzupełniej żywe, Marge.

— Marzyłeś o mnie?

Jakże trudno było dać odpowiedź; wolałby mieć do czynienia z osobą znacznie starszą lub znacznie młodszą. Powiedział jednak uczciwie:

— Tak.

Obawiał się, iż usłyszy jeszcze jedno pytanie, znacznie gorsze, lecz na szczęście uwagę Marge zaprzątnęło co innego. Dziewczyna zerwała się na nogi, odrzuciła włosy do tyłu i podbiegła do Tary. Dawid domyślał się jedynie słów, które szepcze do ucha potwora, obejmując ramionami jego kudłaty kark. Wstał również i począł sprzątać resztki obiadu oraz porządkować sprzęt. Uśmiechał się przy tym sam do siebie. Nie spodziewał się nigdy podobnego spotkania. Cóż dziwnego, że na razie stracił głowę. Lecz teraz sytuacja wydała mu się zabawną, choć nie pozbawioną dreszczyka niebezpieczeństwa. Hauck i Brokaw należeli z pewnością do marginesu społecznego, na co wskazywałby uprawiany przez nich proceder: nielegalny handel wódką. Mimo to wierzył, że jakoś dojdzie z nimi do ładu. Kończył właśnie pakować plecak, gdy Marge, porzucając niedźwiedzia, podeszła znów do niego.

— Jeśli mamy przedostać się przez tę górę za widoku, należy się spieszyć — rzekła. — Spójrz, jak to wysoko.

Palcem wskazała przełęcz w północnym łańcuchu, nieco niżej ośnieżonych szczytów.

— Nocą jest tam bardzo zimno — dodała.

— Czy potrafisz tam dojść? — powątpiewał Dawid. — Czy nie jesteś zbyt zmęczona? Czy nogi cię nie bolą? Wolałabyś może wypocząć do rana?

— Och, doskonale dam sobie radę! — zawołała Marge zapalczywie. — Wgramolę się na sam wierzchołek, będę szła całą noc, by powiedzieć Brokawowi i Hauckowi, że już do nich nie należę i że pożegnam ich teraz na zawsze. Brokaw się wścieknie, ale zanim odejdę, to mu jeszcze oczy wydrapię.

— Na miłość boską — jęknął Dawid.

— Tak! A jeżeli Hauck będzie kłął, to i z nim zrobię to samo! Zrobię zresztą tak za karę, że był niedobry dla Nisikoos.

Dawid obserwował ją z niepokojem. Odwróciła się bokiem i spoglądała na daleką przełęcz, a jej drobna sylwetka prostowała się zuchwale na myśl o walce. Odezwała się znów:

— Zresztą nie poważą się kłąć ani mnie ruszyć, gdy ty będziesz obok — stwierdziła z bajeczną wiarą.

Odwróciwszy się niespodzianie, dostrzegła wyraz jego twarzy. Uspokoiła się od razu. Nieśmiało dotknęła ramienia Dawida.

— Nie chcesz, abym wydrapała im oczy? — spytała. Potrząsnął głową przecząco.

— Oczywiście, że nie. Należy być ostrożnym. Nie powinni nawet odgadnąć, że uciekłaś. Powiemy, że wybrałaś się za daleko i zabłądziłaś w górach.

— Ja nigdy nie zbłądzę — zaprzeczyła.

— A jednak powiemy im tak — nalegał. — Dobrze? Majestatycznie skinęła głową.

— Zanim ruszymy, wytłumacz mi jeszcze, dlaczego ciebie nie ścigano.

— Ponieważ przyszedłam tędy — znów wskazała przełęcz ręką. — To lita skała, więc Tara nie pozostawił żadnych śladów. Ani im przez głowę nie przeszło, że jestem tu. Szukali raczej w drugiej dolinie, jeśli szukali w ogóle. Teraz musimy się znów przedostać tamtędy. Ale gdybym była sama, to poszłabym tam!

Odwróciła się wskazując południe.

— Dlaczego właśnie tam?

— Bo tam mieszkają ludzie. Słyszałam, jak Hauck to mówił.

— Czy słyszałaś, aby kiedy wspominał nazwisko Tawish? — spytał obserwując ją uważnie.

— Tawish? — kuliście wydeła wargi, przy czym między jej oczyma pojawiły się zmarszczki głębokiego skupienia. — Tawish? Nie, nie słyszałam.

— Mieszkał niegdyś nad strugą Firepan i chorował na ospę — dopomagał Dawid.

— To straszna choroba! — wzdrygnęła się Marge. — Indianie mrą na nią masami. Hauck mówił, że oboje moi rodzice umarli na ospę, kiedy jeszcze byłam

zupełnie maleńka i nic nie pamiętam. On tak twierdzi. Ale ja jednak pamiętam niby we śnie. Widzę czasem twarz kobiety, chatę, śnieg, wiele psów. Czyś już gotów do drogi?

Zarzucił plecak na ramiona i gdy dopinał rzemienie, Marge podbiegła do Tary. Na jej rozkaz niedźwiedź wstał z wolna, kołysząc łbem to w prawo, to w lewo. Dawid przywołał Bariego; pies przyskoczył błyskawicznie i oparty o nogę pana zawarczał z pasją.

— Cicho, cicho — uspokajał go Dawid. — Jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi. Spójrz tylko.

Podszedł wprost do niedźwiedzia, usiłując skłonić psa do uczynienia tego samego. Bari poszedł do połowy drogi, lecz potem, kucnąwszy, stanowczo odmówił posłuszeństwa. Wyglądał na tak strapionego, że Marge wybuchnęła śmiechem, a Dawid poszedł za jej przykładem. Śmiał się zresztą nie tyle z Bariego, ile z Marge.

W następnej chwili przekonał się, iż Tara służy nie tylko do wzbudzania strachu, ale jest także użyteczny w inny sposób. Dziewczyna skoczyła mu na grzbiet i siedząc bezpiecznie w gęstych kudłach, pochylona nieco ku przodowi, targała zwierzę za lewe ucho. Niedźwiedź obrócił się z wolna, a gdy łeb jego przyjął odpowiedni kierunek, Marge puściła ucho i przemówiła rozkazującym tonem, tłukąc jednocześnie stopami po bokach.

— Neah. Tara, neah!

Po krótkiej chwili wahania czy też namysłu, wielki grizzly ruszył wprost ku przełęczy, dźwigając na grzbiecie swój ciężar. Dziewczyna odwróciła się, kiwając dłonią na pożegnanie.

— Pao, śpiesz się! — zawołała, wybuchając śmiechem na widok jego zdumienia.

Dawid zamierzał właśnie zapalić fajkę, lecz przez parę minut zapomniał po prostu, że trzyma ją w ręku. Nie mógł oderwać oczu od potwornej bestii ani od kruszyny siedzącej na kudłatym grzbiecie. Bariemu ślepia wylaziły z orbit.

Tara kłusował kołyszącym krokiem, typowym dla niedźwiedzi, a dziewczyna stanowiła piękną, nieodłączną od niego całość. Była po prostu zjawiskiem niezwykłym. Włosy spływały jej po plecach jak prześwietlona słońcem kaskada. Śmiała się, rozmawiając z dziwnym wierzchowcem. W połowie przełęczy odwróciła się znów, drwiąco machając ku niemu ręką. Potem znikła za skalnym występem.

Nielatwo było dotrzymać jej kroku; Dawid zadyszał się w ciągu paru minut. Gdy wreszcie zmachany zobaczył ją ponownie, siedziała w cieniu skały, przypatrując się jego wysiłkom. Z ironiczną powagą rzekła:

— Bardzo mi przykro, Sakewawin — tu przesłoniła zupełnie oczy jedwabistą firanką rzęs — ale nie mogłam namówić Tary, by szedł wolniej. Jest głodny i dobrze wie, że wraca do domu.

— A ja wierzyłem, że cię nogi bolą — jęknął Dawid.

— Nie jeżdżę na nim nigdy w dół z boczka — odparła, wysuwając ku przodowi drobne, pokaleczone nogi. — Nie mogę się utrzymać na jego grzbiecie i zawsze zsuwam się przez głowę. Musisz iść na przedzie, wtenczas Tara nie będzie tak gwał.

Zastosował się do jej wskazówek, lecz Tara dosłownie następował mu na piętę, a chwilami czuł, jak gorący oddech zwierza parzy go w plecy. Gdy dotarli do szczytu

schodzili w dół, Marge szła u boku Dawida. Następny stok, na przestrzeni pół mili, okazał się wyjątkowo łagodny, był przy tym porośnięty krótką, miękką murawą. Potem wróciły głazy i żwir, a powietrze ochłodziło. Ruszyli w drogę o pierwszej, o piątej znaleźli się w krainie wiecznego śniegu. O szóstej stanęli u szczytu. W dole leżała dolina Firepan, rozległa, słoneczna, porośła z rzadka lasem, pokryta smugami łąk. Dziewczyna wskazała kierunek północno-zachodni.

— Tam znajduje się Gniazdo. Gdyby nie ta ruda skała moglibyśmy je dojrzeć.

Była najwidoczniej bardzo znużona, jakkolwiek co najmniej dwie trzecie drogi odbyła na grzbiecie Tary. Miała podkrążone oczy, skoro zaś owiał ich zimniejszy wiatr, przytuliła się, drżąc, do ramienia Dawida. Chcąc ochronić ją przed chłodem na wyżynach, Dawid już wcześniej przyodział ją w swoją zapasową wełnianą koszulę, a na głowę dał jej chustkę, w którą dawniej owijał fotografię. Wyglądała wzruszająco i dziecinnie. Mężczyzna wskazał w dół, kędy w odległości pół mili rozpoczynał się pierwszy zagajnik.

— Tam rozbijemy obóz i zjemy kolację. Sądzę, że na tej wysokości ogień powinien się już palić. Jeśli nie możesz jechać na grzbiecie Tary, te cię zniosę.

— Nie dasz rady — westchnęła Marge, opierając na sekundę głowę na jego ramieniu. — O wiele trudniej jest nieść ciężar w dół niż w górę.

Zanim zdołał ją zatrzymać, ruszyła przodem. Schodzili szybko, trzykrotnie szybciej niż wspinali się pod górę, lecz gdy po upływie pół godziny znaleźli się w zadrzewionej kotlinie, Dawid czuł się, jakby miał złamany kręgosłup. Dziewczyna, idąc przedtem niestrudzenie, padła u stóp pierwszej napotkanej jodły. Źrenice miała pociemniałe i rozszerzone ze znużenia, uśmiechała się jednak do ostatka.

— Będiesz mnie mógł nieść czasem, ale nigdy w dół — powiedziała sennie, wyciągając się w trawie i opierając głowę na rękę w ten sposób, że nie mógł widzieć jej twarzy. — A teraz przygotuj kolację, Sakewawin.

Dawid przede wszystkim okrył ją derką i dopiero później zabrał się do roboty. Zauważył, że Tara szuka już korzonków, ale Bari trzymał się pilnie nóg swego pana. Dawid znalazł w pobliżu strugę, spływającą spod śnieżnych szczytów i nagromadziwszy na brzegu znaczną ilość suszu, zreżnicie rozpałił ogień. Potem usłał miękkie łóżko z łapek jodłowych i wrócił do Marge. W ciągu jego półgodzinnej nieobecności dziewczyna usnęła. Delikatnie wziął ją na ręce i z bezwładu ciała zrozumiał, jak dalece jest wyczerpana. Spała nadal, gdy kładł ją na pościeli.

Zbudził ją dopiero na kolację, po zachodzie słońca. Ognisko płonęło jaskrawo. Tara przypominał skalny wyłom, leżąc w pobliżu ogniska, Bari zaś warował tuż przy ogniu. Marge usiadła i przetarłszy oczy spojrzała na Dawida.

— Sakewawin — szepnęła, rozglądając się ze zdziwieniem.

— Kolacja — uśmiechnął się Dawid. — Pracowałem podczas twojej drzemki. Czy głodna jesteś, panienczko?

Umieścił zapasy w ten sposób, że nie potrzebowała wstawać do jedzenia. Plecy podparł jej okrągłym pniakiem, dla wygody okrytym jeszcze derką. Była jednakże tak znużona, że jadła niewiele. Oczy miała przymglone i na wpół przytomne. Gdy skończyła się posilać, Dawid zabrał pniak, spiętrzył natomiast łapki jodłowe tak, że tworzyły poduszkę i kurząc fajkę rozmawiał z nią chwilę. Chciał się dowiedzieć wielu rzeczy.

Nasamprzód spytał, dlaczego uciekła tak lekkomyślnie, mając na nogach jedną parę mokasynów i jedną tylko sukienkę na grzbiecie.

— Zapasową odzież umieściłam w zawiniątku, które niósł Tara na grzbiecie — odparła Marge sennie. — Ale zgubiłam je w drodze.

Teraz Dawid opowiedział jej o ojcu Rolandzie. Słuchała, coraz bardziej spuszczać powieki na oczy, a jej rzęsy tworzyły na policzkach półkoliste czarne cienie. Dawid podziwiał ich długość, wyglądały jak płatki bajecznego ciemnego kwiatu, stulające się na noc. Unosiły się czasem, ukazując głębokie modre oczy i zamykały znów. Na wargach błąkał się leciutki uśmiech. Gdy spojrzała na niego po raz ostatni, oglądał właśnie fotografię, trzymając obrazek w pełnym świetle płomieni. Zdawało się, iż ten widok przebudził ją całkowicie.

— Rzuć to do ognia — poprosiła. — Brokaw zmusił mnie, żebym się dała sfotografować, ale nienawidzę tego obrazka, tak jak nienawidzę Brokawa. Spal to zaraz.

— Nie mogę tego zrobić — tłumaczył. — Czyż nie rozumiesz, że to jest mi potrzebne.

— Od dziś już ci wcale potrzebne nie jest. Przymknęła znów powieki.

— Dlaczego? — spytał, pochylając się niżej.

— Bo przecie, Sakewawin, teraz masz już mnie — odparła sennie, a rzęsy na policzkach znieruchomiały.

## 20. W Gnieździe

Choć Marge dawno już usnęła, Dawid rozważał wciąż treść tych paru słów, które powiedziała usypiając. Dziewczyna darzyła go wiarą niezgłębioną i ufnością rozbijającą. Po cóż mu fotografia, skoro ma ją? Mówiła to z całym przekonaniem, używając słów prostych, płynących z głębi duszy. Spojrzał na śpiącą i po raz pierwszy naszyły go złe przecucia, jak gdyby w pobliżu czało się jakieś nieszczęście. Lecz równocześnie przeniknęła go rozkosz posiadania. Leżała przecie pod jego derką; pochylił się i bez obawy odsunął z jej twarzy gęstwę loków. Były sprężyste i miękkie w dotknięciu, więc pieścił je chwilę, przyglądając się jednocześnie ślicznej twarzyczce.

Począł rozumieć, że wziął na swe barki ciężkie brzemię, o którym to dziecko nie ma oczywiście najmniejszego pojęcia. I zaufała mu bezgranicznie. Jakże ogromnie musi mu wierzyć, jeśli dobrowolnie wraca do tych, którzy napawali ją trwogą i wstrętem. Wraca nie tylko bez obawy, ale nawet z pewnym zuchwałym rozradowaniem. Słyszał prawie, jak mówi zaczepnie do Haucka i Brokawa: „Wróciłam! Niech mnie teraz który dotknie, niech się odważy”!

Usiłował sobie wyobrazić tych dwu drabów zgodnie z opowieścią Marge. Był pewien, że po dziecinnemu przesadziła trochę. Ich konszachty dotyczyły z pewnością czegoś innego. Lecz przypomniał sobie, jak Brokaw chwycił ją w ramiona, przegiął głowę w tył, aż bolało, i pocałował. A Hauck kłął na nią, że się przed Brokawem broni. Czyż nie był to dowód oczywisty zbrodniczych zamiarów?

Bari wpełził między kolana Dawida, wtedy człowiek zacisnął palce na karku psa tak silnie, aż zwierzę zaskomliło. Dawid odtrącił go, wstał i dłuższą chwilę bacznie obserwował śpiącą. Wreszcie mruknął sam do siebie:

— Kobieta. Kobieta, a nie dziecko.

Zaprzagnął jak najszybciej iść do Gniazda. Nie tęsknił nigdy do walki wręcz, chyba że dla sportu. Bijatykę uważał za barbarzyństwo i w zapasach bokserskich nie wykorzystywał swej przewagi nad innymi zapaśnikami. Teraz z gruntu zmienił zdanie. Palce swędziły go nerwowo, gdy wyjął z plecaka rewolwer. Nabił go i umieścił w kieszeni, z której łatwo mógł broni dosięgnąć. Potem wyciągnął się przy ognisku i zasnął.

Zbudził się o brzasku, a nim słońce zabarwiło na różowo szczyty gór, zstępowali już w dolinę. Poprzednio pożyczył dziewczynie swój grzebień i szczotkę, po czym dobry kwadrans obserwował, jak wyczesuje z włosów mech i liście, rozplątuje je i wygładza, by w końcu spuścić na ramiona niewiarygodnie bogaty płaszcz. Związała go na karku skrawkiem rzemyka, lecz idąc w ślad za nią po stoku widział, że nieposłuszna fala zwija się znów w loki i wicherzy.

Po upływie godziny znaleźli się w dolinie, gdzie siedli na krótki wypoczynek, podczas gdy Tara szperał wśród skał w poszukiwaniu susłów. Krajobraz wkoło przypominał ogromny park. Zielone łągi docierały niemal do szczytów górskich, przysłonięte u podnóża zagajnikami jodeł i sosen, rozmieszczonymi tak kunsztownie, jakby brały w tym udział ręka i umysł ludzki. Ś rodkiem biegła otwarta preria, porośła jedynie tu i ówdzie kępami rudej wierzby oraz krzakami kwitnących różowo głogów, pomiędzy którymi przewijał się modry strumień.

To był dom Marge. Opowiadała mu o nim, on zaś słuchał nie przerywając. Wskazując palcem siwy stok pobliskiej góry tłumaczyła, jak przed pięciu laty znalazła tam Tarę, maluskiego niedźwiadka, który zapewne odłączył się od matki. A może to Indianie zabili starą niedźwiedzicę? Ta urwista, skalna grań to drożyna, po której uciekała przed paru dniami. Musiała się jednak okropnie bać, myślał Dawid, skoro odważyła się na taką przeprawę.

— Posłuchaj Marge — powiedział wskazując rudawy masyw skalny na przedzie — więc tam jest Gniazdo? Jak myślisz, co pocniemy, skoro się znajdziemy na miejscu?

Zmarszczyła czoło, patrząc na niego uważnie.

— Cóż, powiemy im wszystko.

— Na przykład?

— Że przyszedłeś po mnie, Sakewawin, i że odchodzimy razem.

— A jeśli będą protestować? Jeśli Hauck lub Brokaw powiedzą, że musisz zostać z nimi?

— Pójdziemy sobie mimo to, Sakewawin.

— Ładne imię dałaś mi, dziewczuszko — powiedział Dawid, myśląc zresztą o czym innym. — Lubię, gdy mnie tak nazywasz.

Zarumieniła się po raz pierwszy i to tak gwałtownie, że twarzyczka jej przypominała barwę kwiat głogu. Dawid dodał:

— Nie powinnaś opowiadać im od razu wszystkiego, Marge. Mów, żeś zbłądziła w górach i ja cię znalazłem. Muszę wpierw zobaczyć, co to za typy z tego Haucka i Brokawa.

Skinęła głową na znak zgody, lecz wzrok miała niepewny i nerwowo przetykała ślinę.

— Dobrze, Sakewawin, ale nie pozwolisz im przecie mnie zatrzymać? Obiecuj, że cokolwiek będą mówić, nie uwierzysz im, tylko mnie.

Dawid wybuchnął śmiechem i zerwawszy się z ziemi uniósł do góry brodę Marge.

— Możesz być zupełnie pewna, że cię tam nie zostawię samej. Chodź, chcę się zmierzyć jak najprędzej z tymi dwoma drabami.

Dawid dziwił się trochę, że nie spotykają w dolinie nikogo, że nie natknęli się jeszcze na żadną ekspedycję poszukującą zaginionej. Marge wytłumaczyła mu jednak, że cały ruch do osady i z powrotem odbywa się w kierunku północnozachodnim, co do niej samej zaś, to od śmierci Nisikoos nocowała nieraz w górach wraz z Tarą, więc krótka nieobecność nie powinna była wzbudzić niepokoju. Bała się pościgu jedynie ze względu na transakcję zawartą między Hauckiem i Brokawem.

— Widywałam już białych ludzi kupujących dziewczyny indiańskie — rzekła naraz. — Płacili za nie butelkami whisky. Którejś nocy podsłuchałyśmy wraz z Nisikoos taką rozmowę. Hauck przehandlował pewną dziewczynę za małe kawałki złota. Nisikoos okropnie bała się Haucka. Jeśli go się tak bała, to dlaczego z nim żyła? Czy ty to rozumiesz? Ja bym dawno uciekła na jej miejscu.

Potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie potrafię ci tego objaśnić.

Zamilkli oboje i milczeli czas dłuższy, kierując się wciąż w stronę rudego górskiego masywu.

Zjedli południowy posiłek u stóp zbocza. Po południu Marge niemal cały czas jechała na swoim niedźwiedziu. Kolację spożyli o zachodzie słońca. Gniazdo było jeszcze odległe o trzy mile, toteż gwiazdy wyroiły się już na niebo, zanim dotarli do skraju zalesionej płaszczyzny, wśród której Hauck założył swą osadę. Ze szczytu małego pagórka dostrzegli pierwsze światła. Dziewczyna stanęła, kurczowo chwytając ramię Dawida. Światel było cztery. Potem w głębi zabłysło jeszcze jedno, nieco przyćmione. Ozwały się głosy: stłumiony huk tamtamu i okrzyki. Na tle płomieni migwały czarne sylwetki. Marge gniotła ramię Dawida coraz silniej.

— Indianie są w osadzie — szepnęła.

Zdradzała pewien niepokój, choć nie był to wyraźny lęk. Dziwiła się przede wszystkim. Spojrzała na Dawida szeroko rozwartymi oczyma. Zagadnęła:

— Dlaczego Indianie przyszli?

— Nie wiem — odparła Marge półgłosem.

Ruszyła w dół zbocza, Dawid pośpieszył za nią. Tara i Bari zamykali pochód. W głębi, poza obozem czerwonoskórych, zaznaczyła się ciemna plama i Dawid odgadł, iż jest to właśnie Gniazdo. Rozróżnił w mroku niski, długi nieoświetlony budynek. Potem wkroczyli między płonące stosy.

Pojawienie się ich wywołało natychmiastowy efekt. Tamtamy ucichły. Umilkły głosy. Zewsząd patrzyły brązowe twarze. Było ich z pół setki i ani jednego białego oblicza, sami Indianie: szczupli, ciemnoocy, posępni. Dawid wyczuł, że bardziej interesuje ich on sam niż dziewczyna. Przeszywali go po prostu wzrokiem. Marge szła przodem obojętna, nie zwracając głowy ani w prawo, ani w lewo. Skręcili za węgiel wielkiej budowli i tam zobaczyli światło oraz posłyszeli głosy. Marge przywołała Tarę w jakiś kąt; szczerknęła metalicznie łańcuch. Po chwili dziewczyna wróciła sama.

— Ś wieci się w izbie Haucka — rzekła. — To jego biuro, gdzie załatwia wszelkie transakcje. Mam nadzieję, Sakewawin, że są tam obaj: Hauck i Brokaw — chwyciła Dawida za rękę i trzymając silnie wiodła dalej w mrok. — Ciekawa jestem, skąd się tu wzięło naraz tylu Indian? Nie wiedziałam wcale, że mają przybyć. O tej porze roku nie gromadzą się nigdy w takiej liczbie.

Czuł, że jest podniecona; jej głos drżał nerwowo. Lecz nie Indianie ją obchodzili ani ich niespodziana obecność. Oszałamiał ją triumf, bliskość najpiękniejszej w życiu chwili. Miała nadzieję, że obaj, Hauck i Brokaw, są tu, pod ręką. Że się zaraz z nimi policzy. Nadszedł kres niewoli, nie jest już sama, opuszczona, zaszczuta, ma opiekuna i obrońcę. Energicznie zaciskała palce na dłoni mężczyzny. W świetle mijanego okna jej oczy zalśniły odważnie. Dawid pochylił się ku niej i szepnął:

— Bądź ostrożna. Pamiętaj.

— Pamiętajam — odszepnęła mu.

Była to ostatnia przestroga, jakiej mógł jej udzielić. Drzwi otworzyły się skrzypiąc i weszli do długiej, mrocznej sieni, rozjaśnionej tylko jedną lampą olejną, kopnącą niemożliwie. Ta sień dopiero dawała pojęcie o ogromie całego budynku. Z głębi, przez uchylone drzwi, dolatywały donośne głosy oraz woń tytoniu. Buchnął szorstki śmiech i przekleństwa. Marge zbladła.

— Odkąd Nisikoos umarła, jest coraz gorzej — rzekła. — Zbierają się tu całe gromady kupców, traperów i piją, i grają w karty, i klną, przede wszystkim klną. Te drzwi prowadzą do mojego pokoju i Nisikoos — wskazała ręką drzwi, obok których stali właśnie. — A te — wskazała dalsze drzwi — są od pokoju Haucka.

Dawid zdjął plecak i umieścił go na podłodze, kładąc w poprzek fuzję. Skoro się wyprostował i poszukał wzrokiem Marge, zobaczył, jak nasłuchuje u drzwi Haucka. Skinąwszy na mego zapukała do drzwi i otworzyła je. Dawid wszedł za nią. Przekraczając próg zauważył tylko, że izba jest bardzo duża. Potem zobaczył stojący pośrodku stół i wiszącą nad nim lampę z blaszanym reflektorem. W jej świetle siedzieli dwóch ludzi. Dawid odgadł od razu, którym jest Hauck, a którym Brokaw. To Brokaw niewątpliwie był zwrócony do nich twarzą; typ tak ohydny, że Dawid znienawidziłby go nawet wtedy, gdyby nic o nim nie słyszał. Duży, tęgi, z wielką czerwoną twarzą i wodnistymi, zdumionymi oczyma. Najwidoczniej nie słyszeli stukania Marge, gdyż dopiero po chwili drugi mężczyzna wolno obrócił się na krześle. To był Hauck. O połowę mniejszy, barczysty, z wejrzeniem dziwnie okrutnym. Na widok dziewczyny i obcego na poły uniósł się z siedzenia. Kurczowo, z dosłyszalnym prawie trzaskiem, zacisnął szczęki.

Lecz Dawid patrzył przede wszystkim na Brokawa. Drab był pijany. Co do tego nie mogło być dwóch zdań. W potężnej garści trzymał zresztą flaszkę whisky. Hauck zapewne odczytywał coś przed chwilą z notesu, który miał jeszcze przed sobą otwarty.

Marge zaczęła mówić i Dawida uderzył spokojny ton jej głosu. Opowiadała, że zawędrowawszy w jedną z dalszych dolin, zbłądziła, a obcy ją tam znalazł. Był dla niej dobry i odprowadził ją tu, gdyż idzie do pewnej osady nad morzem i było mu to po drodze. Nazywa się...

Nie zdołała powiedzieć nic więcej. Brokaw zdjął z Marge łapczywe wejrzenie i wlepił oczy w Dawida. Wtem porwał się na nogi zdziwiony bardzo, choć inaczej niż poprzednio, wyciągnął łapę i ryknął:

— MacKenna!

Zwracał się wprost do Dawida, nazywając go niby po imieniu. Głos miał przyjazny. MacKenna! Dawid otworzył już usta, chcąc pomyłkę sprostować, gdy nagle coś go oświeciło.

Dlaczego nie ma pozostać MacKenna? Dziewczyna spojrzała na Dawida pytająco, w oczekiwaniu wskazówki. Skinął głową i uśmiechnął się do Brokawa. Olbrzym okrążył stół, wciąż wyciągając w stronę gościa wielką szkarłatną prawicę.

— Mac! Przecie chyba mnie nie zapomniałeś?! Dawid ujął podaną rękę.

— Brokaw! — zaryzykował.

Drab miał rękę chłodną jak kawał padliny, uścisk natomiast pełen siły żywotnej. Hauck wodził oczyma od jednego do drugiego, wtem Brokaw obrócił się do współnika:

— Ty, słuchaj, to jest MacKenna, ten młody czort z osady Wierzgającego Konia. Wspominałem ci o nim nieraz...

Marge cofnęła się do progu. Była bardzo blada, oczy jej błyszczały gorączkowo, a gdy Brokaw puścił wreszcie dłoń Dawida, dziewczyna rzekła głośno i wyraźnie:

— Dobranoc, Sakewawin.

Ton brzmiał szczególnie wyzywająco. Marge uśmiechnęła się do Dawida i wyszła. Hauck podążył za nią. Lecz Brokaw tkwił oparty brzuchem o stół, oburącz ciskając kurczowo jego krawędzie, z twarzą zniekształconą przez zwierzęcą wściekłość. Dawid uczył dreszcz strachu; opasły zbior miał w oczach mord. Przyczyna tak nagłej zmiany była niepojęta zupełnie. Kilkanaście sekund upłynęło w całkowitej ciszy. Wtem Brokaw pochylił się ku przodowi, ręce zwarł w pięści i rzekł syczącym szeptem:

— Dlaczego ona nazwała cię Sakewawin? Dlaczego? Co miała na myśli?

Głos Brokawa stracił zupełnie pijacką rozlewność. Był to głos człowieka żądnego mordu.

## 21. Brokaw gada

**D**laczego nazwała cię Sakewawin, hę, dlaczego?!

Brokaw ozwał się znów, powtarzając pytanie. Podszedł bliżej do Dawida. Oczy miał po prostu straszne. Dawid rozmyślał gorączkowo. Sakewawin? Pojęcia nie miał, co oznacza to dzwiczne imię. Poprzednio sądził, iż jest to po prostu wymysł Marge. Lecz dlaczego Brokaw tak się wścieka? Widać słowo ma jednak jakiś sens. Olbrzymem powodowała zazdrość. Należało ją ugasić momentalnie lub przyjąć natychmiastową,

nierówną walkę. Dawid powiedział zatem spokojnie, z dobrze markowanym zdziwieniem:

— Czyż to słowo nie było przeznaczone dla ciebie, Brokaw? Strzał był celny.

Dawidem powodowało zresztą raczej przecucie niż

logika. Również przecucie kazało mu przyjąć na siebie osobowość tajemniczego MacKenny. Los podsuwał mu sposób działania. Gdyby mógł teraz zabawić czas dłuższy w towarzystwie na poły pijanego draba, wyciągnąłby z niego niejedną cenną informację. Chodziło jednak o całkowite pozbycie się Haucka; ten był nieomal trzeźwy, a przebiegłe i okrutne jego oczy nie wróżyły nic dobrego.

Uważnie, choć nieznacznie, Dawid śledził wrażenie, jakie słowa jego wywarły na Brokawie. Olbrzym rozluźnił pięści, a całe jego ciało zmiękło, jak gdyby sflaczało. Dawid uśmiechnął się mimo woli. Poczł się bezpieczny. Ta fasa, do trzech czwartych wypełniona wódką, zdradzała niesłychaną łatwowierność. Przy tym szkliste, jak gdyby przesłonięte wodą oczy musiały widzieć niezbyt dobrze, mimo że słuch okazał się dostatecznie bystry.

— Patrzała przecie na ciebie, wyraźnie na ciebie, mówiąc dobranoc — dodał Dawid.

— Czy jesteś tego pewien? Czy jesteś tego zupełnie pewien, Mac? Dawid skinął głową twierdząco, jakkolwiek wzdłuż pleców przebiegł mu niemły dreszczyk. Brokaw uśmiechnął się szeroko.

— Diabeł nie dziewczyna! No, mówię, istny diabeł!

— Ale co oznacza to słowo? — spytał Dawid, odwracając nieco twarz od światła — Sakewawin? Słyszę je po raz pierwszy.

Brokaw spojrział na niego jakby ze zdziwieniem.

— Gdy dziewczyna mówi to słowo, to oznacza, że należy do ciebie — rzekł. — Po indiańsku „sakewawin” oznacza własność. Oczywiście masz rację. To było przeznaczone dla mnie. Marge stanowi moją własność. A ja głupi, myślałem...

Wziął ze stołu butelkę i niepewną ręką nalał pół szklanki płynu.

— Pij, Mac!

Dawid potrząsnął głową przecząco.

— Teraz nie. Chodźmy do twojej chaty. Chciałoby się wspomnieć dawne dzieje. Wierzgającego Konia i resztę. No i ta dziewczyna. Trudno dać wiarę. Ale jeśli to prawda, to masz stary szczęście.

Dawid nie zastanawiał się wcale nad konsekwencjami. Nie myślał o jutrze, tylko dzień dzisiejszy coś znaczył. Ach, wyciągnąc z Brokawa jak najwięcej informacji, póki się da. Ta góra mięsa podlanego alkoholem była łatwą zdobyczą. Byłe Hauck nie pokazywał się jak najdłużej.

— Dalibóg, szczęściarz z ciebie, prawdziwy szczęściarz — powtarzał Dawid, a Brokaw promieniał dumą i zadowoleniem. — Co za dziewczyna! Co za piękność! Istny anioł! Nie do uwierzenia po prostu. Ależ ci się udało!

Rozpalony pochwałami i trunkiem, bełkocąc wyrazy bez związku, Brokaw łyknął porcję wódki przeznaczoną dla Dawida, dolał sobie powtórnie i poczał się wywnętrzać. Anioł, ma się rozumieć! Przecie od lat hoduje ją dla siebie. Należy do niego tylko i nikt nie ma tu nic do gadania. Od dawien dawna czeka by dorosła. Jeśliby

posłyszał, że nazywa kogoś Sakewawin, zabiłby go bez chwili wahania. Nie zbił, tylko zabił. Dobrze, pójdą do chaty, pogadają.

Wypił po raz trzeci. Idąc przez sień zataczał się gwałtownie. Krocząc obok Dawid myślał, że wszystko pójdzie dobrze, o ile nie spotkają Haucka. Sień była na szczęście pusta. Dawid wziął fuzję, plecak i podał pijakowi ramię. Na zewnątrz otoczyła ich kompletna ciemność. Sto metrów dalej Brokaw przystanął znowu, tuż obok czegoś, co w mroku przypominało wysoką zagrodę z mocnych bali. Dawid domyślał się, iż jest to klatka, o której wspominała Marge.. W środku coś się poruszyło mrucząc i dysząc ciężko.

— Grizzly — tłumaczył Brokaw, usiłując zachować równowagę. — Jutro mamy walkę niedźwiedzi, Mac. Jej niedźwiedź i mój. Piękne widowisko! Pierwsza klasa! Ludzie zbiegli się patrzeć! Wyobraź sobie tylko ją, moją ślicznotkę, kiedy ten miś rozszarpie Tarę. To się dopiero wścieknie mała! Stawiam sto dolarów, że mój zwycięży!

— Jutro — odparł Dawid flegmatycznie. — Pogadamy jutro. Po co zakładać się zawczasu? Gdzież twoja chata?

Chciał się w niej znaleźć jak najprędzej, choć równocześnie miał nadzieję, że od głównego budynku dzieli ją znaczna przestrzeń. Bał się, że lada moment usłyszy głos Haucka lub jego kroki. Wiedział, że jego obecność zepsuje wszystko. Brokaw był gadułą. W ciągu krótkiej chwili zdążył wyjaśnić dlaczego zbudowano klatkę oraz skąd się wzięli Indianie. Klatka stanowiła arenę walki; czerwonoskórzy zaś ściągnęli w charakterze widzów. Dawid dziwił się tylko, że Brokaw zamierza dobrowolnie poniżyć się jeszcze bardziej w oczach dziewczyny. Skoro wreszcie znaleźli się w chacie, zagadnął go nawet na ten temat. Lecz pijak puścił na razie pytanie mimo uszu. Zaświecił natomiast lampę i z zamczystej skrzyni stojącej pod ścianą, dobył pękatą flaszkę oraz dwa blaszane kubki. Siadłszy przy stoliku, pomrukując dziwacznie, napełnił kubki trunkiem. Dopiero teraz zaczął wyjaśniać.

Obmyślili wszystko dokładnie wraz z Hauckiem. Grizzly w klatce należy do niego, Brokawa. Istny potwór, a dziki, a zły! Obaj postawią na niego grube stawki. Tara zginie niewątpliwie, gdyż wychowany na poły w niewoli, nie posiada odpowiedniej wytrzymałości ani wprawy w walce. Zarobią na tym grubo, a pieniędzy potrzebują na gwałt, albowiem dostawcy wódki z wybrzeża zwlekają z dostarczeniem towaru. Marge omal nie zepsuła wszystkiego, oddalając się wraz z Tarą w chwili najmniej odpowiedniej. Szczęściem ten poczciwy Mac przyprowadził dziewczynę z powrotem. Walka odbędzie się jutro. A jeśli mała nakaprysi, mniejsza z tym! Należy przecie do Brokawa i co tu dużo gadać...

Zakończył przemowę, uderzając flaszką w stół, po czym podsunął Dawidowi kubek.

— Oczywiście, należy do ciebie — zachęcał Dawid. — Ale, daję słowo, trudno mi w to uwierzyć — pochylił się i żartobliwie, z wymuszonym śmiechem, klepnął Brokawa po ramieniu. — Jest zbyt piękna. Najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałem kiedykolwiek. Jakże do tego doszło? No, gadaj, ty szczęściarzu?

Szeroka, czerwona twarz pijaka rozplynęła się w jeszcze chępliwszym uśmiechu.

— Chyba niedawno dopiero stała się twoją własnością? — naciskał Dawid.

— Phi, naturalnie że dawno, lata całe! — ciągnął Brokaw, unosząc kubek i przykładając go do ust.

Raptem grzmotnął kubkiem o stół tak gwałtownie, że połowa płynu chlusnęła na stół. Warcząc przysunął bliżej Dawida szkarłatną twarz i szerokie bary.

— Hauck twierdzi, że to nieprawda — sapnął. — Co na to powiesz, Mac? Mówi, że ona nie jest wcale moją własnością i że jeśli chcę ją mieć, muszę grubo zapłacić. Niech go diabli biorą, zapłaciłem! Dałem mu złota cały mieszek!

— Byłeś dureń! — zawołał Dawid, usiłując ukryć podniecenie.

— Wariat po prostu!

— Powiniennem był go zabić? Powiniennem był go zabić, he, a dziewczynę wziąć siłą! Właśnie, jak zrobiłeś ty, Mac, z tamtym Metysem i tą diabolicą przy Miedzianym Urwisku. Pamiętasz?

— Trudno mi coś rzec — odparł Dawid wolno, modląc się w duchu, by nie palnąć jakiegoś głupstwa. — Nie wiem, jakie masz do niej prawo? A gdybym wiedział, to co innego...

Powiedziawszy swoje, czekał. Brokaw jak gdyby wytrzeźwiał, więc Dawidem targnęła obawa, że oszustwo lada moment wyjdzie na jaw. Brokaw przegiął się przez stół; oczy miał zupełnie przytomne; zęby błysnęły mu jak u wilka. Niewątpliwie odzyskał na chwilę dobry wzrok. Szczęściem szkło lampy było tak zakopcone, że w izbie panował półmrok.

Należało zabić Haucka, a ją wziąć siłą — ozwał się Brokaw, a namiętność zniekształcała mu mowę. — Dawno bym sobie z nią poradził, gdyby nie kobieta Haucka, która pilnowała jej z jego polecenia. A jednak należy do mnie! Należała do mnie zawsze, od początku! Wiesz, od tego czasu...

Wątek myśli pogmatwał mu się znów, urwał więc i leniwie odsunął się od stołu. Bełkotał sam do siebie.

— Moja jest! Będę ją miał jutro! Jutro wieczór, a potem ruszymy na pomoc. Teraz Hauck nie ma już nic do gadania. Zapłaciłem, ile żądał! Właściwie mógłbym dziś...

David wzdrygnął się wyczytawszy zamiar z twarzy draba. Istotnie, mógłby przecie dziś, bez zwłoki. Oczy pijaka powlekleła znów mętna błonka. Dawid napełnił szybko wódką próżną szklanę i wetknął ją w czerwoną spoconą garść. Olbrzym wychylił trunek duszkiem. Rozwalił się n. stołku. Niebezpieczeństwo przestało chwilowo grozić. Lecz należało moment wykorzystać. Nie było czasu do stracenia. Dawid palnął pięścią w stół. Wrzasnął:

— A jeśli Hauck będzie ci się naprzykrzał, pomogę ci załatwić z nim porachunki! Przez pamięć na dawną naszą przyjaźń! Zrobię z nim to, co z tamtym Metysem! Dziewczyna należy do ciebie, tylko do ciebie. Słuchaj zanim Hauck nam przeszkodzi, opowiedz mi o niej!

Na razie Brokaw jak gdyby nie zrozumiał; wytrzeszczył oczy głupawo. Potem zachichotał lubieżnie.

— Jest moja od dziecka — wyznał, przeginając się ponownie przez stół. Dostałem ją od dobrego przyjaciela, Mac, poczciwego chłopca, ale durnia. Bo tylko dureń

wyzbywa się dobrowolnie pięknej kobiety. Matka jej była podobno prześliczna, a córka wdała się w matkę. A ten wariat oddał mi dziecko na własność, pomyśl tylko!

Chichotał i popijał ze szklanki. Dawid dygotał z niecierpliwości. Niech Hauck wejdzie, wszystko będzie stracone. Każda chwila była droga.

— No i co było dalej? — nacierał nerwowo.

— Mój przyjaciel, Bucky, kochał tę kobietę, żonę niejakiego O Doone' a — ciągnął Brokaw. — Kochał do szaleństwa. Bardziej niż ty, Mac, kochałeś żonę

Metysa. Tylko że Bucky był gamoniem. Zamiast się ostro wziąć do rzeczy, wzdychał i przewracał ślepiami. ODonne był, zdaje się, traperem czy urzędnikiem kompanii, już zapomniałem kim. Kiedyś zimą, w czasie długiej podróży, złamał nogę. Jego żona i dziecko zostały same w chacie. Bucky się tam napatoczył. A kobieta była właśnie ciężko chora, nieprzytomna z gorączki. Wyobraziła sobie, że to jej mąż wrócił. Czy nie świetna okazja? Ale ten głupiec jej nie wykorzystał. Zabrakło mu odwagi. To znaczy, tak twierdził, że przeszkodziło mu sumienie. Co za bzdury! Po prostu stchórzył! Ach, gdybym tak ja znalazł się na jego miejscu...

Przykrył oczy powiekami, pozostawiając jedynie wąskie, błyszczące szparki. Broda opadła mu na piersi. Zasnąłby, gdyby nie Dawid.

— No i co było dalej? Co dalej?

— Bucky namówił ją do ucieczki. Skłonił ją do napisania kartki, że ma męża dość, odchodzi więc z innym. Nie pozwolił podać swego nazwiska. Ruszyli wraz z dzieckiem na Zachód. Cały czas Bucky bał się panicznie. Wiózł kobietę na saniach, a śnieg zasypywał ich ślady. W chacie, odległej o sto mil od chaty Michała O'Doone, kobieta odzyskała wreszcie zmysły. To dopiero musiała być szopka! Bucky mówił mi później, że baba po prostu oszalała i wrzeszcząc uciekła z izby w las, zapomniawszy nawet o dziecku. Była ciemna noc, więc choć szukał jej długo, nie mógł znaleźć. Później on również zbzikował. Ledwo wiosna stopiła śniegi, ruszył z powrotem, chcąc zwrócić papie O'Doone córeczkę. Trafił na miejsce, gdzie stała tamta chata, ale znalazł tylko zgliszcza. Chata spłonęła. Co za szopka! I ten dureń nawet z kobiety nie skorzystał! Sumienie? Nie żadne sumienie, tylko po prostu tchórzostwo, prawda Mac?

Sięgnął raz jeszcze po flaszkę. Język mu się plątał. Nowa porcja trunku niechybnie zwałiłaby go pod stół. Szczęściem flaszka była pusta. Brokaw potrząsnął nią i zaklął:

— A, do cholery!

— Mów dalej — nalegał Dawid. — Opowiedz, jak dziewczyna trafiła w twoje ręce.

Brokaw miał oczy zupełnie mętne. Z trudem pochwycił wątek na nowo.

— Wtenczas Bucky zabrał małą i ruszył z nią raz jeszcze na Zachód. W rok później trafił do mojej chaty nad Mackenzie. Opowiedział mi po trochu wszystko. Pewnego dnia uciekł, zostawiając dzieciaka pod moją opieką. Ja z kolei powierzyłem ją żonie Haucka. Hauck założył tę osadę, osiedlił się tu na stałe. Przed trzema laty wróciłem z włóczęgi, znad Jukonu, i zobaczyłem dziewczynę. Uch, co za uroda! I już nieomal kobieta, nie dziecko! Moja własność. Powiedziałem im to bez ogródek. Hauck miałem w ręku. Zabił raz przy mnie pewnego białego górnika przy Fort MacPherson. Nawet razem ukrywaliśmy zwłoki. Ach, i jeszcze jedno. Spotkałem kiedyś tego

Bucky'ego. Siedział w chacie O dwanaście mil stąd. Naplotłem mu różności, że dziecko zmarło, a kobieta odebrała sobie życie. Wywędrował stąd niedługo później i słuch o nim zaginął. A ja pilnowałem dziewczyny, żeby mi jej kto nie sprzątnął, zanim całkiem dorośnie. Miałem rację, he?

Głowa zatoczyła mu się w tył. Wyprostował się z trudem, potem kiwnął się ku przodowi, na stół. Twarz miał zbydlęconą do reszty. Dawid zadał ostatnie pytanie, słysząc jednocześnie na zewnątrz czyjeś kroki, niewątpliwie kroki Haucka, idącego zdemaskować oszusta.

— Słyszysz, Brokaw, jak brzmiało nazwisko tego Bucky'ego? Brokaw poruszył wargami bezdźwięcznie, odchrząknął i wykrztusił.

— Nazywał się Tawish.

## 22. W pułapce

następnej chwili Hauck otworzył drzwi i stanął w progu. Nie przekroczył go od razu, lecz tkwił bez ruchu parę sekund, obserwując siedzących chłodno i uważnie. Brokaw, półprzytomny, usiłował zaprosić go do wnętrza skinieniem głowy. Dawid z wolna podniósł się z krzesła. Hauck patrzył już tylko na niego. Rozchylił wargi tak, iż miały przypominać uśmiech; był to raczej grymas, tak pełen nienawiści, że Dawid odgadł momentalnie, iż oszustwo wyszło na jaw. Zerknął na Brokawa. Olbrzym spał, wsparłszy na stole głowę i bary. Dawid zaryzykował jeszcze jedno posunięcie.

— Ten się dopiero upił — rzekł z uśmiechem.

Hauck skinął głową. Kiwał nią parokrotnie, przy czym grymas nie opuszczał jego twarzy, a szparki przymrużonych oczu błyszczały jak rozżarzone węgielki.

— Tak, upił się — przyświadczył szorstko. — Wracajmy lepiej do tamtego domu. Mam tam pokój gościnnie. Tu jest tylko jedna prycza, panie MacKenna.

Wymówił imię ze szczególnym naciskiem i trochę nawet drwiąco. Dawid wybuchnął śmiechem. Postanowił użyć ostatniej karty.

— Nie nazywam się wcale MacKenna — rzekł. — Nazywam się Dawid Raine. On się pomylił, a był tak pijany, że nie sposób było pomyłkę wyjaśnić.

Hauck milcząc cofnął się ku drzwiom, Dawid podążył za nim bez słowa. Poprzez mrok wracali drogą niedawno przebytą. Pojaśniało nieco, więc Dawid widział Bariego, sunącego śladem pana niby cień. Skoro dotarli do głównego budynku, pies przepadł w ciemności. Hauck skierował się do drzwi frontowych. Weszli do dużej izby, pełnej gwaru. Znajdowało się w niej około dwunastu ludzi, samych białych. Dawid doznał wrażenia, że całe to zgromadzenie oczekuje jego przybycia. Na stole nie było ani flaszek, ani szklanek, snąc usunięto je zawczasu, błyszczały natomiast mokre plamy od wina i wódki, których nikt nie stał.

Spod oka przyjrzał się towarzystwu. Nigdy nie widział gorszej hołoty. Istni zbóje. Ten i ów obserwował go nienawistnie. Żaden nie skinął głową, ani nie przemówił słowa na powitanie. Mijając ich, otarł się o grubokościstego draba, który zerknął nań po prostu wrogo.

Szczęściem weszli już do sieni, tej samej, do której poprzednio wprowadziła go Marge, i Hauck stanął przed jednymi z szeregu drzwi.

— To będzie pana izba na czas pobytu u nas — rzekł niemal uprzejmie. Wyraźnie usiłował przybrać ton i ruchy przyzwoitego gospodarza, lecz spoza nieudolnej maski wyzierała jadowita mściwość.

— Niech się pan rozgości. Rano zjemy śniadanie razem z moją siostrzenicą. Hm, a ten Brokaw to doprawdy niezły chłop, o ile nie jest pijany. Wyobrażam sobie, jak pan mu tłumaczył, że się myli i że pan nie jest MacKenna.

Nie czekając odpowiedzi odwrócił się i wyszedł. Dawid odetchnął z ulgą. Miał już dosyć szermierki słownej. Chciał wypocząć i spokojnie rozważyć to, co usłyszał od Brokawa. Rankiem podejmie grę na nowo. Nie przewidywał większych trudności. Oczywiście, będzie trochę trudno przekonać obu łotrów, że Marge powinna stąd odejść na zawsze, ale wiedząc to, co wiedział, miał ich poniekąd w garści. Zaproponuje im zresztą kompromis. W zamian za stratę dziewczyny obieca solennie, że nie powiadomi policji o nielegalnym handlu wódką ani nawet o tym, że Hauck zabił człowieka koło MacFherson. Brokaw, jakkolwiek pijany, wyznał niewątpliwie prawdę i nic mu nie pomoże, choćby się trzeźwo zapierał. Ależ się wścieknie, gdy mu Marge umknie sprzed nosa! Na samą myśl o jego zwierzęcej wściekłości Dawid zachichotał złośliwie.

Na razie bardziej obchodził go Tawish, ów na pół obłąkany odludek, żyjący wspólnie z myszami. Nie dziwił go wcale jego udział w tragedii. Od początku niemal czuł, że coś wiąże tego człowieka z fotografią dziewczyny. Pomyślał o nocy, gdy oszalała z rozpaczy kobieta, żona Michała O'Doone, uciekła w las, rzekomo na zagładę. A jednak nie umarła. Żyje. Szuka męża i dziecka. Szukała obojga również wtenczas, gdy ją spotkał w pociągu, unieruchomionym w zaspach. Gdyż niewątpliwie to była ona, matka Marge.

Gotów był zaraz lecieć do dziewczyny, opowiedzieć jej wszystko. Ujął już nawet za klamkę, lecz stojąc w progu uprzytomnił sobie własną nierozwagę i śmiejąc się wzruszył ramionami. Wystarczy uczynić to jutro. Nabił fajkę, zapalił i w sinych oparach dymu zobaczył naraz niezmiernie wyraźnie szarą twarz wisielca, tak jak ją widział niegdyś, na tle poczerniałych ze starości belek. Zdarzenia owej upiornej nocy wróciły doń z całą jasnością. Tawish i ojciec Roland! Zmiana zaszła w wyglądzie i zachowaniu misjonarza po śmierci Tawisha! A ta izba pełen pamiętek po kobiecie i dziecku!

Stanął, ściskając dłońmi skronie. Nie, to niemożliwe. Lecz przeczucie i fakty mówiły co innego. Z trudem skierował myśli na inny tor. Skąd kobieta z pociągu wzięła fotografię Marge? Czy Nisikoos wiedziała, że matka jej wychowanki żyje? Czy o tym właśnie zamierzała jej powiedzieć przed śmiercią?

Chodził jeszcze po pokoju, gdy zatrzymało go skrzywienie drzwi. Otwierały się niezmiernie wolno i ostrożnie. Do wnętrza wsunęła się Marge. Nie widział jej nigdy tak bladej. Oczy miała przerażone do cna i pełne niemego błagania. Podbiegłszy uczepliła się go oburącz.

— Sakewawin, drogi Sakewawin, musimy uciekać, zaraz, dziś w nocy!

Dygotała, tuliła się do niego, dłonią gładziła go po twarzy. Objął ją pieszczotliwie.

— Co się stało, maleńka? — szepnął z przerażeniem. — Czy cię kto skrzywdził?

— Musimy uciekać! Musimy uciekać natychmiast!

Osłabła teraz i leżała mu na piersi w zupełnym bezwładzie. Jej odwaga się wyczerpała. Nie spuszczała z niego przerażonych oczu.

— Nie mówiłam im nic — szepnęła spieszenie, z obawą, jakby się bała, że jej nie uwierzy. — Naprawdę, nie powiedziałam im wcale, że nie jesteś MacKenna. Hauck sam gadał z ludźmi, a ja słuchałam pod oknem. Dowodził, że jesteś szpiegiem, że należysz do policji...

Przerwał jej szmer dochodzący z sieni. Zesztywniała, potem wydarła mu się z ramion i bezszelestnie podbiegła do drzwi. Podłoga skrzypiała pod czyimiś ciężkimi krokami. Ochryply głos bełkotał bez związku. Wreszcie wszystko ucichło. Marge odwróciła się znów do Dawida blada śmiertelnie.

— To byli Hauck i Brokaw! Och, Sakewawin, uciekajmy, uciekajmy co prędzej!

Lecz trwoga Dawida pierzchła już bez śladu. Słowa Marge uspokoiły go, zamiast przerazić. Szpieg? Policja? Oto czego Hauck się boi. Tym łatwiej będzie go zmusić do wydania dziewczyny, po prostu za pomocą groźby, że doniesie o nich władzom. Uśmiechnął się do Marge, lecz ten uśmiech nie pokrzepił jej ducha.

— Mówił, że jesteś szpiegiem — powtórzyła, jak gdyby chcąc mu dobrze wbić w pamięć groźne słowo. — Chcieli zaraz iść za tobą do chaty Brokawa i... i zabić cię na miejscu!

— Ale Hauck im nie pozwolił, prawda? Skinęła głową, przyciskając dłonią zdyszane piersi.

— On kazał im poczekać, aż się rozmówi z Brokawem. Chciał się jeszcze upewnić. Ale teraz...

Uśmiech nie schodził z ust Dawida. Z zupełną pewnością siebie rzekł:

— Musisz wrócić do swego pokoju. Hauck rozmówił się już z Brokawem, ale ręczę ci, że sprawy przyjmą obrót pomyślny. Jutro opuścimy Gniazdo zwyczajnie, za pozwoleniem gospodarzy. Gdyby cię jednak zastano teraz u mnie, niewątpliwie wynikłaby stąd bieda. Zmykaj więc póki czas, bo podejrzewam, że Hauck się jeszcze tutaj zjawi. Prędko, prędko! Uchylił drzwi nasłuchując.

— Dobranoc — szepnął, muskając dłonią jej włosy.

— Dobranoc, Sakewawin.

Zawahała się chwilę w progu, odetchnęła głęboko prawie łkając i odeszła. Co za oczy! Co za wejrzenie! Ręce Dawida drżały, gdy przekręcał klucz w zamku. Na stole zobaczył małe lustro, więc przejrzał się w nim. Własny wygląd nie zachwycił go bynajmniej. Jasna szczecina, porastająca brodę i szczęki, nadawała mu wygląd opryszka. Siwe smugi na skroniach zaznaczyły się wyraźniej. Dziedziczna skłonność? Być może. Ale i wiek również swoje znaczy. Trzydzieści osiem lat to nie bagatela.

Przysunął stół do drzwi, rewolwer umieścił pod poduszką i położył się zaraz. Podczas gdy Marge O'Donne całą noc nie zmrużyła oczu, siedząc pod drzwiami swojej izby z fuzją w garści, Dawid Raine spał jak zabity.

## 23. Wyzwanie

Dawida zbudził hałas do złudzenia przypominający dalekie wystrzały armatnie. Gdy otworzył oczy, zobaczył jasność dzienną i usłyszał kołatanie do drzwi. Począł się ubierać spieszenie wołając, że zaraz otworzy, wetknął przy tym do kieszeni rewolwer i ostrożnie uniósłszy stół postawił go bez szmeru na poprzednim miejscu.

Przekręciwszy klucz w zamku zdziwił się, widząc przed sobą nie Haucka, tylko Brokawa. Olbrzym jedynie wzrostem przypominał pijaka z ubiegłej nocy. Nikt by nawet nie uwierzył, że człowiek ten przed paru godzinami zaledwie był na pół przytomny. Spoglądając na Dawida z uśmiechem, podał mu rękę.

— Dzień dobry, Raine! — przywitał go uprzejmie. — Hauck kazał mi zbudzić cię ze względu na widowisko. Zdążysz akurat zjeść śniadanie, zanim się zabawa zacznie. Pamiętasz, ta heca, o której ci wspominałem zeszłej nocy, po pijanemu. Ależ się urznąłem. Wziąłem cię nawet za starego przyjaciela, choć wcale nie jesteś do niego podobny.

Dawid uścisnął podaną dłoń. Był tak zaskoczony, że na razie przyjął szczerzy ton Brokawa za dobrą monetę. Rozczarował się zresztą nader szybko. W oczach draba wyczytał śmiertelną nienawiść, chęć schwytania za gardło tego przybłądy, który go nabrał tak zuchwale. Uśmiech Brokawa był pełen jadu.

Dawid uśmiechnął się także, jak umiał najpoczciwiej. — Urznąłeś się istotnie! — rzekł z zupełną swobodą. — Nie mogłem ci w żaden sposób wytłumaczyć, że nie jestem MacKenna.

To bezczelne kłamstwo po prostu oszołomiło Brokawa. Przestał się uśmiechać, zacisnął szczęki i oczy nabiegły mu krwią. Jakkolwiek nie otworzył ust, w wyrazie twarzy można było wyczytać: kłamiesz! Ale panował nad sobą. Powiedział niemal spokojnie.

— Hauck kazał ci rzec, że bardzo żałuje, ale nie może ci dotrzymać towarzystwa przy śniadaniu. Nie mógł czekać tak długo. Indianka przyniesie ci zaraz posiłek. Nie trać czasu, jeśli chcesz oglądać widowisko. — Zawrócił i oddalił się ciężkim krokiem.

Dawid zerknął przez korytarz ku drzwiom Marge. Były zamknięte. Potem spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Omal nie zaklął ze złości, że przegapił wspólne śniadanie z Hauckiem i dziewczyną. Niewątpliwie znalazłby okazję do rozmowy z Hauckiem w cztery oczy, ostatecznie załatwiłby nawet sprawę w obecności Marge. Ciekawe, gdzie ona teraz jest. Może zamknięta w swoim pokoju?...

Odgłos nowych kroków zmusił go do cofnięcia się od drzwi, po chwili zaś weszła potężnej budowy Indianka, niosąc obiecane śniadanie. Postawiła talerze na stole i znikła milcząc. Dawid posilił się szybko, po czym skończył się odziewać. Kwadrans po dziewiątej znalazł się na korytarzu. Mijając drzwi Marge, zapukał, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Duża izba, w której ubiegłego wieczoru zgromadziło się tyle podejrzanych postaci, była cicha i pusta. Ta pustka i cisza zaniepokoiły go, toteż co prędzej pośpieszył na zewnątrz. Stanąwszy przed domem, ułowił w powietrzu daleki gwar. Skręcił z węgiel i spojrzął w stronę klatki.

Znieruchomiał na chwilę; ogarnęło go poczucie niemocy i beznadziejności. Gdyby nie zasnął, gdyby zdążył pogadać z Hauckiem, może by mu się udało zapobiec tej potwornej walce. Obecnie było już za późno.

Podniecona, lecz dziwnie milcząca ciżba tłoczyła się wokół klatki; tłum ludzi tak pełen napięcia, że jasną było rzeczą, iż walka się rozpoczęła. Niski, chrapliwy pomruk łączył się z głębokim westchnieniem wielu zdławionych piersi. Tara walczył już w obronie życia. Tara, ten dobroduszny olbrzym, idący za swoją panią krok w krok niby wierne psisko, rozleniwiony niewolą, miał zginąć w nierównych zapasach z dziką, leśną bestią. Co powie Marge? Gdzie jest teraz? Dawid nie zdawał sobie nawet sprawy, że w garści gniecie kolbę rewolweru.. Krew uderzyła mu do głowy; niepoohamowana wściekłość, pasja, jakiej nie zaznał nigdy dotąd, odbierała mu po prostu przytomność. Skoczył naprzód; Przedarł się przez krąg widzów. Nie obchodziły go ich twarze, nie miał pojęcia, czy stoi pośród Indian czy białych. Patrzył tylko na klatkę.

Zbudowana z młodych pniaków o ćwierćmetrowej średnicy miała około dwudziestu stóp kwadratowych. Z wnętrza dochodził chrzęst dartego mięsa. Oba niedźwiedzie tarzały się po ziemi; tona mięśni i kości zwarta w śmiertelnym uścisku. W pierwszej chwili trudno było orzec, gdzie jest Tata, a gdzie grizzly Brokawa. Lecz oto zwierzęta rozdzieliły się i stanęły, każde z osobna. Walka trwała już zapewne od paru minut. Tata miał pysk pełen krwi, niedźwiedź Brokawa ryczał wściekle. Z tym rykiem, podobnym do głosu rozjuszonego bawołu, dziki grizzly runął naprzód. Olbrzymie cielska skłębiły się znów, przetoczyły w bok, odsłaniając na dnie klatki kałużę ciemnej posoki. Zupełnie jakby z rzeźni chluśnięto wiadrem krwi.

Ciężka dłoń legła na ramieniu Dawida. Obejrzał się. Brokaw chichotał drwiąco.

— Niezła bójka, he

W twarzy miał bezduszne okrucieństwo. Dawid zacisnął pięści, utrzymując z trudem zewnętrzny spokój zapytał:

— Gdzie jest dziewczyna?

Z oczu Brokawa trysnęła nienawiść. Wyszczrzył żółte zęby w drapieźnym chichocie.

— Okpiliśmy ją — warknął.— Tak jak ty okpiłeś nas. Namówiłem Indiankę, by skradła jej ubrania. Siedzi teraz w swoim pokoju sama jedna i goła!

Dostanie suknię wtenczas dopiero, gdy ja na to pozwolę, bo należy do mnie, rozumiesz?

Zaciśnięta pięść Dawida strzeliła ku przodowi, przy czym cios mieścił w sobie nie tylko latami nabyte doświadczenia bokserskie, lecz również gwałtowną chęć mordy. Nie chciał uderzyć, a zabić. Głowa Brokawa wykręciła się w bok, jak gdyby mu szyja pękła, a on sam odleciał daleko wstecz. Dawid jednak nie zdążył zobaczyć nic więcej. Usłyszał okropny wrzask, od którego krew w nim zastygła, i momentalnie odwrócił się ku klatce.

O dziesięć kroków od niego, wśród półkola białych i Indian, stała Marge. Wydało mu się na razie, iż jest naga, zupełnie naga pod łapczywym wejrzeniem tłumu. Szczuple ramiona i drobna pierś, były gołe, lecz od pasa do kostek okrywała ją stara spódnica, niewątpliwie skradziona Indiance; na wyświechtanym materiale połyskiwały jeszcze błyskotki naszyte przez tuziemkę,.

Powiew wiatru odrzucił do tyłu włosy dziewczyny, więc Dawid zobaczył twarzyczkę białą jak marmur, zastygłą z przerażenia. Zwierzęta walczyły rycząc ogłuszająco, przewalając się po ziemi, parły na ścianę i klatki. Jeden ze słupów, tworzących pręty, pękł jak przełamany na i kolanie badyl. Lecz nikt z tłumu nie obserwował zapasów; oczy wszystkich wlepione były w Marge. Naraz Dawid krzyknął jej imię i rzucił się naprzód.

Dzieliło go od niej dziesięć kroków; dziewczynę od klatki dzieliła tylko połowa tej odległości. Przebyła ją szybko niby puszczone z łuku strzała. Dawid spóźnił się o dziesiątą część sekundy. Marge przewinęła się między słupami i z gołymi rękoma wpadła między walczące bestie. Tłum zawył jednym głosem.

— Tara! Tara! Tara! — nawoływała Marge.

Dawid zobaczył ją leżącą na ziemi i na chwilę postradał zmysły. Drobnymi piąstkami szarpała wielki kudłaty łeb, chcąc druhowi dopomóc. Sam, nie wiedząc ani jak, ani kiedy, prześlizgnął się w ślad za nią. Machinalnie dobył z kieszeni rewolwer; machinalnie naciskając cyngiel, raz za razem wpakował wszystkie jedenaście kul w łeb przeciwnika Tary, czyniąc to z tak bliska, że huk wystrzałów utonął niemal całkowicie w gęstych kudłach. Był to rewolwer dużego kalibru. Pociski znalazły drogę do mózgu potwora. Trysnęła ! krew.

Dawid wyprostował się tuląc Marge w ramionach. Bliskość ta orzeźwiła go od razu. Podczas gdy Tara szarpał konającego wroga za gardło, Dawid wywlókł dziewczynę z klatki i narzucił na nią własną kurtkę.

— Idź do swego pokoju -----rzekł. — Tara jest już zupełnie bezpieczny.

Dopilnuję, by go nie skrzywdzono.

Cizba rozstąpiła się przed i nimi. Panowała cisza tak zupełna, że słyhać było wciąż jedynie pomruk Tary. Wtem zabrzmiał dziki wrzask Brokawa.

— Stać!

Zastąpił im drogę, olbrzymi, wściekły, dygocąc z nienawiści. O krok w tyle stał Hauck, na jego twarzy uwidoczniły się wszystkie złe instynkty. Za dwoma wodzami tłoczyli się biali włóczędzy: galeria zbrodniczych typów oglądana już już przez Dawida ubiegłej nocy. Czekali na znak szefa, jak wilcze

stado czeka na znak swego przewodnika. Dawid był prawie pewien, że sygnał ten padnie lada moment. Marge, blada, kurczowo uciepiona jego ramienia, patrzyła wprost w oczy niebezpieczeństwu. Brokaw ozwał się pierwszy.

— Uprzątnijcie klatkę! — zawołał. — Ten przeklęty szpieg zabił mego niedźwiedzia, ale teraz będzie miał do czynienia ze mną. Rozumiecie? Wywleczenie z klatki padlinę!

Następował na nich tak blisko, że jego smrodliwy, gorący oddech owiewał im twarze; czerwony kark miał nabrzmiały jak szyja gniewnej kobry.

— W tej walce zabiję ciebie! — syknął. Hauck oparł dłoń na ramieniu Marge.

— Idź z nim! — szepnął Dawid, czując, że dziewczyna kurczowo zaciska palce wokół jego dłoni. — Jeśli chcesz, żebym zwyciężył, musisz odejść...

Uniosła się na palcach szybko, prędko, gdyż Hauck już ją odciągał; zaszeptala mu do ucha:

— Idę do domu. Gdy zobaczysz mnie w oknie, padnij na twarz. Mam fuzję, zastrzelę go stamtąd.

Dawid miał wrażenie, że słowa te doszły nie tylko jego uszu, lecz także innych, niepowołanych. W każdym razie Hauck, wlokąc dziewczynę ku domowi, miał w oczach podejrzany błysk. W tyle skrzypaneły wrota klatki i Tara, kulejący, począł się oddalać w stronę lasu.

Dawid znalazł się niedługo pośrodku klatki; pod stopami miał grunt oślizły od rozlanej hojnie krwi. Wtenczas znów zobaczył Marge. Dziewczyna walczyła z Hauckiem, chcąc mu się wyrzeć i umknąć do domu. Dawid wiedział już teraz z całą pewnością, że zbir usłyszał jej obietnicę i wobec tego przetrzymają ją na dworze do końca, zmusi, by była bezradnym świadkiem śmierci jedyne go sprzymierzeńca, gdyż Brokaw będzie dążył niewątpliwie do śmierci przeciwnika. Użyje po temu wszelkich niedozwolonych sposobów. Ucieknie się do każdej podłogi.

Dawid nie czuł jednakże strachu był nawet wyjątkowo spokojny i opanowany. Zdjął koszulę, by mu nie zawadzała i mocniej podciągnął pasa. Teraz Brokaw wszedł do klatki. On również obnażył się po pas; spoglądał na Dawida przekrwionymi oczyma jak morderca na upatrzoną ofiarę. Walka zapowiadała się tak nierówna, że aż absurdalna. Mimo to Dawid obserwował bez obawy wspaniałe mięśnie przeciwnika.

Zapadła ogromna cisza. Okrzyk Marge przeciął ją niby nożem. — Sakewawin!

Brokaw warknął jak dzika bestia; słowo to zraniło go jak sztylet.

—Dzisiejszą noc spędzi ze mną! - zadrwił, pochylając głowę do ataku.

## 24. Nokaut

**D**awid nie widział już gęstwy twarzy ludzkich poza słupami klatki. Ostatnie spojrzenie, ponad schyloną głową i barami przeciwnika, posłał w stronę Marge. Zauważył, że przestała się wydzierać z objęć Haucka i patrzy na niego.

Teraz nie spuszczał oczu z twarzy Brokawa. Nie zauważył wcale poprzednio, że jest to taki kolos; zrozumiał, że za wszelką cenę należy unikać potwornych ramion. Poczul niemły dreszcz na myśl, z jaką łatwością przeciwnik zdoła mu zgruchotać kark lub przetrącić kręgi. Zasady boks? Cóż mu pomogą, wobec tej góry kości i mięśni, która bez wyraźnego uszczerbku zniosłaby chyba nawet ciosy maczugi.

Wraz z pierwszym uderzeniem, niezupełnie zresztą prawidłowym, odzyskał nieco zachwianą pewność siebie. Brokaw rzucił się naprzód. Dawid łatwo uskoczył w bok i prawą pięścią grzmotnął przeciwnika w głowę. Pod takim ciosem Hauck zwaliłby się od razu, Brokaw zachwiał się tylko na nogach. Zrozumiał, że nie siła wzięła nad nim górę, tylko zręczność i ruszając znów do ataku uśmiechnął się lekceważąco.

Mógł wytrzymać z łatwością setkę podobnych ciosów, ten Achilles nowożytny, którego jedynym słabym punktem była szczeka. Dawid ustępował z wolna, wypatrując chwili odpowiedniej do uderzenia. Po dwakroć zatoczyli krąg wokół krwią zbryzganej areny, przy czym Brokaw stąpał z nonszalancką pewnością siebie, rozmyślnie przewlekając rozgrywkę, jak gdyby chciał się nasycić widokiem cofającego się wroga.

Dawid wykorzystał niedbalstwo olbrzyma, ruchy zbyt powolne, i raptem cisnął się naprzód całym rozmachem, całą wagą sprężystego ciała.

Pięść chybiła szczękę o dwa cale, natomiast trafiła prosto w usta, wybijając żółte zęby, miażdżąc mięsiste wargi, aż krew bluznęła na owłosioną pierś. Gdy jego głowa odchyliła się do tyłu, Dawid poprawił z lewej i powtórnie chybił prawą, maczając tylko pięść we krwi.

Brokaw zawył jak ranne zwierzę; Dawid nie słyszał nigdy tak niehumanicznego wrzasku, wydobywającego się z ludzkiej piersi. W następnej chwili walczył już nie o zwycięstwo, ale o własne życie. Wobec rozwścieczonego olbrzyma jedynie ogromna zręczność ocaliła go przed natychmiastowym zmasakrowaniem. Nie potrafiłby nigdy zliczyć, ile ciosów zadał w ciągu następnych dwóch minut. Ociekał całą krwią Brokawa; twarz miał nią zbrzydzaną; ręce czerwone i lepkie. Walił to z prawa, to z lewa, beznadziejnie, bez sensu, rozumiejąc, że wszelkie wysiłki idą na marne, że nic nie powali tej maskary, przyobleczonej przypadkowo w kształt człowieka.

W ciągu tych stu dwudziestu sekund Brokaw dosięgnął go tylko jeden raz, ale Dawid mniej się obawiał ciosów wroga niż wyczerpania. Sam siebie dosłownie targał na strzępy, jak rozbija się w czasie burzy okręt osadzony na mieliźnie. Każde uderzenie kosztowało go więcej niż Brokawa. Po dwakroć palnął olbrzyma w szczękę, po dwakroć tamtemu głowa poleciała do tyłu, ale ciągle szedł do ataku, wykrzywiony grymasem wściekłości, ociekający krwią od stóp do głów, niewyciężony.

Czy człowieka ma przed sobą, czy potwora? Może i ci na zewnątrz nie są zwykłymi ludźmi, podlegającymi normalnym prawom, tylko pochodzą z piekła. Niesamowite myśli na chwilę rozproszyły jego uwagę. Omal nie przeplacił tego życiem. Włochata pięść strzeliła wprost ku jego twarzy. Taki cios w same usta był niemal śmiertelny. Wiedział o tym. Rzucił się w bok w ostatniej ćwierci sekundy, zastawił się ramieniem. Kułak Brokawa trafił go w czubek głowy i przejechał po niej jak kula po wypukłości. Odrzuciło go w tył, na kraty, a z krat na ziemię.

W głębi duszy podziękował teraz Bogu za powolność ruchów Brokawa. Leżąc oszołomiony, bezsilny, omal głośno nie wypowiedział tych słów. Zamiast od razu wykończyć przeciwnika, Brokaw tkwił o parę kroków, ocierając z twarzy krew, która mu zalewała oczy.

Na zewnątrz zahuczały krzyki radości, krzyki białych ludzi! Przebił przez nie krzyk rozpaczony Marge. Ten głos poderwał Dawida na nogi, podczas gdy Brokaw nadal ocierał krew z twarzy. Pojaśniało mu w mózgu, zrozumiał, że musi koniecznie wygrać, że porażka oznacza śmierć dla nich obojga.

Brokaw następował znowu. Skrwawiony, obrzękły, z jednym tylko pragnieniem: chęcią mordy. Przypominał Goliata z zamierzchłych czasów, podczas gdy jego przeciwnik, jak biblijny Dawid, polegał raczej na własnym sprycie niż na sile ramion. Gorączkowo szukał podstępu, który by mu zapewnił przewagę. Sztuczki bokserskie nie zdały się na nic, lecz przypomniał sobie w porę wskazówkę ojca Rolanda, dotyczącą sposobu walki ludzi leśnych. — Podbij kolana przeciwnika! — mówił misjonarz. — A będziesz go miał na swojej łasce i niełasce!

Dawid uważał tę metodę za mało etyczną, toteż nie używał jej dotychczas nigdy. Znał jednak technikę i pamiętał otrzymane wskazówki. — Gdy stoi na wprost ciebie, uderz całym ciężarem, jak najszybciej, niby kula! — Brokaw miał właśnie ruszyć do ataku; Dawid go uprzedził. Sto sześćdziesiąt funtów mięśni i kości grzmotnęło z rozmachem w kolana olbrzyma.

Uderzenie oszołomiło Dawida. Poczuł gwałtowny ból w lewym ramieniu i jednocześnie usłyszał przeraźliwy wrzask Brokawa, lecącego mu przez głowę. Stał na nogach, gdy Brokaw zaledwie ukląkł. Uderzył z miejsca całą siłą ramienia i walił ile sił w tę opuchłą, skrwawioną szczękę. Brokaw schwytał go w objęcia, ale szczęki nie osłonił, więc Dawid uderzał jak górnik uderza młotem w oporny gład. Olbrzym wył i ryczał; głowa odchyliła się mu do tyłu. Bryzgi krwi leciały gęsto w twarz Dawida, lecz on młócił bez ustanku, póki nie osłabła obręcz ramion, i póki, charcząc; wróg nie osunął się na ziemię.

Dawid rozejrzał się dokoła. Twarze widzów przysunęły się bliżej do klatki: oszołomione, niedowierzające, skamieniałe ze zdumienia. Dobrą chwilę panowała cisza tak zupełna, że nie było słyhać nic, prócz charczenia Brokawa i pośpiesznego oddechu piersi Dawida. Zwyciężył! Wyprężając ramiona odrzucił głowę do tyłu, jakkolwiek miał wielką ochotę wesprzeć się o pale. Wzrokiem poszukał Marge; stała obok Haucka i patrzyła na niego. Uczuł szaloną dumę, że

była świadkiem jego wygranej. Zamachał ku niej ręką. Skoczyła naprzód jak błyskawica. Przedarłaby się przez ciżbę, ale Hauck doścignął ją i przytrzymał. Dawid był zresztą temu rad, gdyż ociekał krwią, więc wołał, by go nie oglądała z bliska. Hauck namawiał dziewczynę, aby wracała do domu, a Dawid skinął ręką na znak, że powinna usłuchać. Skoro mu znikła z oczu, podniósł z ziemi koszulę i wyszedł z klatki. Paru białych ludzi pośpieszyło do Brokawa. Reszta gapiała się na zwycięzcę. Dawid skinął im głową z uśmiechem, jak gdyby dopiero co przebyta walka była po prostu bagatelą.

Hauck zastąpił mu drogę. Za plecami miał dwu drabów spośród wczorajszej posępnej kompanii. Lecz teraz uśmiechali się wszyscy trzej, a Hauck wyciągał nawet rękę przyjaznym gestem.

— Daj łapę, Raine! Założyłbym się o tysiąc dolarów, przeciw pięćdziesięciu, że z pewnością przegrasz! Ręczę, że nikt z obecnych nie postawiłby na ciebie. Spłatałeś nam figła! Umiesz walczyć!

Obrócił się do swych towarzyszy.

— Zaprowadźcie go do jego izby, chłopcy! Pomóżcie mu się umyć. Ja zajmę się Brokawem.

Dawid zaprotestował. Czuje się zupełnie dobrze. Potrzebuje jedynie wody i mydła, a jedno i drugie znajdzie w swoim pokoju. Ale Hauck nalegał. To byłoby nieuczciwie, nie po koleżeńsku, gdyby nikt się o niego nie zatroszczył. Walka wynikła tak niespodzianie i nagle, że nie zdążono wyznaczyć sekundantów, ale czego zaniedbano poprzednio, należy naprawić teraz. Henry i Langdon są do usług gościa.

Chcąc nie chcąc, Dawid wrócił do domu z eskortą. Weszli do izby. Langdon, rosły drab, który poprzedniego wieczoru spozierał na niego ze specjalną nienawiścią, nalał wody do miednicy, podczas gdy Henry zamknął drzwi. Obaj zachowywali się nienagannie. Langdon był nawet przyjacielski.

— Okropnie mi się pan nie podobał wczoraj — wyznał szczerze. — Myślałem, że jest pan szpiclem, takim z policji, który wsadza nos w nie swoje sprawy.

Stał obok Dawida, trzymając w ręku wiadro wody, a gdy Dawid pochylił się nad miednicą, Henry zaszedł go od tyłu. Dobywał coś z kieszeni i krył w garści. Dawid zanurzył ręce w wodzie i spojrzął w górę na Langdona; w jego twarzy wyczytał zupełną zmianę: wczorajszą nienawiść. Równocześnie coś spadło mu na ciemność i ogłuszony runął głową do miednicy. Przenikliwy ból jak rozpalone żelazo przeszył mu czaszkę. Potem nastąpiła czarna noc.

## 25. Ucieczka

Znalazłszy się pośród czarnego chaosu, Dawid nie odczuwał ani specjalnego cierpienia, ani nawet tego, że istnieje. Tliła się w nim jednak iskierka życia, choć nie widział, ani nie słyszał nic. Półprzytomny tonął w mroku, zapadał coraz głębiej.

Wkoło panowała głucha cisza. Bezszelestne fale kołysały nim po rozległym morzu. Znajdował się widać na samotnej jakiejś łupinie, zdany na łaskę i niełaskę żywiołów. Usiłował krzyknąć, lecz odjęło mu mowę. Minęła wieczność, zanim wreszcie błysnął dzień. Poprzez zamknięte powieki igielki światła zakłuły mu oczy. Srebrne błyskawice rozdarły ciemności. Odzyskał słuch i czucie. Tylko ruch został mu nadal odjęty. Usłyszał głosy. Na razie była to chaotyczna wrzawa, potem wydzieliły się z niej dwa odrębne tony.

Otworzył oczy. Zobaczył jaskrawe pasmo słońca na wschodniej ścianie pokoju. Ten blask pomógł mu zebrać zmysły, wywiódł go z mroku niepamięci. Zrozumiał przede wszystkim, że jest popołudnie, a raczej wieczór. Zanim zdołał uprzytomnić sobie coś więcej, dwie postaci zasłoniły sobą światło: Hauck i Brokaw. Tak, Brokaw żył nadal i patrzył na pokonanego wroga. Obmyto go już z krwi, natomiast wargi miał odarte ze skóry i spuchnięte, widział tylko na jedno oko, ale z tego jednego wyzierała nienawiść.

Dawid spróbował usiąść. Udało mu się to po pewnym wysiłku. W głowie trwał ustawiczny wir i zamęt; ciało było miękkie i niezdarne jak wór słabo wypchany sianem. Ręce miał związane na plecach, nogi skrępowane rzemieniem. Hauck chichotał otwarcie; Brokaw pochylił się nad jeńcem.

— Cieszę się, że żyjesz, Raine. Głos miał stłumiony brakiem zębów i obrzękiem warg.

— Dziękuję — rzekł Dawid. Zamęt w głowie osłabł, natomiast ona sama bolała silnie. Uśmiechnął się z trudem. — Dziękuję najuprzejmiej.

Wiedział, że niepotrzebnie rozdrażnia bestię. Brokaw sięgnął mu już rękami do gardła, lecz Hauck odciągnął go szorstko.

— Nie rusz go teraz — warknął. — Teraz nie, za to dziś w nocy, czekaj tylko!

Zacisnął pięści.

— Ty kłamco! Ty szpiegu! Ty źmijo! — syczał przez połamane zęby. — Myślisz może, że ujdiesz z życiem!

Hauck ponownie usiłował go odciągnąć na bok, ale Brokaw wyrwał mu się ze złością.

— Nie ruszę go przecie, tylko mu powiem! Niech mnie diabli porwą, jeśli to przemilczę! Chcę, żeby wiedział zawczasu...

— Zwariowałeś! — zawołał Hauck gniewnie.

Brokaw roześmiał się, rozdziawiając szeroko poszczerbione usta.

— Czego się miotasz, Hauck? On już i tak wie, że ty zabiłeś tego żółtodzioba koło Fort MacPherson. Wie w każdym razie dosyć, by nas obu posłać na szubienicę — pochylił się nad Dawidem, ziejąc mu w twarz smrodliwym oddechem. — Cieszę się, Raine, że nie umarłeś, gdyż chcę być świadkiem twojej śmierci. Czekamy tylko, by Indianie sobie poszli. Stary Wapi wyrusza o zmroku wraz z całym plemieniem. Żałuję, że nie możemy przyspieszyć ich odejścia, ale

czerwonoskórzy twierdzą, że w ostatniej kwadrze dobrze jest wyruszać w drogę o zachodzie słońca. Ty odejdziesz nieco później, jak tylko Indianie oddalą się na dostateczną odległość, by nie słyszeć huku wystrzału. Z Indianami należy się mieć na baczności. Wolę, by nie wiedzieli, że wysyłamy ciebie tam, gdzie ty wysłałeś mojego grizzly...

— Chcesz powiedzieć, że mnie zamordujesz? — spytał Dawid.

— Jeśli stawienie cię pod drzewem i wpakowanie ci kuli w łeb nazwać morderstwem, to tak! — zachichotał Brokaw.

— Zamordujesz mnie... — powtórzył Dawid.

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Ból przewiercał mu czaszkę, wznagał się zawrót głowy, bezsilnie kiwnął się w tył. Próbował jeszcze walczyć, ale zrobiło mu się słabo, zachwiał się więc to w przód, to w tył i z jękiem opadł na łóżko. Brokaw wciąż coś gadał, ale Dawid nie rozróżniał już poszczególnych słów. Przemówił Hauck szorstko i rozkazująco, potem wyszli obaj, a drzwi się za nimi zamknęły. Przez cały czas Dawid usiłował się utrzymać na powierzchni, nie zlecieć znowu w czarną, ziejącą przepaść. Minęły jednak długie chwile, zanim zdołał usiąść na brzegu łóżka, zachowując przy tym najdalej posuniętą ostrożność, w obawie że cierpienie wróci. Ból przygasł co prawda, lecz tlił się wciąż pod czaszką.

Smuga słońca znikła już ze ściany, a poprzez jedyne małe okienko otwarte na zachód widział gasnące światło dnia. Walka z Brokawem miała miejsce rankiem, teraz była nieomal noc. Na ziemi wałała się miednica, strącona ze stołka jego upadkiem. Obok czerwieniała plama krwi. Spojrzał znów ku oknu. Było umieszczone dziwacznie, łak wysoko, że z zewnątrz nikt nie mógłby przez nie zajrzeć do wnętrza, niezmiernie wąskie, nie można by się było przez nie przecisnąć. Poprzedniego dnia nie zwrócił uwagi na to, lecz teraz przyszło mu na myśl, że gościnny pokój, za jednym obrotem klucza z zewnątrz, przemieniał się w bezpieczne więzienie. Spróbować ucieczki można by tylko po wyłamaniu masywnych drzwi lub rozwaleniu ścian, wykonanych z tęgich bali. Ani jedno, ani drugie nie było z pewnością rzeczą łatwą.

Zawrót głowy minął, oddychał równiej i swobodniej. Usiłował poruszyć związanymi rękoma. Były zdrętwiałe do tego stopnia, że nie czuł ich zupełnie. Po prostu jakby mu do ramion przywieszono obce ciała. Z trudem uniósł się na nogi. W tej chwili właśnie przez okno doleciało kołatanie tamtamu.

Wapi odchodził wraz ze swym plemieniem. Idąc śpiewali dziwaczny hymn, przeznaczony dla ginącego księżycy. Dawid jęknął. Omal nie krzyknął głośno. Czerwonoskórzy zabierali ze sobą resztkę nadziei. Czy pomogliby mu, gdyby wiedzieli, co go czeka? Gdyby zawołał? Gdyby się darł przez okno? Rozumiał, że to wszystko nie ma sensu, że nie usłyszą go nawet, a jednak musiał walczyć dobrą chwilę z gwałtownym pragnieniem czynu. Wtem serce w nim zamarło. W zamku zgrzytnął klucz, obrócił się, drzwi się otwały. W drzwiach stała Marge O'Doone.

Łkała.

Milcząc uklękała przy nim i poczęła piłować więzy na jego nogach dużym nożem myśliwskim. Rzemień pękł z trzaskiem. Potem oswobodziła mu ręce. Były ciężkie niby ołów. Marge rzuciła nóż, ujmując twarz mężczyzny w obie wyciągnięte dłonie. Gładziła policzki umazane zakrzepłą krwią i powtarzała pieszczotliwie:

— Sakewawin... Och, Sakewawin...

Śpiew Indian rozbrzmiał głośniejsz w chwili, gdy z bliska mijali domostwo, potem zaczął się oddalać i cichnąć. Ze zdławionym okrzykiem dziewczyna porwała się na nogi.

— Śpieszmy! — mówiła nerwowo — śpieszmy! Indianie odeszli, a wraz z nimi Hauck lub Brokaw, nie wiem który z nich. Więc jeden ma doprowadzić starego Wapi aż do jeziora, a drugi przyjdzie tutaj. Słuchaj, Sakewawin, przyniosłam ci nóż. Gdy się który zjawi, zabij go!

Głosy idących umilkły zupełnie w oddaleniu. Marge mówiła dalej: — Zamknęli mnie w mojej izbie i kazali Marcee, starej Indiance, żeby mnie pilnowała. Wyczekałam odpowiedniej chwili i grzmotnęłam ją po głowie kolbą fuzji. Może umarła, nie wiem. Tara chodzi przy domu. Wiem, gdzie go odszukać nocą. Zaraz spakuję rzeczy i za godzinę musimy stąd odejść. Jeśli Hauck lub Brokaw tu zajrzy — zabij! Masz przecie nóż, Sakewawin! Bo jeśli ty ich nie zabijesz, to oni zabiją ciebie! Kurczowo chwyciła oddech. Dawid wstał i zatoczył się.

— Moja fuzja... Mój rewolwer... — powiedział, usiłując wyciągnąć ręce. — Gdybym mógł je dostać...

— Hauck i Brokaw musieli je gdzieś schować — przerwała Marge. — Nie wiem gdzie. Ale jest fuzja Nisikoos. Och, Sakewawin, musimy się śpieszyć. Wrócę teraz do siebie, a jak tylko ściemnieje, otworzę twoje drzwi. Jeśli któryś z nich zajrzy tutaj przedtem — zabij go! Koniecznie! Koniecznie!

Cofnęła się do drzwi, otworzyła je i znikła. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku, potem spieszne, choć lekkie kroki na korytarzu i skrzypienie drugich drzwi. Wreszcie nastąpiła cisza.

Dawid stał krótką chwilę bez ruchu, oszołomiony tempem wypadków. Marge zabawiła w izbie zaledwie parę minut. Pozostawiła nóż, leżący teraz na podłodze. Po to właściwie przyszła, do tego chciała go skłonić. Czuł, jak w ścierpniętych rękach i nogach zaczyna z wolna powracać normalny obieg krwi. Niezupełnie jeszcze pewien, czy zdoła zachować równowagę, Dawid pochylił się i podniósł nóż. Śpiew Indian

brzęczał już tylko z oddali niby gasnący szept. Przez otwarte okno dolatywały natomiast głosy powracających w mniejszej liczbie białych ludzi.

Raz jeszcze miał stanąć do walki. Marge O'Doone uczyniła, co do niej należało. Ogłuszyła lub nawet zabiła Indiankę, uciekła ze swego pokoju i zaopatrzyła go w nóż. Teraz kolej na niego. Lada chwila wejdzie tu Hauck lub Brokaw. Czy zdoła przez ten czas całkowicie odzyskać siły? Począł się przechadzać po izbie, wykonując rękami miarowe ruchy. Mięśnie działały już

sprawnie. Podniósł wiadro z wodą i łapczywie ugasił pragnienie. Potem obejrzał nóż. Ze wstrętem pomyślał, iż należy wkrótce zatopić tę stal w plecach lub w sercu ludzkim. Wolałby załatwić porachunki inaczej. Począł się wkoło rozglądać. Czemu Marge nie przyniosła mu raczej dobrego kija? Zdzielić człowieka pałką po głowie, nawet gdyby miał pod tym ciosem wyzionąć ducha, było mniej trudne, niż zarżnąć go jak wieprza. Nie widział niestety nic, nic co by mogło do tego celu posłużyć...

Zatrzymał wzrok na stole, w następnej chwili już go przewrócił i wyłamał jedną nogę. Pękła z suchym trzaskiem, więc wyprostował się uradowany, trzymając w garści broń mającą nad nożem niejedną wyższość. Nóż wetknął za pas. Potem skupiony czekał.

Czekał niezbyt długo. Od zachodu słońce zupełnie znikło za górami. Mrok wypełnił izbę. Z uchem przyłożonym niemal do drzwi Dawid miał nadzieję, że wyłowi krok Marge, nie zaś Brokawa lub Haucka. Lecz stąpanie, gdy się wreszcie ozwało, było ciężkie i powolne. Dawid odetchnął głęboko, mocniej ściskając w garści maczugę. To co miał spełnić, nie było rzeczą przyjemną. A jednak wyboru nie miał. Postanowił natomiast tak miarkować siłę uderzenia, by nie zabić, tylko ogłuszyć. W gęstniejącym zmierzchu powstrzymał oddech i uniósł do góry oręż.

Drzwi otwarły się; wszedł Hauck i stanął plecami do Dawida. Okropność! Napadać człowieka bezbronnego, z tyłu! Ale czas naglił, Dawid zamierzył się do ciosu i błyskawicznie uderzył. Hauck zwałił się bez jęku, tak bezwładnie, że Dawid pewien był, iż go zabił. Przykląkł spieszenie i sprawdził, czy serce bije. Potem wstał i wyjrzał do sieni. Lampy nie zapalone; był to widać obowiązek starej Indianki. Z izby biesiadnej dochodził gwar głosów. Wtem, z naprzeciwnka, ozwał się drżący, stłumiony szept:

— Prędszej, Sakewawin, zamknij drzwi i chodź!

Dawid przykląkł powtórnie obok Haucka. Przeczucie go nie omyliło: w kieszeni namacał rewolwer. Zawładnął nim uradowany, po czym zamknąwszy drzwi przebiegł korytarz. Marge wpuściła go do swojej izby, zamykając za nim drzwi. Od razu zobaczył Indiankę. Leżała na pryczy, bodąc go złośliwym wzrokiem niby żmija. Była związana i zakneblowana tak umiejętnie, że nie mógł się powstrzymać od uśmiechu i słów uznania.

— Doskonale! — pochwalił. — Znakomicie! Jesteś nieoceniona, Marge! A teraz, co dalej?

Z rewolwerem w garści i dziewczyną u boku miał szaloną ochotę wrzasnąć na cały głos, rzucić wyzwanie przeciwnikom, dać im do zrozumienia, że na nowo gotów jest do walki. W mroku oczy Marge błyszczały jak gwiazdy.

— Który był? — spytała szeptem.

— Hauck.

— To znaczy, że Wapięgo odprowadza Brokaw. Langdon i Henry towarzyszą mu również. Do jeziora mają zaledwie dwie mile drogi, więc powrócą niedługo. Nie mamy czasu do stracenia. Spieszmy! O, patrz, już ciemnieje!

Podbiegła do okna, a Dawid podążył za nią.

— Wyjdziemy za kwadrans, Sakewawin. Tara jest tam, koło tych świerków! — zacisnęła mu palce na ramieniu. — Czy go zabiłeś?

— Nie, ułamałem nogę od stołu i ogłuszyłem go tylko.

— Cieszę się z tego — szepnęła, przysuwając się do niego bliżej — Cieszę się bardzo, Sakewawin!

Przytulił ją mocno i nachylając głowę musnął twarzą świeży policzek. Opowiedział jej teraz w krótkich słowach wszystko, czego się dowiedział od Brokawa. Zaczęła dygotać, gdy zaś zapewnił, że matka jej żyje i jest z pewnością tą samą kobietą, którą spotkał w pociągu przed pół rokiem, Marge załkała. Chciała właśnie coś rzec, gdy w korytarzu rozległy się głośnie kroki. Wczepiła palce w jego ramię.

— Już czas — szepnęła. — Chodźmy!

Podbiegła do łóżka, na którym leżała skrępowana Indianka, i wyciągnęła spod niego tobołek. Potem, sięgnąwszy drugi raz, włożyła mu do rąk fuzję.

— Ta fuzja należała do Nisikoos. Jest sześciostrzałowa, a tu mam resztę naboji.

Dawid policzył ładunki, wrzucając je do kieszeni. Wraz z nabojami mieszczącymi się w magazynku fuzji było ich razem jedenaście. — Kaliber trzydzieści dwa — pomyślał rozczarowany. — Dobrze na przepiórki, a na ludzi chyba tylko z bardzo bliska.

Głośno powiedział:

— Gdybyśmy mogli odzyskać mój karabin, Marge.

— Zabrali go — odpowiedziała spieszenie. — Nie wiem, gdzie jest. Ale nie będzie nam potrzebny. Znam ścieżkę tak kamienistą, że z pewnością nie wykryją na niej żadnych śladów. Gdyby nas jednak doścignęli...

Umilkła otwierając okno.

— Co wtenczas? — spytał.

— Nisikoos zabiła raz z tej fuzji niedźwiedzia — odparła Marge znacząco.

Dawid wysunął głowę przez otwarte okno i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, wyrzucił tobołek. Spuścił potem Marge, a sam wyskoczył na ostatku. Lekki wstrząs wywołał w głowie ból tak gwałtowny, że Dawid z jękiem, prawie mdlejąc, oparł się o ścianę. Marge zaniepokoiła się okropnie.

— To nic — uspokajał ją — to tylko lekki zawrót głowy. Dostałem wtenczas silny cios. Ale na świeżym powietrzu będzie mi z pewnością lepiej.

Podniósłszy z ziemi tobołek, poszedł za nią. Mniej więcej o sto jardów od domu, na brzegu iglastej gęstwiny, leżał Tara, który od rana kurował tu swoje rany.

— Widziałam go przez cały dzień z okna — szepnęła Marge. Przykucnęła obok niedźwiedzia i szeptem poczęła mu coś mówić do ucha. W pobliżu, z ciemności, rozległo się niskie warczenie.

— Do pioruna, ależ to Bari! — wykrzyknął Dawid zdumiony. — Zaprzyjaźnił się z niedźwiedziem! Co ty na to, Marge?

Na dźwięk głosu pana pies przybiegł bliżej i rozpląszczył się u samych jego

stóp. Dawid pogładził ciężki łeb.

— Piesku — szepnął miękko. — A oni mówili, że jesteś fałszywy i uciekniesz w las!

Z ciemności wynurzył się masywny kontur Tary, obok którego stąpała Marge.

— Jesteśmy gotowi, Sakewawin!

Teraz właśnie wypowiedział myśl, która mu zaświtała w mózgu.

— Czy nie lepiej doścignąć Wapiego i jego Indian?

— Och, nie — zaprzeczyła Marge gorąco. — Indianie boją się Haucka. Trzymaliby raczej jego stronę. Musimy podążać wzdłuż górskiego zbocza do skalnej ścieżki. Czy mam uwiązać pakunek na grzbiecie Tary?

— Będę go niósł sam. Jest taki lekki!

— W takim razie daj mi rękę, Sakewawin!

W głosie dziewczyny drżała znów radosna nuta swobody i ufności. Małą, lecz silną rączką ujęła dłoń Dawida i wraz z nim weszła w mroczną głęb boru. Drzewa otaczały ich zewsząd. Poprzez gęsto splecione gałęzie nie przeziarał nawet najdrobniejszy promień światła, chociaż na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy. Z tyłu ciężko stąpał niedźwiedź, bokiem przemykał się Bari. Po chwili Marge spytała:

— Czy bardzo boli cię głowa, Sakewawin?

— Trochę.

Ś ciężka stała się szersza i gładsza, lecz mrok panował po dawnemu. Marge ścisnęła mu palce.

— Wierzę we wszystko, co mi powiedziałeś — rzekła. — Gdy zabiłeś tamtego grizzly i walczyłeś potem z Brokawem, musiałam uwierzyć. Kochasz mnie chyba bardzo, Sakewawin, jeżeli się tak dla mnie poświęcasz?

— Bardzo — odpowiedział Dawid krótko.

Był raczej pochłonięty faktem, że zawrót głowy trwa i powiększa się nawet. Przez chwilę obawiał się, że upadnie.

— Bardzo! — powtórzył, usiłując iść równo, choć własny głos brzmiał mu w uszach obco i jakby z daleka. — Widzisz, maleńka, nie miałem na świecie nic do kochania, prócz twojej fotografii...

Doprawdy, daremnie było przekrzykiwać ów wzrastający łoskot. Wobec kłębiącej się i huczącej w mózgu nawałnicy, słowa, mówione najgłośniejszym głosem, zmieniały się w nieudolny szept. Słowa Marge gasły również. Nie rozumiał wcale, co mówi i nic potem nie pamiętał. Nogi ciążyły jak ołów. Raptem przekroczył widać obręb świata, gdyż otoczył go znów czarny chaos. Ale głos dziewczyny przedzierał się mimo to do jego świadomości, błagając o coś, czego zupełnie nie mógł pojąć. Wiedział natomiast, że nie idzie już po ścieżce, tylko spoczywa na ziemi, z głową na jej piersi. Marge nie mówiła nic, tylko płakała z rozpaczony jak okropnie skrzywdzone dziecko. Zawrót głowy minął równie szybko, jak się pojawił, więc Dawid spróbował się podnieść, wspomagany wysiłkami Marge.

— Jesteś chory, Sakewawin — jęczała dziewczyna. — Och, gdybym cię tylko mogła umieścić na grzbiecie Tary! Jeszcze jeden krok. Spróbuj...

Dawid wyciągnął rękę, wczepiając garść w kudły stojącego obok niedźwiedzia. Powiedział przy tym żartobliwie, uważając, by nie zdradzić własnych, posępnych myśli:

— Po dobrym uderzeniu nieraz się tak człowiekowi w głowie kręci. Ale teraz sędzę, że już będę mógł iść.

— Nie, nie, wsiądziesz na grzbiet Tary — nalegała Marge. — Jesteś chory, Sakewawin, i musisz, musisz!...

Z całej mocy ciągnęła go za ramię, zdyszana z wysiłku, podczas gdy Tara tkwił zupełnie nieruchomo, na swój sposób okazywał konieczność całkowitego posłuszeństwa. Dawid zaprotestowałby mimo to niewątpliwie, lecz raz jeszcze poczuł nawrót okropnego osłabienia, więc milcząc już wgramolił się na szeroki grzbiet niedźwiedzia. Dziewczyna wzięła tobolek oraz fuzję i ruszyła przodem. Tara zaś poczłapał w ślad za nią. Grzbiet olbrzymiego zwierzęcia wydał się Dawidowi miejscem dziwnie wygodnym i przytulnym, pochylił się zatem ku przodowi głęboko zanurzając palce w kudłach na szyi.

Dziewczyna zawołała ku niemu łagodnie:

— Czy dobrze ci tam, Sakewawin?

— Tak dobrze, że obawiam się, czy przypadkiem nie usnę — odpowiedział Dawid.

Gdyby szli po otwartej przestrzeni, to w świetle gwiazd dostrzegłaby niewątpliwie jego bezsilnie chwiejącą się głowę, a przez to samo słowa nabrałyby innego znaczenia. Dawid walczył rozpaczliwie nie tylko z osłabieniem, ale i z ogromem złych przeczuć. Musi być ciężko raimy ma zupełnie uszkodzoną czaszkę... Przypomniawsobie pewnego Indianina również rannego w głowę, którego wraz z ojcem Rolandem bezskutecznie starali się ocalić. Bez pomocy chirurga okazało się to niemożliwe. Indianin zmarł, miał podobne objawy: to tracił przytomność, to znów ją odzyskiwał na chwilę.

Dawid omdlewał ponownie. Nie czuł już prawie kolebiącego chodu Tary. Jednak kurczowo trzymał się burch kudłów, a ilekroć Marge zawołała ku niemu, odpowiadał bez zwłoki. Ale raz nie potrafił dać odpowiedzi. Wtenczas Tara stanęła, a Marge pochyliła się nad rannym. Potem ruszyli dalej. Dawid miał wrażenie, że idą tak bez końca. Chciał odpocząć, wyciągnąć się i zasnąć. Omal nie wypowiedział głośno tego pragnienia; powstrzymała go resztką świadomości.

Serce Marge biło boleśnie i nierówno; płacząc i modląc się wiodła i Tarę wraz z jego ciężarem poprzez czerń nocy. Z lasu wyszli na oświetloną gwiazdami łączkę, stamtąd znów dali nurka w las. I tak na przemian, to mrok ich pochłaniał, to znów preria rozpościerała się wokół. Dziewczyna nie marzyła już o ścieżynie górskiej; obecnie byłoby zupełnym niepodobieństwem przedostać się tamtędy. Kierowała się do pewnej, znajomej sobie chaty, starej, dawno opuszczonej rudery mogącej jednak stanowić niezłe schronisko. Próbowała wytłumaczyć Dawidowi zmianę projektu.

— Jeszcze tylko trochę, Sakewawin — wołała, tuląc usta do jego pochylonej głowy. - Jeszcze tylko chwileczkę. Tam nie będą nas szukać, więc wyśpisz się doskonale, zobaczysz

Głos jej rozpływał się w oddaleniu, zatracając sens i treść. Dawid bezwiednie trzymał się wciąż kudłów Tary.

Po upływie, jak mu się zdawało, wielu, wielu dni, dotarli wreszcie do chaty. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Marge mówi.

— Jesteśmy tylko o pięć mil od Gniazda, Sakewawin, ale tu nie będąc nas szukać. Będą przekonani, że poszliśmy dalej albo że przeprawiliśmy się przez góry.

Obmywała mu twarz chłodną wodą, i teraz, gdy ustał kołyszący chód niedźwiedzia, zawrót głowy powoli mijał. Marge rozwinęła tobolek, położyła na ziemi derę i gdy Dawid wyciągnąwszy się, wreszcie, doznał uczucia wielkiej ulgi. Zanim przymknął powieki, widział jeszcze pochyloną nad sobą śliczną twarzyczkę, oczy jak gwiazdy, patrzące tak tkliwie i słyszał kojący głos:

— Ś pij, Sakewawin, spróbuj usnąć.

Obudził się wiele godzin później. Czyjeś ręce zmuszały go do opuszczenia jakiegoś bardzo wygodnego zakątka; czyjś głos wyrwał go z senności, głos, który po chwili wydał mu się niezmiernie bliskim i znajomym. Otworzył oczy. Był jasny dzień. Marge, klęcząc obok z nieprzytomnym spojrzeniem, szarpała go za kurtkę.

— Obudź się, Sakewawin — błagała. — Obudź się! O mój Boże, musisz się zbudzić! Sakewawin! Sakewawin. Oni znaleźli nasz trop! Oni już nadchodzą!

## 26. Tara się mści

Zrozumiawszy słowa Marge, Dawid porwał się na nogi i z głębi duszy podziękował Bogu, że czuje się zdrow i może walczyć w obronie dziewczyny. Nawet wczoraj, przyglądając się zapasom niedźwiedzi i jego walce z Brokawem, nie była tak śmiertelnie blada jak dziś. Z jej twarzy wyczytał, że niebezpieczeństwo czai się tuż i nie sposób go uniknąć.

Posłanie, które przed chwilą opuścił, znajdowało się pod ścianą starej chaty, chata zaś stała w małej kotlinie, jakieś trzysta jardów w górę łagodnego stoku. Zanim Dawid zdążył dostrzec coś więcej Marge schwyciła go za rękę, wlokąc za pobliski węgiel. Milcząc wskazała w dół. W głębi doliny gramoliła się już na zbocza gromadka dziesięciu czy też ośmiu mężczyzn, między którymi Dawid wypatrył z łatwością Haucka i Brokawa. Nie mógł dokładnie zliczyć napastników gdyż osłaniały ich częściowo nierówności terenu, ale wiedział że nie upłynie dwadzieścia minut, a wszyscy dopadną chaty.

Spojrzał na Marge. Rozpaczliwie wskazywała górski stok w głębi. Na przestrzeni ćwierć mili był to nagi piaskowiec. Jedyna droga ucieczki prowadziła w dół, wprost na wrogów.

--- Chciałam zbudzić cię przed świtem, Sakewawin — tłumaczyła dziewczyna głosem zbołałym i zatrwożonym. - Czuwałam kilka godzin, ale potem niestety usnęłam. Bari mnie zbudził. Tylko że teraz jest już za późno...

— Tak, za późno, żeby uciekać! — poświadczył Dawid. Oczy Marge błysnęły.

— Myślisz więc...

— Że będziemy walczyć. Och, Marge, gdybym tylko miał swoją fuzję! — wsunąwszy rękę do kieszeni wyjął naboje, które mu dała poprzednio. --- Kaliber trzydzieści dwa i zaledwie jedenaście sztuk! Musimy strzelać z bliska. Uciekać nie wolno, bo podziurawią nas z daleka kulami jak sito.

Szarpała go za ramię.

--- Chata Sakewawin!--- krzyknęła. --- Schrońmy się do chaty! Pamiętam, że ma w drzwiach mocną zasuwę, a miejscami glina wykruszyła się między balami, więc są gotowe strzelnice Bariego i Tarę weźmiemy do wnętrza.

Dawid oglądał uważnie fuzję Nisikoos.

--- Dobra na odległość stu pięćdziesięciu jardów. Marge, zabierz do środka pakunek i zwierzęta. Co do mnie postaram się wziąć byka za rogi i wykluczyć z zabawy paru naszych przyjaciół. Poczekam tylko, aż się pokażą na tym wzgórku. Nie będą się na razie mieli na bacność, co zapewni mi chwilową przewagę. Gdybym tylko mógł dostać Haucka lub Brokawa!

Upatrzył sobie duży blok skalny w odległości dwudziestu jardów od chaty, podczas gdy Marge prowadziła do izby Tarę i Bariego, Dawid kucnął za tym improwizowanym szańcem. Miał wrażenie, że od szczytu wzgórka, na którym powinni się ukazać prześladowcy, dzieli go najwyżej sto pięćdziesiąt jardów, postanowił jednak dopuścić ich bliżej jeszcze, zanim rozpocznie strzelaninę. Ani jeden z jedenastu cennych naboji nie powinien pójść na marne. Rewolwer Haucka bowiem mógł służyć tylko w przypadku walki wręcz.

Marge wprowadziła niedźwiedzia do chaty, lecz Bari nie słuchał jej cichych nawoływań; podpełznął natomiast tuż do swego pana i warował obok. Po chwili Marge wybiegła z izby i przeleciawszy pustą przestrzeń przykucnęła także obok Dawida.

— Schowaj się lepiej w chacie — poradził Dawid. — Oni z pewnością będą również strzelać!

— Zostanę z tobą, Sakewawin!

Nie była już wcale tak blada. Policzki miała rumiane i oczy świecące niby gwiazdy. Uśmiechała się do przyjaciela. Co za dziecko! Dawid uczył, jak coś go dławi w gardle. Marge przysunęła twarzą do jego twarzy i szepnęła:

— Ubiegłej nocy, Sakewawin, pocałowałam ciebie! Myślałam, że umierasz... Przed tobą całowałam tylko Nisikoos, nikogo więcej...

Dawid zastanowił się, dlaczego ona to mówi? Czy to śmierć, czyhając może na stoku górskim opodal, czyni ją skłonną do zwierzeń? Czy plecie coś, byle pleść i zapomnieć o strasznej rzeczywistości? Dziecko, dobre dziecko...

Szepnęła znów:

— A ty, Sakewawin, nie pocałowałeś mnie jeszcze ani razu!

Dlaczego?

Dawid złożył fuzję na ziemi. Z wolna przyciągnął ją do siebie, aż ciemna główka spoczęła na jego piersi, i ucałował rozchylone wargi. Fala krwi zalała jej policzki, ramionami objęła go za szyję. Przytulił ją wtenczas tak mocno, że na chwilę straciła oddech. Potem całował znowu, nie raz, a niezliczone razy. Gdy spojrział teraz na jej twarz, zobaczył, iż nie jest to już oblicze dziecka, tylko dojrzałej kobiety.

— Dlaczego nie całowałem cię dotąd... — zaczął i urwał. Bari warczał groźnie. Dawid zerknął ostrożnie spoza głazu.

— Nadchodzą — rzekł. — Wracaj do chaty, Marge.

— Zostanę z tobą, Sakewawin! Rozpłaszczę się na ziemi wraz z Barim, o, patrz!

Przycisnęła się do skały; Dawid wysunął znów głowę z zasadzki. Gromadka wrogów wgramoliła się już na szczyt wzgórzka. Naliczył ich dziewięciu. Szli stłoczeni, przy czym Hauck i Brokaw trzymali się w tyle; obaj posługiwali się w marszu laskami i obaj nie mieli karabinów. Reszta natomiast świeciła w słońcu lufami fuzji. Na przedzie kroczył Langdon.

Dawid postanowił wziąć Langdona na początek, po nim zaś tych, którzy mają palną broń. Dla Haucka i Brokawa przeznaczył nabój piąty i szósty.

Smuga jasnego piaskowca znaczyła stujardową odległość i gdy tylko Langdon postawił na niej nogę, Dawid dał ognia. Wyzywający wrzask wydarł się z jego gardła, gdy Langdon potknął się i upadł pod stopy idących. Dawid zerwał się teraz spoza skały i palił dalej. Stłoczeni przeciwnicy stanowili doskonały cel, którego nie mógł chybić. Doleciał doń krzyk bólu. Za trzecim strzałem Marge krzyknęła uradowana, gdyż napastnicy zawrócili w miejscu i co sił w nogach poczęli zmykać, szukając osłony za pobliską wypukłością. Piąta kula przeznaczona była dla Brokawa. Niestety, Dawid spudłował raz i drugi. Opróżnił właśnie magazynek, gdy opryszek znikł mu z oczu.

W dole Langdon leżał bezwładnie niby szmata. O parę kroków dalej spoczywały drugie zwłoki. Trzeci człowiek pełzał wolno na kolanach i rękach. Tylko trzech, sześcioma strzałami! Przy tym Brokaw i Hauck uszli cało! Dawid przygryzł wargi i chwyciwszy dziewczynę za ramię powłókł ją do chaty. Bari przemknął się za nimi.

Ani sekundy za wcześniej. Poprzez garb pagórka zahuczała kanonada. Kule ciężkiego kalibru krzeszały iskry ze skały.

Dawid wsunął do magazynka swojej fuzji ostatnie pięć naboí i jednocześnie rozejrzał się po chacie. W głębi izby olbrzymi grizzly siedział tak nieruchomo, jakby był wypchany. Na samym środku stał na pół rozwalony, żelazny piecyk. To było wszystko. Marge zamknęła drzwi na jodłowy drąg i oparła się o nie plecami. Ponieważ brakowało okna, wewnątrz chaty panowała całkowita niemal ciemność. Mimo to Dawid zauważył, że w oczach Marge tli to

samo światło, które błysło w nich po pierwszym pocałunku. Doznał nowego przyływu energii, stwierdziwszy, że siła uczucia większa jest w niej niżli strach. Zbliżywszy się objął ją znowu i ucałował mocno, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Przez chwilę czuł na swojej piersi kołatanie jej serca. Cóż stąd, że chybił trzykrotnie, trzykrotnie, i to z bliskiej odległości. Pozostało mu przecie jeszcze pięć naboí i rewolwer!...

Huk i trzask cisnęły obojgiem na środek chaty. Oba dźwięki rozległy się jednocześnie, gdyż pierwsza kula, przebiwszy drzwi — sześć cali nad głową Dawida, poniosła z sobą szczapę półmetrowej długości. Dawid zapomniał poprzednio o istnieniu drzwi, a był to przecie najslabszy punkt warowni. Co prędzej uskoczył w bok, podczas gdy nowa kula, przebijając deski, trafiła w ścianę za ich plecami. Bari warknął. Tara zamruczał głucho, lecz się nie ruszył.

W ścianach z nieociosanych bali widniały tu i ówdzie podłużne szpary, o których wspominała Marge. Zbliżywszy się do szczeliny, dość szerokiej, Dawid zerknął w kierunku, skąd padły strzały. Dojrzał jakiś ruch wśród głązów odległych mniej więcej o sto jardów, a jednocześnie nowa kula, przebiwszy drzwi, odbiła się rykoszetem od żelaznego pieca i ugodziła w ścianę nad grzbietem Tary. Strzelców musiało być w tym miejscu dwóch, toteż wkrótce rozgorzała prawdziwa kanonada. Dawid widział czasami zarys to głowy, to ramienia, lecz oszczędzał kule. Zastanawiał się, gdzie się podziiała reszta szajki. Hauck i Brokaw uzbroili się już niewątpliwie w karabiny poległych, czyli że miał przed sobą sześciu przeciwników.

Ostrożnie wysunął przez szczelinę lufę fuzji i czekał odpowiedniej chwili, mierząc nieco powyżej skały, ponad którą, lada moment, miały się znów ukazać czyjaś głowa i ramiona. Dostrzegłszy ruch wypalił. Głowa i ramiona znikły, więc krzyknawszy z radości, Dawid przechylił nieco fuzję w prawo i powtórnie nacisnął cyngiel. Drugi zbir znikł również, lecz po chwili wynurzyli się obaj i grad ołowiu posypał się na chatę, przy czym napastnicy nie celowali już w kierunku drzwi, tylko w miejsce, skąd padały poprzednio strzały Dawida. Jedna kula oddarła ze ściany drzazgę tak blisko jego twarzy, że poczuł na policzku draśnięcie. Widząc to Marge zbieleła jak płótno.

— Nie mogę im nic zrobić z tej fuzji — warknął Dawid ze złością. — Och, Marge, żebym miał lepszą broń! Wielki Boże, co to jest?!

Huk wystrzału ozwał się tym razem spoza chaty i nowa kula, trafiwszy w szczelinę, przeleciała przez nią brzęcząc głośnie jak olbrzymia pszczoła. Dawid porwał Marge w objęcia, chcąc osłonić ją własnym ciałem.

— Czyż to możliwe — krzyknął - że nie oszczędzą nawet ciebie, byle mnie dostać!

Puścił dziewczynę, skoczył do żelaznego piecyka i począł go wlec ku jednej ze ścian. Przemocą niemal wtłoczył Marge za tę zasłonę.

— Jeśli się zaraz nie ukryjesz — groził— stanę pod drzwiami i będę stał, aż mnie kulami podziurawią! Daję ci słowo, że uczynię to, co mówię!

Miał płomień w mózgu, a wściekłość zaślepiła go do tego stopnia, że nie tyle nawet marzył o wygranej, co o wymordowaniu tych wszystkich drani, którzy dla dopełnienia zemsty, nie wahali się dybać na życie niewinnej dziewczyny. Wyjrzał przez szparę w ścianie na tyły chaty. Tara, leżący właśnie w tym kącie, pomrukiwał głucho i bezustannie. Wrogowie byli tuż, ukryci za skałą, odległą najwyżej o sto jardów, palili gęsto.

Dawid kombinował, że napastnicy wiedzą, iż jedyną broń zbiega stanowi fuzja Nisikoos z ograniczoną ilością naboju oraz rewolwer Haucka. Skoro więc będą pewni, że zapas ładunków fuzji się wyczerpał, niewątpliwie przypuszczą atak. Chwilę później, czy chwilę wcześniej, cóż to ma za znaczenie? Spostrzegłszy Haucka Dawid strzelił bez namysłu, lecz chybił. O siedemdziesiąt jardów dalej, uniósł się z ziemi jeden ze zbirów i dostał kulę prosto w pierś. Hauck pokazał się znów i Dawid spudłował powtórnie. Cisnął wtenczas bezużyteczną fuzję na podłogę i przyskoczył do Marge.

— Jeden ubył! Zostało pięciu! Do diabła, niech tylko przyjdą! Wyciągnął rewolwer Haucka. Nowa kula przeleciawszy przez szczelinę

trafiła Tarę. Grizzly zaryczał wściekle, aż się chata zatrzęsa, nie ruszył się jednak, tylko rozwierając pysk kołysał łbem to w prawo, to w lewo, monotonnym, wahadłowym ruchem. Bari warknął i przysunął się bliżej do niedźwiedzia.

— Drasnęło go tylko! — uspokoił Dawid dziewczynę, palcami wolnej ręki gładząc jej włosy. — Za chwilę powinni przestać strzelać, a wtenczas...

Od ściany oderwała się półmetrowa szczapa i z sykiem, jak zanurzone w wodzie rozpalone żelazo, leciała mu wprost do oczu. Miał wrażenie, że widzi lot towarzyszącej jej kuli. Wiedział, że jest ranny, lecz nie czuł wcale bólu. Zachował zupełną przytomność umysłu, ale nie mógł dobyć głosu. Marge nie połapała się na razie w niczym, dopiero stuk rewolweru, padającego z bezwładnej garści na podłogę, nappełnił jej oczy przerażeniem. Podparła go ramieniem i powiodła w kąt, do Tary. Zataczał się jak pijany, po paru krokach upadł. Leżąc słyszał, jak Marge łka i zawodzi nad nim. Osłabienie mijało z wolna. Unosząc niepewną rękę pomacał brodę. Szczeka była cała, nienaruszona, tylko lepka od krwi.

— To był po prostu nokaut — zażartował, z trudem dobywając słów ze zdławionego gardła. — Szczapa uderzyła mnie w szczękę. Głupstwo...

Siadł, wciąż wspomagany jej ramieniem. W ciągu trwającego parę minut zamieszania, żadne nie zdołało się połapać, że strzały już ucichły. Raptem grzmotnęło coś o drzwi. Chata się zatrzęsa. Drugi cios, trzeci, nadwątlone belki poczęły się przeginać do wnętrza. Dawid spróbował wstać, opadł bezsilnie i tylko ręką wskazał rewolwer.

--- Daj mi broń! Szybko!

Marge skoczyła z krzykiem. Podniosła właśnie rewolwer, gdy drzwi pękły z trzaskiem, a zanim zdołała się odwrócić, prześladowcy wpadli już do chaty: Hauck i Henry na przedzie, Brokaw tuż za nimi. Dawid chwiejnie usiłował wstać. Rewolwer zahuczał raz jeden, po czym Dawid zobaczył Marge wydzierającą się daremnie z objęć Brokawa. Wrzeszczała przy tym:

— Tara! Tara! Tara!

Hauck, z twarzą wykrzywioną, istny demon, dopadł Dawida. Spleceni, zwalili się na ziemię. Dawid nie widział już nic, posłyszał natomiast groźny ryk i łomot ciężkiego ciała, a zaraz potem okropne, wilcze warczenie Bariego. Hauck dusił Dawida, lecz w chacie kotłowało się wszystko, kłębiło i naraz palce Haucka zmiękły, opadły jak martwe. Poderwał się z ziemi, chciał uciekać i nie zdążył. Bure zwierzę spadło nań jak kamień wyrzucony z procy. Kły długie na cal wpiły się w kark człowieka.

Dawid wstał. Marge podbiegła do niego i zarzuciła mu rękę na szyję, łkając cały czas półprzytomnie. — Tara, Tara, Tara...

Ukrył jej głowę na swojej piersi. Widok był zbyt okropny. Henry zginął, Hauck zginął. Brokaw zginął także, rozszarpany na kawałki pazurami i zębami wielkiego grizzly. Dawid przeprowadził dziewczynę przez tę trupiarnię do drzwi. Świeże powietrze orzeźwiło ich nieco. Słońce błysło im wprost w twarze. Pod stopami rozesłał się kobierzec wonnych traw i kwiatów. Pogodny letni dzień roztoczył się wokół. Spojrzawszy w dół dostrzegli dwóch ludzi, dwóch niedobitków, ratujących życie w ucieczce.

## 27. Michał O'Doone

Dawid długo tulił dziewczynę do siebie, ona zaś z głową ukrytą na jego piersi, płakała cicho. Uspokoila się wreszcie łkając tylko nerwowo od czasu do czasu. Wtenczas dłonią uniósł ku górze wilgotną twarzyczkę. Ucałował drżące wargi. Oczy jej obeschły zaraz i błysnął w nich niezmacony błękit. Wyszepiała jego imię. W tym szepcie i w tym wejrzeniu było głębokie uczucie.

To o Jęgo bała się przede wszystkim, o mego, nie o siebie. Przyglądała mu się z rozczuleniem, z radosną niewiarą, jak komuś wydartemu cudem z objęć śmierci.

Na niespodziany szmer kroków w tyle Dawid odwrócił się gwałtownie i o kilkanaście metrów przed sobą zobaczył Tarę, wylazącego z chaty; przystanąwszy w słońcu olbrzymi grizzly jął pomrukiwać gniewnie, jak gdyby wyladowując resztę złości, a wielki łeb kołysał mu się to w prawo, to w lewo jak wahadło zegara. Za niedźwiedziem wysunął się Bari, szczerzący jeszcze kły, gotów do walki z nowym napastnikiem.

Objąwszy Marge wpół, Dawid przeprowadził ją do spoza którego niedawno rozpoczął walkę, po czym posadził na gęstym kobiercu traw w ten sposób, by nie widziała chaty

--- Poczekaj tu trochę, dziewczynko --- rzekł łagodnie. --- Ja muszę jeszcze załatwić coś niecoś. Potem pójdziemy sobie stąd. --- Pójdziemy...

Wyszepiała słowo najciszej, najpobożniej, jak gdyby olśniły ją nagle społem: słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy. Powiodła oczyma po twarzy mężczyzny, spojrzała w dolinę i znów przeniosła wzrok na niego.

— Pójdziemy... — powtórzyła.

Drżała trochę gdy odchodził, on zaś kroczył szybko chcąc jak najprędzej załatwić ciężki obowiązek. W drzwiach zawahał się wiedząc, że zobaczy rzeczy okropne. Pomyślał jednak, że po prostu sprawiedliwości stało się zadość i to przeświadczenie pokrzepiło go na duchu. Przekroczył próg.

Nie zamierzał się przyglądać niczemu, lecz mimo woli musiał to zrobić. Gdyby nie różnica w wielkość, ciał nie umiałby odgadnąć, gdzie leży Hauck, a gdzie Brokaw, gdyż Tara pastwił się nad obydwoima. Nie do wiary także było, że pazury i zęby mogły tak zmasakrować zwłoki; sprawiały one raczej wrażenie bezkształtnych ochłapów mięsa niż szczątków ludzkich. Dawid poskoczył do drzwi, chcąc sprawdzić, czy aby Marge za nim nie poszła, potem, uspokojony, rozejrzał się znowu.

Henry leżał mu prawie pod nogami na wyłamanych deskach drzwi; Dawid podniósł jego fuzję jako najbliższą. Teraz poszukał naboju; nie była to przyjemna robota. U trzech trupów znalazł ich około pół setki. Opuścił chatę, niosąc fuzję oraz tobołek Marge. Nie zatrzymując się prawie koło dziewczyny, ujął ją za rękę, po czym, krok w krok, zeszedł w dolinę.

— Sprawiedliwości stało się zadość — powiedział Dawid w chwilę później, a był to jedyny komentarz do tego, co widział w chacie.

Na skraju zielonej łączki trafili na modrą strugę, która dalej nieco, tworzyła miniaturowy staw. Dawid wyszukał miejsce osłonięte krzewami, po czym rozebrał się

do naga i zmył z siebie pot, kurz i krew. Opoдал Marge splukala twarz i reęe, a potem, siadlszy na brzegu, dokończyła toalety za pomocą grzebyka Dawida. Gdy ją odszukał, była cała okryta migotliwym płaszczem włosów. Wyglądała jak boginka. Przystanął w zachwyceniu, tak szczęśliwy, że nie znajdował nawet słów dla wyrażenia tego szczęścia. Lecz ona musiała wyczuć jego nastrój, gdyż obracając głowę, spytała:

— Kochasz mnie bardzo, Sakewawin?

— Więcej niżli życie własne — odpowiedział Dawid poważnie. Lecz przypomniał sobie rzeczywistość, niebezpieczeństwo mogące w dalszym ciągu grozić i rzekł jeszcze:

— Musimy iść dalej. Dwóch uciekło i jeśli znajdą w Gnieździe pomoc, mogą puścić się za nami w pogoń.

Słowa te zaskoczyły ją po prostu, zdołała zapomnieć o sprawach dopiero co przebytych i nawet, jak jej się zdawało, niezmiernie odległych. Zdziwiona spojrzała w głąb doliny. Potem potrząsnęła głową.

— W Gnieździe jest jeszcze dwóch — rzekła. - Ale na pewno nie zechcą nas ścigać. Zresztą zanim by ruszyli, my już będziemy po drugiej stronie gór.

Splotła włosy w dwa warkocze, podczas gdy on zarzucał na ramiona plecak. Czuł się wesoło i beztróska jak rozdokazywany uczeń. Zauważył ze śmiechem:

— Wolę, gdy są rozpuszczone. Jesteś wtenczas śliczna! Poczzerwieniła tak silnie, jak gdyby cała krew zbiegła do jej policzków i szybko zaczęła rozplatać włosy na nowo. Gdy okryły ją już niby płaszczem, podniosła ku Dawidowi twarz i nie dotykając go rękami, zaczęła prosić:

— Pocałuj mnie teraz, Sakewawin, pocałuj mocno, mocno!...

Dochodziła dwunasta, gdy stanąwszy na południowej przełęczy, zobaczyli w dole zieloną dolinę, przeciętą srebrzystą wstęgą strumienia: miejsce pierwszego spotkania. Cały krajobraz zdawał się do nich uśmiechać jak przyjaciel uradowany powrotem dobrych druhów. Witał ich szmer płynącej wody, szept wiatru, poświsty susłów, prażących się w słońcu. Przysiedli na moment dla wypoczynku. Marge siadła na kolanach Dawida. Wskazała palcem błękitny horyzont na wschodzie.

— Czy idziemy tam? — spytała. Dawid zastanawiał się już poprzednio nad obraniem kierunku. Jedynie na wschodzie mógł znaleźć przyjaciół swoich i Marge. Co prawda dzieliła go od nich olbrzymia przestrzeń gór i boru, zamieszkała bardzo słabo przez koczownicze plemiona indiańskie albo i niezamieszkała wcale. Przestał się już jednakże bać głuszy i pustki i nie przychodziło mu nawet na myśl, że mógłby wśród nich zbłądzić. A co za niespodziankę sprawi ojcu Rolandowi, gdy spadnie nań któregoś dnia nieoczekiwanie wraz z Marge! Z bijącym sercem opowiedział dziewczynie o swych zamiarach opisując długość podróży i jej urok. — A na końcu — dodał znajdziemy twoją matkę...

W czasie dalszej drogi wypytywała go niejednokrotnie o tę kobietę spotkaną w pociągu. Nieraz uśmiechała się, słuchając jego odpowiedzi, nieraz znów powątpiewała drżąc:

— Czy to tylko wszystko prawda? Czy można temu wierzyć?...

— Najzupełniejsza prawda — uspokajał Dawid. — Możesz mi wierzyć... Kiedyś rzekł:

— Zastanawiałem się nad kwestią fotografii i doszedłem do przekonania, że to na pewno Nisikoos posłała ją twojej matce. Nisikoos musiała wiedzieć o tobie wszystko.

— Dlaczego w takim razie trzymała to przede mną w tajemnicy? —  
wybuchła Marge.

— Może nie chciała ciebie stracić? Może i fotografię posłała wtenczas dopiero, gdy wiedziała, że już nie będzie długo żyć?

Oczy dziewczyny ściemniały z gniewu, lecz po chwili pojaśniały znów.

— Ja także bardzo lubiłam Nisikoos — rzekła miękko.

O zachodzie słońca zatrzymali się na pierwszy nocleg w gęstwie cedrowej, gdzie też Dawid ustrzelił jeżozwierza dla Tary i Bariego. Po kolacji przegawędzili chwilę przy świetle gwiazd, po czym Marge wyciągnęła się na swym posłaniu z cedrowych gałązek, ucałowała w pierś Dawida na dobranoc. Zasnęła momentalnie, lecz on czuwał jeszcze długo myśląc, że oto spełniło się marzenie, za którym całe życie tęsknił.

Dzień po dniu szli wciąż na południowy wschód. Góry otaczały ich zewsząd; deptali trawy wielu ustronnych dolin. Nie śpieszyli zbyt, gdyż nie przynaglała ich żadna pilna sprawa; kraj, zasobny w naturalne bogactwa, darzył ich chętnie wszystkim, co było do życia potrzebne. Tobolek zabrany przez Marge z Gniazda w wielkim pośpiechu zawierał, szczęściem, dwudziestofuntowy woreczek mąki owsianej. Piekli z niej chleb i placki. Okolica roiła się od zwierzyny. W zacisznych kotlinach dojrzewały czarne porzeczki i maliny, w jeziorkach trzepotały się ryby. Tara i Bari zaczęli tyć. Marge piękniała z każdym dniem i promieniała po prostu szczęściem. Dawid lubił pieścić jej włosy, ona zaś przesuwiała nieraz palcami po jego czuprynie, dowodząc przy tym, że ogromnie lubi te smugi siwizny na skroniach.

Od dnia ucieczki z Gniazda minęło już dziesięć dni, gdy pewnego wieczoru, siedząc u jego kolan, trzymając silną dłoń mężczyzny w obu swoich małych rączkach, Marge rzekła z dziecinną prostotą:

— Byłoby bardzo miło, żeby właśnie ojciec Roland dał nam ślub. I wiesz co, Sakewawin, będę gospodarzyć wam obu w tym jego leśnym dworcu.

Dawid nieraz już myślał o tych sprawach.

— A co będzie, jeśli twoja matka zamieszkuje stale jakieś duże miasto? —  
spytał.

Wzdrygnęła się lekko i przytuliła się do niego.

— To byłoby źle, Sakewawin. To byłoby bardzo źle. Ogromnie lubię to wszystko: lasy, góry, niebo. Ale — dodała spiesznie — zgodzę się mieszkać wszędzie, bylebyś ty był razem ze mną, Sakewawin...

— Ja także lubię niebo, lasy i góry — odpowiedział Dawid prędko. —  
Zostaniemy tu na zawsze, mała przyjaciółeczko!

Po upływie dwóch tygodni spuścili się ze wschodniego górskiego stoku, koło działu wód i Dawid wiedział już teraz, że są blisko Kwadochy oraz Finlay. Piętnastą noc spędzili dokładnie w miejscu, gdzie Dawid obozował niegdyś ze swoim indiańskim

przewodnikiem. Mimo że księżyc w pełni wisiał na pogodnym niebie, a noc była wyjątkowo ciepła i cicha, Marge chciała koniecznie rozpalić wielkie ognisko, dorzucała więc poty szczap i chrustu, aż płomienie strzeliły powyżej sąsiednich drzew. Dawid zapalił teraz fajkę i patrzył, jak Marge biega tu i tam, gromadząc świeży zapas suszu, a jej zgrabna sylwetka to miga w blasku płomieni, to chwilowo ginie w cieniu. Zmęczona kucnęła przy nim i gawędzili jeszcze długo, upajając się szczęściem.

Kiedy usnęła, Dawid zapalił nową fajkę i odszedłszy nieco w bok, przechadzał się wśród drzew tak szczęśliwy, że nie pragnął nawet snu. Słuchał głosów w dolinie, szmeru wody, szeptu wiatru w czubach jodeł, gdy nagle dobiegł go głos ludzki:

— Panie Dawidzie!

— Wielki Boże! Ojciec Roland!

Skoczyli sobie naprzeciw i mocno uścisnęli dłonie. Dawid był tak oszołomiony, że nie mógł mówić. Misjonarz ozwał się pierwszy.

— Zobaczyłem z daleka ognisko i podkrađłem się po cichu, chcąc zobaczyć, kto się tu wałesa. My obozujemy tam, o ćwierć mili zaledwie. Proszę pójść ze mną, chcę żeby pan zobaczył...

Urwał. Był najwyraźniej silnie podniecony. W księżycowym świetle wydał się Dawidowi znacznie młodszy niż niegdyś, gdy zaś ruszyli razem, krok ojca Rolanda był tak sprężysty, jak krok młodzieńca. Dawid milczał, czując w powietrzu niezwykle jakieś zdarzenie. Misjonarz oddychał szybko, nie ze zmęczenia wszakże. Znaleźli się wkrótce pośród kępy karłowatych drzew. Tu ojciec Roland zwolnił kroku, wiodąc przy tym Dawida za rękę. Po chwili stanęli nad kimś śpiącym. Misjonarz wskazał nań bez słowa.

Była to kobieta. Ciemne jej włosy błyszcząły w księżycowym świetle całkowicie zakrywając twarz. Dawid uczył, że serce w nim zamiera. Pochyliwszy się ostrożnie, odsunął ciężkie sploty i zapatrzył się w piękną twarz, twarz podróźnej, spotkanej niegdyś w pociągu zasypanym śnieżycą.

Usłyszał cichy szept:

— Moja żona, panie Dawidzie.

Cofnął się chwiejnie, złapał ojca Rolanda za ramiona i trzymając oburącz, wybełkotał:

— Więc to pan jest Michałem O'Doone, ojcem Marge. A Tawish... Tawish...

Głos mu się załamał. Twarz misjonarza zbiełała jak płótno. Cichymi krokami oddalili się, nie chcąc budzić śpiącej.

Opowiedzieli sobie nawzajem wszystko. Dawid zaczął pierwszy, krótko, zwięźle, a Michał O'Doone, usłyszawszy, że córka jego znajduje się w pobliżu, milcząc, ukrył twarz w dłoniach modląc się chwilę w głębi duszy. Potem on z kolei pobieżnie opowiedział swoje dzieje. Tawish złożył przed śmiercią wyczerpujące zeznania, przysięgając przy tym, że kobieta jest zupełnie niewinna.

— I wtenczas właśnie, gdy Tawish sam wymierzał sobie karę — mówił misjonarz — Bóg Wszechmocny kierował ku mnie kroki mojej żony. Małgorzata szukała mnie już przez te wszystkie lata i wreszcie dowiedziała się w Nelson House, że istnieje w tych stronach niejaki ojciec Roland, ale jego prawdziwego imienia nikt nie

zna. Wkrótce potem w Le Pas, otrzymała fotografię, którą pan znalazł później w pociągu, a wraz z nią list, że dziecko nasze żyje i znajduje się w osadzie zwanej Gniazdem. To żona Haucka posłała jedno i drugie do Komendy Królewskiej Konnej Policji, lecz paczka wędrowała długi czas, przechodząc z rąk do rąk, zanim trafiła wreszcie pod właściwy adres. Małgorzata pospieszyła do mego domu w puszczy, ale my właśnie odjechaliśmy już wtenczas wraz z panem. Podążyła za nami dalej i zetknąłem się z nią w drodze powrotnej. Naturalnie, oboje udaliśmy się zaraz na poszukiwanie naszej małej Marge. A teraz...

Spomiedzy drzew doleciało ku nim niespokojne wołanie:

— Napao, gdzie jesteś?...

— Nazywała mnie tak niegdyś, przed laty — szepnął ojciec Roland. — Chodźmy do niej. Zbudziła się widać.

Dawid przytrzymał go za rękę.

— Wróć lepiej do Marge — rzekł. — Zbudzę ją, a ojciec, drogi, kochany ojczy, przyprowdzi do niej matkę.

Z mroku głos ozwał się ponownie:

— Napao, Napao!

— Już idę, idę!

Dawid ukląkł nad śpiącą Marge, oburącz zagarnął jej włosy i począł całować na przemian to oczy, to usta.

— Zbudź się! — wołał. — Zbudź się!

Jeszcze na pół przytomna zarzuciła mu ręce na szyję.

— Sakewawin — szepnę ła. — Czy to już ranek?

Przytulił ją do piersi.

— Tak, dziewczynko, prześliczny ranek! Zbudź się!...

## KONIEC

### Spis treści:

1. Pociąg w zaspach.....	1
2. Tajemnicza pasażerka.....	5
3. Dawid się zgadza.....	7
4. Na spotkanie przygody.....	12
5. Dziewczyna z fotografii.....	18
6. Nowe życie.....	20
7. Dawid spotyka Bariego.....	24

8. Na Daleką Północ .....	31
9. Na szlaku .....	34
10. Chata Tawisha..	41
11. Jak znaleziono Tawisha ...	46
12. Za Tawisha nie wolno się modlić! ....	51
13. W domu.....	55
14. Tajemnica ojca Rolanda...	60
15. W górach.	65
16. Niedźwiedź ...	70
17. Dawid wyjaśnia...	75
18. Dlaczego Marge uciekła? ....	78
19. We dwoje ..	82
20. W Gnieździe...	88
21. Brokaw gada...	93
22. W pułapce...	98
23. Wyzwanie..	101
24. Nokaut .....	104
25. Ucieczka ..	107
26. Tara się mści ..	115
27. Michał O'Doone .....	120